

ATENEUM

PISMO
NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XLI.

ROK XI.

TOM I. — ZESZYT I.

Styczeń.

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1886.

Druk ukończono 2 Stycznia 1886 r.



TARAS Z WOROCHTY.

NOWELA
Z ŻYCIA LUDU HUCULSKIEGO.

I.

Przyszedł na świat nie w chacie własnéj—nad kolebką jego nie śpiewano pieśni wesela — nie uśmiechały się doń lica uszczęśliwionych. Przestrach i trwoga towarzyszyły dniom pierwszym zarania życia.

Matka powstawszy jeno z łoża boleści, musiała opuścić chatę nie swoję, w któréj tylko z miłosierdzia użyczyli jéj kąta ludzie obcy. Boć była sierotą. Rodzice jéj mieli niegdyś chatę własną i nieco dobytku; ale to już przeszło: w chacie siedział dzisiaj stryjko nielitościwy, który dowiódł, że to wszystko jego. Poszła zatém na służbę— między obcych ludzi. A gdy zasłabła, nie mogła pracować. Toż nie miała łyżki strawy dla zaspokojenia głodu ni dachu nad głową. Żebrać przychodziło wszystkiego u ludzi dobréj woli: bo już nie była teraz sama jedna. Przybył na świat jeden więcéj mieszkaniec w „Mikuliczyńskiéj“ kotlinie (1).

Przyjście na świat dziecięcia obchodzą gdzieindziéj weselem— sprawiają chrzciny kilkudniowe, głosząc światu, że rodzina stała się bogatszą o jednę duszę więcéj. Tu zaś matka ponieść musiała swoję biedę dalej — nie przyszedłszy jeszcze do zdrowia. Dźwigała ciężar swój; karmiła maleństwo to, choć sama nieraz w ustach nic nie miała. Po różnych stronach a wertepach rozległego Mikuliczyna chodzić musiała za zarobkiem z dzieckiem na ręku, które krzyczało rozgłośnie, dopominając się o swoje, czemu ona nie zawsze zadość uczynić mogła.

---

(1) *Mikuliczyn*, rozległa wieś huculska w głębokich górach Karpackich.

W czasie pluty lub zawieruchy tuliła się ze swoim ciężarem pod jakie poddasze niewłasne; gdy ją zaś wygoniono, szukała chaty jakiéj opuszczonéj—na pół zawalonéj — z dogniwającemi w górze dranicami, kędy dym wszystkiemi uchodził szczelinami, gdzieś ci na „Horbach“ w roztworze „Prutca“, lub nad dalekim *płajem* (1) Prutowym od strony Tatarowa.

Nie było jeszcze wtedy, jak dzisiaj, gościńca do Węgier, przerzynającego Karpaty, a chałupy wówczas gazdów bardziéj jeszcze niżeli dzisiaj od siebie odbiegały. Gdy słońce świeciło na niebie, siadała na zielonéj murawie lub na zwirze po nad szumiącym Prutem, blisko *płaju*, którędy przechodzili ludzie ze sioła, by przecież który choćby z litości ułamał kawał *korża* (2) lub owsianego placka—nie dla niéj, ale z litości nad dziecięciem, które wrzeszczało, gdy było głodne, a czasami uśmiechało się, jakby dawało znać, by się niém zajmowano. A tu nie tylko każdy, kto przeszedł, rzucił niechętném okiem na maleństwo, wdzierające się do życia, lecz i zła gadzina wypełzła nieraz z pod kamienia nabrzeżnego, złoszcząc się, że to małe śmie jéj zabierać miejsce na kamieńcu i słońce grzejące.

Wtedy matka z przestrachem uchodziła z miejsca takiego, przenosząc się na inne, nie lepsze — i pytała się Prutu huczącego po głazach i szumu wiatru, czy one dla niéj czegoś lepszego nie wywróżą. Ale Prut huczał jednakowo i wiatr szumiał, to gwizdał, atoli nie przynosił skądinąd doli lepszéj. A przecież kotlina Mikuliczyńska dostała o jednego więcéj mieszkańca. Chociaż ubogie jéj grzędy dołem po nad rzeką zrzadka się tylko zieleniły bobem lub ziemniakami, przecież żywili się tu jakoś mieszkańcy sioła. Nie było wprawdzie uprawionych ogrodów, ni pól szumiących złotem kłosów, jednakowoż *połoniny* (3) „Liśniowa“, „Jawornika“, „Gorganów“ (4), dość wydawały, by się jeszcze jeden przytulić mógł mieszkaniec.

Mimo to gazdowie sioła patrząc na ono maleństwo biednéj matki, kiwali tylko głowami, poco to na świat przyszło — wcale nie proszone—i kto je teraz wyżywi, tać czém?.. Ot lepiéj, żeby sobie tam odeszło, skąd przyszło: toć i dla matki byłoby lepiéj i dla innych ludzi. Na co bowiem ciężaru dla sioła, jeżeliby jéj kiedy nie stało. A nawet nie wiele do tego brakuje, gdyż ona widocznie z dnia na dzień marnieje, płacząc jeno za tym, co ją opuścił. Ha! pocóż za-

---

(1) *Płaj*, ścieżka w górach do konnéj lub pieszéj wędrówki.

(2) *Korż*, placek kukurudziany z grubszéj mąki.

(3) *Połoninami* zwą tu pastwiska na grzbietach gór, gdzie huculi na całe lato wyganiają bydło i owce.

(4) *Liśniów*, *Jawornik*, *Gorgan*, pojedyńcze pasma wyższe w okolicy *Mikuliczyna*.

wierzyła synowi *bohaczy*! On dzisiaj tam .. w drugiém siole, Bóg wié gdzie!... Może gazduje szczęśliwy z drugą... gdy ona tu płacze za nim, żal swój podając tylko Bogu. Daremne wszystko, nieboże! I ty skapiesz i twoje maleństwo!

Mimo to dziecię, choć znędzniałe, wyżółkłe, z zapadniętemi oczyma, jednak jakby na złość, twardo się trzymało tego świata. A gdy je choroba jaka nawiedziła, toć chociaż téj żadna lekarka, żadna nie zamówila znachorka sioła, mimo to cherlając długie dni i miesiące, zawsze jednak jakoś stawało na nogi do dalşzego żywota na tym padole nędzy.

I tak żyjąc, rzekłbyś, przeciskając się tylko przez dni dalsze, doszło do téj chwili, gdzie już samo mogło biedz za matką i o swoje się dopominać.

Czasami bawiło się i z innemi dziećmi gazdów, a mimo że nie miało do nikogo prawa, ośmieliło się nieraz uderzyć w zwadzie dziecięcéj nawet i potomka jakiego *bohacza*, co liczył *marzynę* (1) na setki. Lecz wtedy musiała matka w jego stawać obronie przeciw drugim, co odkazywały, że *widminie* téj łeb skręcą, jeśli się porywać będzie na dziatwę dobrych gazdów.

W zimie po śniegu chodziło ono bose, a choć wiatr mroźny świstał, miało na sobie jedynie strzępy koszuliny na pół rozdartéj, w lecie zaś najczęściéj chodziło nagie. Nikt się temu nie dziwił, gdyż i dzieci gazdów bogatszych nie chadzały inaczéj.

Deszcz je obmywał, wiatr i słońce suszyło. Kędzierzy na głowie nikt nie przystrzygał ani rozczesywał, toż rosły wisząc aż po pas prawie; służyły zatém za połowę odzienia.

I tak się doczekało siódmego roku życia.

II.

Z dnia na dzień marniejąc coraz bardziéj, a patrząc na swą dolę i *tużąc* za tém, co przeszło, zaniemogła nareszcie nieszczęśliwa, nie mogąc się prawie ruszyć z barłogu.

Mimo to wstawała, siląc się iść daléj. Ach! bo ją ciągnęło gdzieś daléj

Czy nie chciała tu kończyć, w Mikuliczynie?... Albowiem się ciągle gdzieś wybierała, jakby ku Tatarowu a Worochcie (2). Ale nie mogąc zdążyć, kładła się napowrót.

---

(1) *Marzyna*, bydło rogate u hucułów.

(2) *Tatarów* i *Worochta*, wsi huculskie za Mikuliczynem, w głębszych jeszcze górach. *Worochta* nie leży na drodze ku Węgrom, lecz od niéj na lewo, jako ostatnia już wieś w górach.

Gdy zaś o tyle zmogła, że już szła o własnéj sile, wlekła się *płajem* po nad Prutem. Lecz w Tatarowie ustać musiała. Przeleżawszy tu dni parę, wstała potém i podążyła w bok nalewo — do zapadłéj kotliny Worochty. Jednakowoż zaledwie tu doszła, wysiliwszy się nad miarę, powstać już nie miała siły.

Głowa ciężyła jéj kamieniem — usta spiekłe paliły. Wołała cichszym już głosem, by jéj kto podał wody, lecz nikogo koło niéj nie było

Dziecko biegało i tu po nad huczącym po złomach głazów Prutem i bawiło się rzucaniem na wodę kamyków, a gdy spostrzegło wykręcającą się między głazami gadzinę lub przebiegającego *płaj* nadrzeczny padalca, uciekało do matki przestraszone. Wtedy ona, nie mogąc się podnieść, słabym mówiła doń głosem, żeby jéj wody trochę z rzeki naczerpało. Może która z gazdyń da jaki kawał czerepa. A mały Taras wybałuszył jeno oczy, dlaczego *mały* takim doń dziś odzywa się głosem, potém poszedł do któréjś z chat pobliskich i przyniósł czerep rozchlapującéj się wody, którą chora piła pożądliwie, a wypiwszy na nowo pić żądała.

Paliło ją w wnętrzu—toż chciała pić—coraz więcéj... Lecz chłopięcia już nie było. Ono pobiegło nad brzeg Prutowy. Było ciekawe—a tam świeciło słonko i fale wody mieniły się... błyskały, to gasły; igrając, rzekłbyś, na przekór z poświatłem słoneczném: to się droczyły, niby przedrzeźniając, to znów umykały, gdy je promienie słońca chciały pochłonąć. Chłopię na to patrzało, mając zabawę, jakby było u siebie—w rodzinném swojém siole.

Ale matka nie widziała słonka ni murawy zielonéj. Leżąc od dni kilku, ciężko jeno oddychała. Chwilami się zamyśliła, czemu ona dziś taka samotna—taka opuszczona?.. A przecież nie powinna być teraz sama jedna? Przecież tak daleko tu się dziś zawlekła?... Ale nic mówić nie chciała. Do kogo ona bowiem ma dziś prawo jakiekolwiek?

I tu ciężko westchnęła. W westchnieniu tém była treść jéj życia i skarga podawana Niebu.

Pojrzała na swe ręce kościste — pojrzała na piersi wychudłe, gdzie żebra z poza skóry wystawały — żółtéj, pomiętéj, i zamyśliła się. A przecież ona niegdyś była piękną i hożą i stroiła się w kwiaty. Świat się do niéj wtedy uśmiechał.

Było to przecież nie tak bardzo już dawno! Ah! stawały jéj w oczach te chwile, gdy on za nią gonił i czarném pożerał okiem młodą dziewczynę. Czemuż potém się inaczéj stało?...

Ha! Bóg jéj nie dał mienia—nie dał téż doli! Chwilami podnosiła się, jakby chciała przywołać tu kogo... wymawiała imię jakieś

przez sen, a czasem i nie przez sen. Czy to imię było jéj dziś jeszcze drogiém?...

Ale już czuła, że myśli jéj, raz wraz rozrywane, w coraz mętniejsze przechodzą wiry i kręgi.. Jakiś szum i zamęt nie daje nic już rozpoznać z tego, co się koło niéj działo. Dni dawne—dni przeszłości — mieszały się w głowie z migocącą w oczach zielenią trawy na dworze i szumem gałęzi a trzeszczeniem smereczyny, na któréj leżała. I czuła, że wszystko w coraz mętniejszy przechodziło zamęt—nareszcie zachodziło jakoby w mgłę. Nic ją już nie bolało—niczego nie pragnęła. Dochodziło do uszu jeno słabe, coraz już słabsze, dygotanie jakieś nieokreślone.

I po chwili nic już nie wiedziała.

Leżała tak godzinę—jednę, drugę—nie ruszając się wcale, bardzo cicha i bardzo spokojna, ale jakaś nito insza, bardziéj już sztywna, a lice jéj więcéj było wydłużone i usta otwarte, lecz oddechu nie było już żadnego.

A gdy się mały Taras dość już nabiegał i napatrzył, poczuwszy głód dokuczliwy, pognał do matki, wołając jeść... Ale matka się nie ruszała. Chłopię czekało niecierpliwe, zanim się ona obudzi... Lecz nie mogąc się doczekać, wypatrzyło się, czemu ona dziś śpi tak długo?... I zaczęło wołać coraz niecierpliwiéj, że mu się przecież jeść chce, a *maty* nie daje. Niechaj go przecież gdzie zawiedzie, kędyby jéj i jemu dali kawał *korża*, jak się to nieraz działo. Ale matka na wszystko była głuchą.

Niecierpliwe zaczęło płakać coraz głośniéj, wołając, że mu się jeść chce. Nareszcie zbliżyło się i zaczęło matkę ruszać, by się raz już obudziła. Atoli rozbudzić jéj nie mogło. A wpatrzywszy się w rozwarte jéj usta i sztywne oblicze, przestraszyło się — nie mogąc pojąć, coby to było.

Dotknąwszy zaś jéj rąk, uczuło zimno lodu i coś nieznanego, jakieś półsenne przeczucie przeszło mrowiem po kościach dziecięcia. Z przestrachu pognało do chaty pobliskiéj. Po chwili zeszli się ludzie Worochteńscy.

I poznali co się stało. Choć obca to kobieta, przybyła z Mikuliczyna, ale *chrystyanyna* nie zostawią przecież na śmieciach—niepochowanego... Grzeszne ciało obmyto, ręce mu na krzyż złożono i zapalono światło.

Chłopię patrzało na to wszystko z rozwartemi oczyma i usiadło w kącie, czekając, rychło się matka obudzi.

— Oj, nie rychło, nieboże, zbudzi się twoja *maty!* — rzekła jedna z niewiast, które przychodziły z datkiem jałmużny pacierzy zmarłemu.

— I gdzie to się teraz podzieje? — powiedział ktoś drugi, patrząc się na małego sierotkę, jakby nie na boże stworzenie.

Byli i tacy, co z litości obiecywali dziecku, że się *maty* jego obudzi, bo ona tylko tak twardo dziś zasnęła.

Chłopię patrzało na wszystko zastraszone—nie mogąc pojąć, co się dziś stało z jego matką.

Na drugi dzień zbito parę nierównych desek — nieociosanych, i włożono niewiastę do ciasnéj skrzynki.

Przyszedł dziad siwy, zgarbiony, za nim kilku jeszcze chłopów z sioła, wzięli skrzynkę na barki i nieść zaczęli z pośpiechem.

Chłopię to widząc, zaczęło płakać i wrzeszczéć, nie mogąc pojąć, gdzie oni zabierają mu matkę.

Patrzała na to jedna ze starych kobiet i z litości odciągnęła zapłakane dziecko, tłómacząc mu, że *maty* jego śpi teraz... ale ci ludzie w lepsze ją miejsce zaniosą, gdzie jéj będzie już dobrze, a skoro ona się obudzi, przyjdzie sama do swojego sierotki.

Chłopię zdawało się niby wierzyć słowom niewiasty; ale wkrótce się wyrwało i dogoniło niosących matkę jego.

Atoli bojąc się, by go z drogi nie zawrócono, umilkło i szło niby spokojne, a ludzie widząc je idące za trumną, dziwili się, jak to maleństwo tylko samo jedno szło za trumną człowieka.

Ani dzwony nie dzwoniły, ani było słychać lamentu *trembit* (1), nikt nie śpiewał pieśni pogrzebowych, nie roiło się od ludu oddającego ostatnią zmarłemu przysługę: szedł tylko pochód cichy, pośpieszny, dziad z krzyżykiem i czworo chłopa, wynoszących czémprędzéj człowieka, by nie zawadzał dłużéj na świecie. Za nimi biegło dziecko, a że biegło bez krzyku, nikt na to nic nie mówił.

Słońce zaś czerwono zachodząc, patrzało posępnie na ten pogrzeb samotny.

Wkrótce weszli między mogiłki na niewielkie wzgórze i tu zatrzymali się nad świeżo wykopanym dołem. Dziadek z siwą brodą przeżegnał trumnę i zmówił pacierz, drudzy zaś zaczęli spuszczać ją czemprędzéj do dołu... Chłopię gdy to ujrzało, chwyciło się obu rękami za trumnę i zaczęło wrzeszczéć okropnym głosem, nie mogąc zrozumiéć, co oni chcą robić z matką jego.

I musiano oderwać chłopię, które rozpłakane, wrzeszczące, zawiódł dziad do sioła, w czém mu pomogła nadybana po chwili niewiasta, bo dziecko się rwało, chcąc biedz koniecznie do matki swojéj.

---

(1) *Trembita*, na dwa sążnie długa trąba z drzewa świerkowego, korą brzozową okręcona, na któréj huculi grają na pogrzebach, smętne wydając tony, jak również i na połoninach.

Z litości przetrzymała kobiecisko u siebie sierotkę, dała mu nieco placka owsianego i wytłómaczyła, że *maty* śpi tylko, a za trzy dni obudzi się i będzie już zdrowa.

Dziecko się wypatrzyło i jadło chleb ze łzami.

Posiliwszy się, zmęczone nareszcie, strudzone płaczem i zamętem myśli na pół sennych, zasnęło na ławie.

I tak spało twardo aż do rana.

Gdy otworzyło oczy, było już słońce wysoko. Ono zaczęło się teraz rozglądać, a nie widząc matki swojéj tylko jakąś obcą, krzątającą się po świetlicy niewiastę, która teraz już nań nie zwracała uwagi, patrzało zdziwione, co to się stało... Ale wnet przypomniało sobie dzień wczorajszy. Wyszedłszy zatém po cichu na dwór, zaczęło się rozglądać, czy kto nie widzi, lub czy dzisiaj obca ta niewiasta znów go nie zatrzyma.

Ale daremna twa dziś obawa, dziecię sieroce! Kobiecie obcéj ani w głowie, kędy się ty chcesz teraz obrócić!

Poszło też, jakoby instynktem wiedzione, drogą tą samą, oglądając się z obawą, czy kto za niém nie goni. Chwilami przystawało, miarkując po grzędach wychylających się z za *woryni* (1), to po kępinach smereczyny, którędy mu iść wypada; czasem nazad wracało, zmyliwszy drogę.

I tak powoli kołując, to tu, to tam, z cichym płaczem, trafiło między mogiłki, a tu chodząc od grobu do grobu poznało świeże miejsce, gdzie jego matkę wczoraj wrzucić chciano. Lecz nie widząc już dołu tego, nie mogło poznać, żeby tam *maty* jego teraz być mogła. Nie, *maty* gdzieś indziéj tu leżéć musi! A może już wstała, schowawszy się przed niedobrymi ludźmi?

I obchodziło groby, przyglądając się tu, to tam, czy też gdzie ona nie przystanęła—przed niém ukryta. A gdy zoczyło krzak jaki, biegło zaraz z pośpiechem, myśląc, że ona tam się kryje. Nie mogąc zaś nadybać tu nigdzie, zaczęło płakać, wołając jéj z wielkim lamentem.

Zanosiło się coraz więcéj od ciężkiego łkania.

Gdy się już zmierzchać zaczęło, maleństwo to biegając od miejsca jednego do drugiego—spłakane, przestraszone, uciekło z obawy przed ciemną nocą, a parę razy potknąwszy się na drodze, upadło, lecz zaraz powstawało, czémprędzéj do wsi uciekając.

Czekało jeszcze dni parę, spodziewając się zawsze, że matka wróci. Lecz powoli coraz jaśniéj, wśród chaosu sennych marzeń i przeczuć, występowała w duszy jego myśl straszna, że ona już nie wróci.

---

(1) *Worynie*, opłocenie z łupanego drzewa.

Dziecko poznało pierwszy raz w życiu, co jest śmierć!

I patrzało już spokojne, posępne, jakby mu z dniami onemi lat parę przybyło.

W niedoli prędko się rozum rozwija i przychodzi doświadczenie.

Instynktem zatém doszło ono do tego, co innym dzieciom z trudem w mózgi wdrażać potrzeba.

III.

I tak dzieciak ten pozostał sam jeden—o własnych siłach.

Worochcie przybył jeden mieszkaniec więcéj, na własném niby gospodarstwie.

Nie było ni chaty, ni roli, ni *statku*, ni czeladzi, a jednak było to gospodarstwo. Głód i chłód popędzał—toż było i staranie: były zabiegi.

Gdy próżnia w żołądku zaczęła dokuczać, przyszło chłopię pod obce jakie obejście i stanęło u drzwi cierpliwie, oczy mając zwrócone na krzątającą się gazdynię. Stało tak godzinę — dwie, czasem do wieczora samego, dopóki wreszcie kobieta zlitowawszy się, nie rzuciła mu kawałka suchego *korża* lub nie dała parę łyżek *huślenki* (1) skwaśniałéj.

Czasem zaś czekając do wieczora, odchodziło głodne, a wtedy ciągnąc daléj, płakało; lecz przechodzący nie zwracali na to uwagi. Cóż robić! Choć małe, musiało pogodzić się z dolą i położyć gdzie pod krzakiem—przy *płaju*. Gdy zaś wiatr dokuczał, zaciągnęło się wtedy pod jaką koszarkę, gdzie w sąsiedztwie cieląt lub kózek znalazło odpoczynek, oszturkiwane przez towarzyszy czworonożnych. Czasami które ze zwierząt zbliżyło się do gościa, i ośmielone zaczęło muskać go po głowie i lizać śpiącego; a wtedy śniło się chłopięciu, że jest koło swéj *mateńki*, doznając pieszczot rodzicielskich. A gdy się rano obudziło, patrzało do koła zdziwione, i chmurki obsiadały już gładką skroń dziecięcia.

Bywały chwile, że dwa dni nic w ustach nie miało, a nawet i bez kułaka nie obeszło się od jakiéj niecierpliwéj gazdyni. Spłakałoć się w takim razie, lecz musiało być cierpliwe, poznawszy, że inaczéj być nie może; bo jemu nic się nie należy.

I zdało się, jakoby wrosło do takiego życia.

---

(1) *Huślenka*. mleko kiszone ze słodkiego już sparzonego, zwykła potrawa u huculów.

Lecz gdy już w ten sposób mały Taras rok cały przeżył, widując inne dzieci, co nie sypiały na dworze, ni w chlewie ze zwierzęty,— które siedziały w ciepłéj chacie i miały matkę, co im jeść dawała: czuł już ku tamtym budzącą się powoli w sercu zazdrość.

Kiedy patrzał na takie, które *maty* myła i czesała, wdziewając na nie chwilami białą koszulinę—a on miał na sobie tylko kawał czarnéj szmaty, podartéj, z wiszącemi strzępami: budził się gniew w sercu młodém, że inne dzieci piękniejsze i że ktoś ma o nie staranie.

I tak dojrzewał Taras.

Choć skóra na ciele tém małém była pomarszczona, a oczy w dół zapadły, jednak plecy szerokie i piersi nieźle zbudowane wskazywały, że go natura do innéj urody a siły przeznaczyła.

Razu pewnego zdarzyło się, że zmorzone głodem chłopię wlazło w bób cudzy i zaczęło zrywać ukradkiem strąki, zapychając je do gęby... W tém szedł drogą jakiś gazda, rosły, barczysty, w krótkim, wyszywanym we wzory *kieptarze* (1), mając na *soroczce* (2) pas suto nabijany *kilciami* (3). Kroczył hardo, wesół i buńczuczny, a zoczywszy dzieciaka w bobie, krzyknął, lecz na pół z żartem: „*A wychody no* z *bobu, gazdo*!“

Lecz gdy dzieciak nastraszony stanął, błagając, by go nie bito, popatrzył chłop na dziecko—i jakby go lice tegoż zdziwiło, zaraz odszedł, mrucząc tylko do siebie: „Ta, jakby to już było?... Ot, *majaki*!...“

A dzieciak pozostał na miejscu, zapamiętawszy oblicze gazdy, który musiał być dobrym człowiekiem, skoro go nie bił.

Toż wiedzione instynktem za parę dni znów się nasze chłopię kręciło w téj stronie, dalszéj nieco od środka sioła, gdzie śpiesząc się do Prutu w większy potok oba się już łączą Paradżyny.

Szedł właśnie ów gazda na *kosowyci*, a miał w swojéj *dziobence* kawał *budza* (4) i *małaja* (5); toż ujrzawszy go dzieciak, ośmielony, przypadł zaraz i wyciągnął rękę. Chłop ujrzawszy go, zaczął mu się nieco uważniéj przypatrywać, lecz tylko z pod oka. I zaraz odwrócił twarz; mimo to, coś go ciągnęło, że napowrót popatrzył, a wtedy chmura osiadała na obliczu chłopa, który się teraz czegoś zamyślił. I odszedł jakoś smutniejszy.

---

(1) *Kieptar*, w zachodniéj Galicyi „serdakiem“ zwany, krótki kożuszek bez rękawów, wzorzyście wyszywany; ubiór nader malowniczy.

(2) *Soroczka*, koszula używana jako wierzchnie odzienie, również strojnie wyszywana. (3) *Kilcie*, błyszczące u pasa guziki dla ozdoby.

(4) *Budz*, plaskanka większa sera owczego, z czego późniéj robią huculi bryndzę.

(5) *Malaj*, placek kukurudziany.

Zaczął się teraz nieznacznie rozpatrywać po siole, co to za dziecko i którego ono jest gazdy. Skoro się zaś wywiedział, że ono obce, bardziéj to mu się nie podobało. Nakoniec mu powiedziano, że niedawno przybyła jakaś młoda kobieta z Mikuliczyna—i tu jéj się zmarło. Nic na to nie odrzekł... ale odtąd był bardziéj ponury.

Gdy teraz kiedy dzieciaka spotkał, unikał go czemprędzéj.

Razu potém pewnego, gdy nastało kilka dni szarugi, a dzieciak zmoczony, zziębnięty, głodny. walał się od chaty do chaty, nie znalazłszy dla siebie przytułku, ulitowała się jedna z gazdyń i wzięła chłopię do paszenia gęsi.

Ha! teraz on nie będzie darmojadem: odtąd zapracuje na siebie. A jakby na zadatek, nakarmiła go w ciepłéj chacie i pozwoliła się ogrzać koło *watry* (1).

Chłopak, gdy wyszedł z gęsiami na zieloną murawę, po nad Prut szumiący, zaganiając je, był dzisiaj szczęśliw, choć deszcz prażył zimny. On nawet był dumny, jakby już znaczył coś przecież, i to pierwszy raz na świecie. Przecież są stworzenia, co i jego słuchać muszą?... O! biada teraz innym chłopiętom, któreby się chciały zeń naigrawać! On ma już swoje władztwo, gdzie się czuje możnym.

I wracał ze swoją chudobą wieczorem do zagrody, a wszedłszy do chaty; spostrzegł z radością garnek na ognisku z gotującemi się ziemniakami, których pilnowała przy ogniu gazdyni.

Dziś pierwszy raz będzie *harczował* (2), jak inni ludzie.

Lecz w téj chwili wrócił gazda z *kosowyci*, a ujrzawszy chłopca przystanął jak wryty. Potém zwrócił się do gazdyni, a wargi mu się trzęsły.

— A to... co tu... robi?

— Ta, było głodne i zmarzłe... Ot... przyda się... Wzięłam do gęsi...

— A tobie... co do obcego?—I był blady i czegoś dygotał, niby z zimna, niby ze złości. Może dlatego, że *żinka* obcym dziś rozdaje, a ma swoje.

Chłopak poznał znajomego już sobie gazdę; ale również przeczuł coś złego. Toż mu krew podbiegła do góry.

— Czy ty masz... kobieto... tać już chleba bożego... za wiele?..

I tu nie mógł już dokończyć.

— Ta, myślałam sobie, poco ma się to dziecko—sierotka—na obrazę bożą walać... Co ono temu winne?

---

(1) Ogień rozpalony na ognisku.

(2) *Harczowaty*, pożywiać się zasiadłszy do misy.

— A co to... do ciebie... należy?—I tu jakby mu daléj tchu zabrakło. Po chwili dodała kobieta:

— Ale to także boskie stworzenie!

— Co to... już... do ciebie?... Ty masz swoje... Gdy to mówił, był odwrócony od chłopca, nie mogąc się nań patrzéć, tylko sierdził się, drżąc z gniewu.

I chłopię musiało się wynosić z chaty nieswojéj.

Spotkał je znowu zawód w wędrówce życia. Musiało uczuć żal do tego człowieka. Poznało już nieprzyjaciela, który mu wydarł zarobek na utrzymanie życia.

A siadłszy na ziemi przy drodze, dumało spłakane, dlaczego ono takie porzucone, i czemu on je wypchnął?... Czy ono takie już niepodobne do drugich chłopiąt?... Ha! co ono winno temu człowiekowi?.. Zali to wróg jego?

Na początku wędrówki życia miało już wroga swego.

Ale tu poczuł mały Taras siły swoje; poznał, że przecież do czegoś przydać się może i żyć na własnym chlebie, nieproszonym, nieżebranym. On może już pasać gęsi.

I ta myśl sprawiła, że się uczepił tego, jak tonący deski. Chodził od chaty do chaty, czy téż się gdzie któréj gazdyni nie przyda do pasania gęsi. W saméj rzeczy udało to mu się w jednéj z chat.

Wyganiał zatém swoję *chudobę* na zielone rozłogi po nad Prutem, a że sporo tam było kamienia, musiał im miejsca dobierać. Tu staczał nieraz walki z innemi chłopięty, dbały o powierzony sobie drobiazg.

Gdy zaś dnia jednego, w takich przygodach, silniejszego wyciął kułaka pewnemu chłopięciu, którego ojciec miał niemałą *połoninę*, tać lasu spory kawał na „Kływie“ a owiec i kóz by *chmary* wróbli; poznał wtedy, że to nie każdemu bić wolno. Jego zaś zbito i sponiewierano, że musiał przeleżeć całe dwie niedziele, skwiércząc z bólu i zacinając zęby. Ha! uczył się już sam nad sobą panować. Musiał w sobie kryć nawet nie małą chęć odwetu a zemsty—i krew w nim zakipiała. Porzucony prawie na śmieciach, nie żałował, że się już nie wyliże, jak mu w oczy mawiali wszyscy, jeno to go gryzło, że już swojego na drugim nie odbije. Chęć zemsty rozwijała się w nim silna, i trawiła go. Aleć i trzymała, dając mu wytrwałość w walce o byt. Zacinał zęby, sycząc z bólu, ale nie dał się śmierci. Zaglądała mu ona w oczy, paliła piersi, łamała kości młode, nie dopuściła żadnéj lekarki ni żadnego znachora: mimo to jakoś wygrał z nią sprawę, choć ona silniejszych obala.

Powstał wprawdzie wychudły jak szczypa, pomięty, z zapadłemi oczyma a wystającemi szczęki, ale jéj się nie dał. Choć żebro miał jedno złamane, ucho prawie rozdarte, do połowy tylko zrosłe, choć na głowie były znaki od cięgów, gołe nawet miejsca, gdzie dawniéj bujał włos czarny, lśniący: ale jakoś wlókł się nasz Taras.

Ha! w takim stanie poznał, że mu dziś nie czas do odwetu.

Uczuł swą niemoc.

Ale młodość czyni cuda. Gdy świeże powietrze powiało, cieplejsze nastały czasy, krew w chłopcu zaczęła krążyć żywiéj... powoli zatém tyle przynajmniéj nabrał ciała, że powrócił do dawnego zdrowia. Ze zdrowiem, z napływem krwi świeżéj, i myśli jego jakoś inny wzięły obrót. Dzisiaj jakby o zemście zapomniał. Młodość prędko zapomina. Mimo to czasami się jeszcze zamyśliwał. a wtedy stawał poważnym i posępnym. Coś się w nim gotowało. Jednak, gdy się przebiegł po zboczach, niższych „Rebrowacza“, gdy się odważył na dalsze pasmo „Diłu“, a świeższe owiało go powietrze: odbiegły trapiące chłopca myśli.

IV.

Gdy już nieco podrósł i mógł się przydać na połoniny podczas lata *bouharom* (1), rozpoczął nowe życie.

Tu ze starszymi pastuchami, na wysokiéj, długo ciągnącéj się połoninie „Ryzy“, pilnował wraz z innymi stada wołów. Posługiwano nim się teraz, a stary *watah*, rządzący tu w *kołybie*, i młodsze *łeginy* (2) nie pożałowali wcale *znajdy*. Skoro ten ma siłę, niechaj się drapie po zboczach, niech zagania *marzynę*.

A gdy jaka sztuka gdzie się zatraciła pod wieczór w gęstwinie leśnéj, posyłano go, by odszukał. Wtedy najczęściéj sam, a czasem z drugim starszym, musiał przechodzić *zwory* (3) i wertepy leśne, drapać się przez gąszcz paproci „zgasiewki“, przebijać się przez tejże szerokie, olbrzymie liście, toż deptać *tojad palczasty* o sinem kwieciu, przełazić raz w raz przez kłody próchniejące, omszone, które pokładł wicher i potrzaskały pioruny. . Chodził tak po lesie i strach go obejmował, gdy była cisza leśna, wielka, szeroka, a tylko gdzieniegdzie kuły samotne dzięcioły. Gdy zaś wicher powstał i gałęzie świerków poruszać się zaczynały z głuchym, posępnym szumem, wtedy mrowie przechodziło mu po kościach. Mimo to szukać musiał

---

(1) *Bouhar*, pastuch od bydła rogatego. (2) *Łegin*, parobek, tyle co *mołodec* u Kozaków.

(3) *Zwór*, wąska dolina, niby roztwór w górach, który sobie potok wyżłobił.

zgubionéj sztuki. Zato gdy znalazł, wracał jak żołnierz, dumny, że prowadzi jeńca. Szedł z tą myślą, że go choć teraz pochwalą. Ale gdy wrócił, musiał tylko uszy spuścić pod siebie, bo nastąpiło niemiłe rozczarowanie, gdyż miasto pochwały łajano go, że taki niezdara, gdy-ci tak długo szukał zgubionego z własnéj winy bydlęcia. Przy jadle zaś koło *watry* trącały go starsze parobczaki.

Poznawał niechętny, że nikogo tu kochać nie może; gdyż dopóki sam nie wiedział o własnéj sile, myślał, że pośledniejszym jest od drugich, ale poznawszy lepiéj siebie i do czego jest zdolnym, nie mógł dziś pojąć, dlaczego on ma być gorszym, i rodziła się w nim jakaś gorycz a złość do drugich.

Lecz gdy wyszedł z dymnéj *kołyby* i stanął zdala od innych, sam będąc tylko ze sobą, na wyższym *groniu* (1), a z północy i z południa miał tu przed sobą długie pasma gór w ciemnéj krasie szafiru, to świecące jaśniejszą zielenią, i chłód go owiewał wierzchowin orzeźwiający; wtedy zapominał o nękających go myślach i coś się mu roiło, że mógłby być i tutaj szczęśliwym, gdyby tych drugich nie było. Poznał dziś, że mu towarzysze tylko zawadzają. W bliźnich czuł jeno wrogów.

Popatrzył po za siebie: a tam podnosiła swoje garby, wyższa nad inne, bardziéj już pusta i bardziéj zwirowata „Kobyła,“ nito posępna od północnéj strony strażnica. Przed nim zaś od strony południowéj, po za ciemnemi na stokach borami, wychylały się z czarnéj gęstwy zieleńsze *halawy*. Mówiono, że i tam na tych odbiegłych od sioła miejscach mieszkali jacyś gazdowie. W dole zaś, w głębokim a długim parowie toczył się Prut, po nad którym wznosiły się pasma różnéj barwy i różnego oświetlenia, aż się gubiły gdzieś daleko w jakąś siną dal, w powietrzną *mrakę* (2), lekką, białawą, ledwo dojrzaną oczyma.

Tu się lubiał nasz Taras zapatrywać, dziwując, że świat taki wielki. On tego nigdy nie przypuszczał.

I zamyśliwał się, coby tam przecież być mogło?... Zali tam także żyją ludzie? Tać mówią, że żyją... Mają tam być Węgry... Tak gadają... I także są ludzie. Zali tam również tacy oni srodzy?.. Tać pewnie!... Ba, i gorsi... Wszak to jakiś lud ma-ci być czarny... Ta, nie zna nawet ludzkiego języka... Inna ich jakaś gwara, nito wilcza albo niedźwiedzia.

Gdy się tak zamyśliwał, nie spostrzegł, jak mu zbliżający *bouhar* dał z tyłu szturchańca... Zerwał się na to, chcąc tłómaczyć. Lecz

---

(1) *Groń*, grzbiet góry.

(2) *Mraka*, mgła w Karpatach, która wszystko obejmuje dokoła, że wszelki widok znika.

tamten ani dopuścił, zawoławszy tylko: „Tam *marzyna* się rozchodzi, byki się rozbiegają,—a on-ci tu stoi, tać pogląda gdzieś na bory, taj góry dalekie!... Oj będzie to zbój!“

Tak gonił go do roboty. Taras szedł niechętny, zbudzony ze swoich marzeń; miał nawet chętkę odbić krzywdę swoję choćby na starszym. lecz spostrzegłszy, że ich tu tyle, a nikt by się za nim nie ujął, szedł już kryjąc tylko w sobie niechęć.

Złość swą, nie mogąc na ludziach, odbijał na wołach, które nieco daléj po długiéj rozchodziły się połoninie. Dziś je mocniéj smagał kosturem. A gdy który z byków gorętszych rogi mu swoje miał minę pokazać, dostał takie po łbie cięgi, iż musiał poznać, że siła poważna—bycza, korzyć się musi przed kaprysem choćby niedorostka.

Mimo to rósł nasz chłopak i nabierał siły a odwagi. Pierś mu się rozrastała, ciało wypełniło, choć je wędziły suche wichry na gór grzbietach.

Dnia pewnego, podczas gęstéj *mraki*, usłyszeli pastuchy przeraźliwy ryk wołu na końcu stada, które zaczęło zbiegać się przestraszone. Poznawszy zatém, co się święci, pognali w stronę poryku owego, i ujrzeli, jak *mysio* spiąwszy się na zadnich łapach, uczepił przednią za kark wołu, i dalej ciągnąc się, probował chłeptać już krew szamocącéj się ofiary. Tu wszyscy zaczęli krzyczéć i wymachiwać drągami, ale bestya tak była zażarta na tę ciepłą krew, że się odgonić nie dawała, lecz stojąc na dwóch łapach jechała jakby daléj na wole.

Jeden ze śmielszych parobczaków zbliżywszy się, wyciął drągiem po łbie smakosza; ten zatém porzuciwszy wołu, wziął się do człowieka, ale tak sprytnie, że już mu łapę położył na karku, chcąc ją wyrwać, lecz wraz z mięsem człowieczem. *Bouhary* przestraszyli się; Taras atoli, któremu oczy zaświeciły by u młodego rysia, jak był niewielki, tak przyskoczył i *mysia* po uszach uraczył. Zwierz obrażony za taką śmiałość, i to dziecka prawie, odwrócił się w mgnieniu oka, trzymając w łapach zakrwawionych kawał mięsa człowieczego i dalej skoczył na naszego chłopca, który chwycił nogi za pas i zaczął zmykać, a mysio tuż za nim... Mimo to wzięła jeszcze Tarasa ochota, a schyliwszy się podjął kamyk z ziemi i trafił w nos mysia że ten aż ryknął z bólu, lecz chłopak już mu się był wykręcił. Gdy zaś zwierz tylu napastników zoczył gotowych z drągami, wyrwał jeno młodą smereczynę z korzeniem... i daléj nią machać na obie strony. Nareszcie, za wielu widząc przeciwników, dał za wygranę i ze wstydem wyniósł się niespyszna w bór ciemny.

Odwiedziny takie gościa leśnego zakończyły się tém, że byk został na karku pofałatany, ale i parobek miał złamany obojczyk i część grzbietu nadwerężoną. Lecz gdyby nie uderzenie w czas kosturem Tarasowe, byłby chłopu mysio kark złamał i czaszkę ściągnął z głowy wraz z gęstym kędzierzem.

Taras nasz stał dumny ze swego czynu, a krew mu podeszła pod lice... Stał cały czerwony, aż po same uszy, z włosem rozwianym, a duma i zadowolenie biło mu z oczu.

Wkrótce zaś poznał, że tém sobie tylko narobił nieprzyjaciół. *Bouhary* bowiem nie chcieli uznać, jakoby to on obronił chłopa; miał to być jeno skutek respektu mysia przed ich wielkiemi drągami. Ha! musiał dziś Taras doświadczać, co znaczy zazdrość drugich.

Mimo to lato owo na połoninie zakończyło się dlań z korzyścią. Wyrósł i nabrał ciała a cery. Gdy już jesienią wrócił z *bouharami* do sioła, prawie go nie poznano. Wrócił silniejszy i bardziéj smagławy, w koszuli, hołoszniach i *rzemieniu* (1), jakby dymem okopconych, a włos mu gęsty, lśniący, wyrósł aż do pasa, oczy zaś jego pałały jakby skrywanym żarem i ciskały jakieś dawniéj niewidziane błyski.

Lecz gdy potém zrzucił z siebie czarną *mazankę* (2) i skąpał się w Prucie a starł z ciała jakby kopeć długiego na połoninie pobytu, wyglądał jak inne niedorostki sioła.

Gdy nadeszła zima, wróciły się znów gorsze dlań czasy; jednakowoż teraz, mimo że daleko mu jeszcze było do parobka, najął się już za *najmita*, gdyż miał siłę nad wiek i krzepkość nielada. Mimo to dawano mu poznać, że więcéj je, niżeli warta jego praca. Toż nieraz rzuciwszy w złości miskę, kładł się spać bez wieczerzy.

Mimo to czekał cierpliwie, by się raz zakończyła zima niepoczesna; a gdy nastanie lato, potrafią go lepiéj ocenić.

Zgadzał się dość z towarzyszami... czasem potraktował kułakiem, gdy go który nazwał znajdą, ale bał się tylko jednego człowieka, do którego miał jakby wstręt wrodzony. Lecz i ten go unikał; a gdy się czasem zdybali obaj oko w oko, spojrzeli na siebie nito dwa wrogi. Przecież nic ich nie wiązało do siebie, ani téż byli sobie na zawadzie: bo że go stary jako chłopię wygnał z chaty, nie potrzebując do gęsi, toć każdemu wolno przyjąć lub nie przyjąć do chaty swojéj. Mimo to, gdy się kiedy przypadkiem obaj zdybali, chłopa-

---

(1) Tak zwą tu pas węższy.

(2) *Mazanka*, koszula czarna, wygotowana w maśle, jakiéj używają pastuchy na połoninach.

kowi krew uderzała do góry i oczy łyszczały, a gaździe jakby jéj wtedy w twarzy ubyło, i pozierając z pod oka, uchodził on posępny.

Skończyła się zima—nastały wichry wiosenne i roztopy wiosenne; a gdy pod lato słońce lepiéj przygrzało, gdy się połoniny zazieleniły; był znowu Taras z innym już *watahą* i *bouharami* na „Kitiłówce.“ Chłód go owiał wierzchowiny; wtedy popatrzył przed siebie i klasnął w dłonie.

Przed nim w dole po falistych zboczach i jarach i parowach straszliwa bez końca puszcza ciemnych lasów, a w niéj, jak powiadano, rciło się od wilków, rysiów i niedźwiedzi.

Tu strach go zdjął, ale i coś pociągało: w głowie czuł zamęt i płonęło mu w mózgu.

Tam w dali, po za innemi pasmami, siniała rysując się na tle błękitném niebios sama już „Czarnohora,“ o któréj nieraz słyszał. Tu wpatrzył się w zakryty w górze *mraką* kopiec „Howerli“ (1) i dalsze jaśniéj widne szczyty, które późniéj poznał jako „Zarośląk,“ „Poziżewska,“ „Dancerz“ (2).

Zdziwił się, jakby baśnie nocy zimowych stanęły mu w oczach wraz z opryszkami, których miejsca one miały być siedzibą, i krew mu w żyłach żywiéj zagrała. A gdy po chwili chmura ustąpiła i cały zarysował się kopiec Howerli, nie mógł oczu oderwać od tego ogromu i stał wpatrzony, a żar płomienisty bił mu z oczu.

Pytał się teraz *watahy*, czy daleko stamtąd już do nieba. Stary *watah*, jako lubiący gwarzyć, rad teraz opowiadał niestworzone rzeczy o Czarnohorze, o strasznych jeziorach w jéj kotlinach, o obłędzie, co tam ludzie za oczy chwyta, o wichrach i piorunach, co zapalają lasy, a młodzież stała do koła, słuchając starego i drżała na widok takiéj pustyni i tego, co ona ukrywała.

Ha! przyjdzie im się tu może nieraz zdybać i z opryszkami, ale gdy im oporu nie postawią, zadowolą się oni w takim razie jedną, a może dwiema sztukami *marzyny* i odejdą sobie w pokoju. Oni na *srokowce*, ukrywane po *bohaczach* Worochty, Jabłonicy, taj Kosmacza skorsi, niżeli na *marzynę*, któréj nie będą przecież wiedli na jarmarki.

I to drugie lato przebył Taras z bouharami a widział już nawet i opryszków, którzy z watahą nieco potargowawszy się, zarznęli jednę, to dwie sztuki bydła, upiekli na ogniu, taj daléj pociągnęli.

Taras drżał nieco na widok tych kudłatych, rosłych, o groźnych obliczach a dzikim wzroku; lecz powracał zawsze do nich myślą i bawił się ich obrazem.

---

(1) *Howerla*, najwyższy szczyt *Czarnohory*.

(2) *Zarośląk*, *Poziżewska*, *Dancerz*, szczyty łańcucha *czarnohorskiego*.

Zdawało mu się, że z nimi można się tak samo, jak z ludźmi ze sioła oswoić... Wszak oni nie pożarają ludzi?... Alboż z nimi nie *besidowano* w pokoju?

Tak samo przebywał Taras i następne lata na połoninach. A górskiém oddychając powietrzem, owiewany wichrami i śnieżycą szczytów, rozrósł się prawie w chłopa.

Kto dziś widział tego rosłego parobczaka o silnéj budowie ciała, cerze smagławéj, a włosach bujnych, lśniących by krucze skrzydła, o oku czarném, w którém się żarzyły nito niedogasłe węgle, ten nie byłby pewnie poznał owego z przed laty sierotki o żółtawém, zapadniętém obliczu, o wystających z pod zmiętéj skóry żebrach.

Gdy teraz poczuł Taras swą siłę, chciałby już zostać *łeginem*, toż najmował się z zapałem do *spławów* na wiosnę, w jesieni, gdy nie był na połoninach; jednakowoż brano go tylko do pomocy starszym *łeginom*. Tu musiał się im wysługiwać, a nieraz wśród zimnéj pluty lub mgły jesiennéj, mrożącéj kości, skakał do wody, by *spław*, zatrzymany gdzie na jakiéj zawadzie, podważyć i daléj popchnąć, choć tam bywali i starsi i silniejsi *kiermanicze* (1). Ale on się rwał do wszystkiego, a nie pytając, czy go tam szarpią i kaleczą ostre nieraz w korycie złomy głazów, z kolanem zranioném, krwią ciekącém, chwytał daléj za *kiermę* i silił się, by go już zechciano uznać za *łegina*.

V.

Gdy Taras został już *łeginem*, a był-ci chłop jak dąbczak: nie krzywo spoglądały nań dziewki z sioła; ale i on nie był téż od tego, gdy jaką zobaczył krasawicę.

Przy *plesaniu* w gospodzie, gdyć którą z nich porwał, taka dobrze trzymać się musiała, by nie ustała w połowie... gdyż był krępy i silny—a obracał się przytém chybko, jak pstrąg górskich potoków. Krasawice téż za nim jak w dym...

Przychodziło zatém często do bitki między *łeginami*, zwłaszcza gdy szedł w *prysiudy* z jaką *donią bohacza*. Wtedy drudzy parobcy dawali mu przydomki, które on odbijał na ich plecach. Ale i ojcowie, co mieli zebrane *srokowce*, nie byli mu radzi; nie mogli chcieć żadną miarą, żeby ich *donie* wychodziły za łegina, na którego nie spadną ni stada owiec ni daleko ciągnące się połoniny.

Lecz tu się daremnie obawiali, gdyż nasz *łegin*, poobracawszy jaką taką w pląsach, rzucał potém, będąc przekonany, że ani ta dla

(1) *Kiermanicz*, flisak u huculów; *kierma*, długie wiosło.

niego, ani on dla niéj. Zresztą do *bohaczów* i ich córek miał jakby wrodzony wstręt—a nieraz nawet wydarzyło się, że jaką *donię* bohacza szturknął, jakby tylko ze złości, choć mu ta nic nie była winna.

I tak razu pewnego, wśród takiéj ochoty, między zebranemi przed gospodą krasawicami była jedna, co ciągle nań poglądała, ale nieśmiało, ukradkiem tylko—i tu się czerwieniła, by leśna kalina. Ale że to była donia bohacza, z którym miał już od dawna na pieńku, nie myślał zatém na to uwagi zwracać. Pamiętał bowiem dobrze onego gazdę, który go jako dzieciaka nie uznał godnym paść swoje gęsi i jak *sobakę* wygnał z chaty. Ha! potém tyle razy zdybywali się jeszcze, patrząc na siebie z pod oka, nito dwa wrogi. Czuł zatém ku temuż niemałą nienawiść: to-ci zaś jego córka!

Nie mogąc na ojcu, chciałby teraz odbić swoje na dziewce. Pląsając zatém z innemi, zostawiał ją jakby naumyślnie, wiedząc, że ona właśnie na to czekała, a gdy przechodził koło niéj, nie wytrzymał, żeby jéj bodaj choć nie szturknął. Gdy zaś Ołena zaczerwieniła się po uszy, i na płacz się biednéj zbierało, czuł wtedy jakieś wewnętrzne nawet zadowolenie; przemyśliwał-ci, jakby bardziéj jeszcze dokuczyć doni bohacza tego. Chciał się mścić na biednéj, za wszystko złe, co mu kiedykolwiek wyrządzono; choć dodać musimy, że czasami, wyrządziwszy jéj jaką krzywdę, żałował potém, i litość go zbierała, iż się tak daleko posunął: bo co ona temu winna, że jest tamtego córką.

Ale zaraz potém starał się w sobie przytłumić wszelką litość, jako niewczesną: miał pewną rozkosz w czynieniu jéj na złość; on się silił, by to było dlań rozkoszą. Był jakby złością pijany.

Ale Ołena cierpiała. Nie mogła się biedna wydziwić, czemu ten *łegin* tak jéj nie cierpi, czemu choć raz łagodniejszém nie spojrzy okiem. Alboż-to ona taka już *pohana*?.. Gdy się przeglądnęła w wodzie, nie zdało się jéj, żeby tak było w saméj rzeczy.

Była to bowiem dziewka jak łani, a oko miała ciemne—nieco przymglone, niby mgłą lekką owiane, ale łagodne. Może i tam tlał płomień?... Ale nader nieśmiało, a przytém jakiś smętek i poddanie się woli drugich cechowało lice dziewczęcia. Miała wiele cierpliwości.. Ona wzdychała, płacząc tylko pokryjomu.

Taras na to nie zwracał uwagi; chwilami go nawet złość porywała, po co ona się patrzy na niego. Chciał tu jéj nową jaką złość wyrządzić... Atoli gdy spojrzał uważniéj, zdało się łeginowi, że te oczy ciemne, nito mraką dymną osłonięte, mają coś pociągającego... Jednak nie chciał nawet przypuścić tego i drgnął ze złości, że tak myśléć może.

Nie chciał się na nią patrzéć, mimo to pojrzawszy ukradkiem, gdy ją spotrzegł zapłonioną, czuł, że i w nim żywiéj krew uderza. Lecz zdawało mu się, że to tylko *uroki*—i miał ochotę wyrządzić jéj psotę jaką, aby już pamiętała, a nie rzucała nań *uroków*.

Gdy nad tém przemyśliwał, poznał, że go obraz przeklętéj onéj dziewki prześladuje. On ją widzi tu... to tam... Tfy! *tumany dyable!..* Toż to przecież nasienie jego wroga!

I silił się jéj nienawidzić, jak i jego nienawidził już oddawna.

Był nawet czas, że zupełnie o niéj zapomniał: obraz téj dziewki wypadł mu całkiém z pamięci. Dnia jednego, po dłużéj trwającéj słocie, wezbrał Prut straszliwie, fale po falach przewalając się, to wirując, pędziły niewstrzymane, unosząc z sobą całe kłody, tać świerki nielada objętości; wtedy wzdłuż rzeki—tu, to tam—stali ludzie i wyłapywali zdobycz, jaką im woda z dalekich puszcz nanosiła, a kobiety i małe dzieci zdala patrzyły, jak chłopy wyciągali z wody materyał leśny.

W jedném tamże miejscu odbiegł nasz Taras zadaleko od drugich, zapędziwszy się za jakąś ogromną kłodą, którą Prut podrzucając do góry, jakby żerdkę, daléj unosił niepowstrzymany. Jak-ci był uparty, tak się na tę prawie *zażarł*, chcąc ją koniecznie zatrzymać. Ale ciężka to była sprawa. I gdy ją już prawie zawracał do brzegu, stracił równowagę i wpadł do wody w bardzo niebezpieczne miejsce, wirem gwałtownym porwany. Tu pasując się i bijąc rękami o spienione fale, usłyszał niewyraźnie, jakby krzyk jakiś przestrachu, a potém ni to wołanie czyjeś u brzegu rzeki.

Szamocąc się z gwałtownym prądem wody, gdy mu się nalało do uszu i do oczu, nic nie widział.... Mimo to zdało mu się, jakoby jemu podawano żerdkę... Lecz ogłuszony hukiem wody, nic nie słyszał.

Wyszamotawszy się, wyskoczył na brzeg, a oszołomiony jeszcze cały, zmordowany długim trudem, spostrzegł, że niedaleko od niego, w dół rzeki, głowa się jakby dziewczęca nad powierzchnię wychyliła wody i w głąb zapadała... Toż pobiegł czémprędzéj brzegiem i ujrzał z przestrachem prądem wody ciało czyjeś podrzucane... ale ona się ostatkiem sił szamotała... Nie namyślając się dłużéj, kto by to był, skoczył czémprędzéj na ratunek tonącéj, a chwyciwszy nieszczęśliwą, będąc sam już niedawnym trudem obezsilony, poszedł zaraz z nią na dno.

Po chwili pokazała się jego głowa w inném już miejscu... I zdało się, że czyjeś ramiona mocno go się uczepiły, ciągnąc pod wodę. W miejscu zaś, gdzie zapadł, pieniła się tylko bardziéj woda i kręgi daléj posuwały z jéj falami, łamiąc się jeden o drugi... Po chwili

gdzieś się znów dalej zapieniło — i sznurem, raz w raz rozrywanym, ciągnęła się dalej piana w dół rzeki. Aż nareszcie na płytszém miejscu, gdzie rzeka szeroko była rozlana, zatrzymane zostało ciało o głazy wielkie, sterczące. Lecz nie był to jeszcze topielec, gdyż konwulsyjnie pasował się rękami i nogami, a drugie jakieś ciało martwe, bez życia, wisiało ramionami mocno młodzieńca uczepione.

Z niemałym trudem doczołgał się ten do brzegu... Tu przetarł oczy, poglądając jakby pijany. Głowa mu się kręciła i w oczach jeszcze ćmiło; potém odczepił zwłoki dziewczyny, składając je na boku. I przeraził się....

Poznał, kto ona była.

Zaczął się teraz oglądać za ludźmi, by przybyto na pomoc. Lecz tu nie było nikogo w pobliżu. Zaczął zatém sam wyciskać wodę z ust jéj rozwartych, to uszu, i czemprędzéj nacierać ciało. Lecz życia nie mógł obudzić.

Po chwili pojawili się ludzie i wzięli martwą na ręce — z obwisłemi rękami a nogami, z włosem w kupę zbitym, zwieszającym się— i nieśli do chaty, gdzie matka zoczywszy w takim stanie *donię*, uderzyła w ręce przestraszona. A potém płacząc i dogadując dziecku śpiewającym głosem, pełnym pieszczot rodzicielki, zaczęła z pośpiechem ogrzewać własném ciepłem *donię*.

Nieszczęśliwa po chwili otworzyła oczy. *Maty* śmiejąc się i płacząc z radości, całowała namiętnie *donię*.

Gdy dziewczyna już się mogła podnieść, siliła zebrać myśli i przypomnieć sobie, co to było.

A gdy nieco odpomniała, z pośpiechem a trwożliwą obawą zaczęła pytać, co się z nim stało. Ale *maleńce* nie mogła, czy raczéj nie chciała, całéj powiedzieć prawdy; zresztą dziewczyna sama nie wiele była świadomą tego, co tu się stało. Przypominała sobie tylko, że ujrzawszy z przestrachem tonącego Tarasa, rozerwała gdzieś *worynie* i wyrwała żerdkę. Chciała ją podać tonącemu... a wszedłszy do wody, zaraz na kraju porwaną została prądem rzeki...

I nie wiedziała dalej, co się stało. Pamiętała tyle tylko, że gdy ją woda chwyciła, by w szpony swoje, szamocąc się przestraszona, biła rękami i nogami, zalana, ogłuszona straszliwym szumem, który dotychczas jeszcze zdaje się tu, to tam huczéć.

Wraz się jeszcze oglądała, zali nie ma już tych fal ciężkich—by kamień, a rączych—by zwierz leśny, smagających zaś siłą jakąś nieprzepartą? zali nie ma już tego szumu, co huczał, rozgłośniéj, niż burza, który gwałtem swym a hukiem bił w nią jakby tysiącami młotów, a wszystko do koła niéj przytłumiał.

Dziewczyna siedziała na ławie i o czémś dumała. A matka, gdy już była pewną że jéj donia uratowana, chciałaby teraz ucałować obie ręce owemu łeginowi złotemu, którego jéj wspomnieli ci, co wnieśli przed chwilą do chaty martwe jéj dziecko. Stara wielką ku niemu czuła wdzięczność, i w pierwszym zapędzie, kiedy pognawszy, przydybała go siedzącego na kamieniu, a w dumach jakichś ugrzęzłego: rzuciła się nań i zaczęła całować mu ręce i lice... On jéj uratował dziecko!

Młodzian się przestraszył, sam nie wiedząc, co miał czynić, gdy mu starsza kobieta całowała raz poraz rękę, to jednę, to drugą. Chciał nieledwie uciekać.

— Ta zmiłujcie się... Co bo czynicie?... Ta dajcie już pokój....

— Mój tatuniu! moja zazulu! moje ty złotko!...

I tu się zaczęła rozpytywać, jak *donia* jéj tonęła — i raz w raz przerywała słowa Tarasowi, całując go po rękach.

— Ta, dajcie pokój!.. Co wy robicie, *maty*?.. Tać jabym mógł być waszém dzieckiem...

I tu jakby się słów własnych przeraził.

— O! bądź mojém dzieckiem!... Niechaj ja ci zostanę matką!.. Tyś mi życie przywrócił... moja ty zazulu, moje światło, światełko!

— Ta, co *ja* takiego *zrobił*?.. Zali miałem stać na brzegu, taj patrzéć, gdy *chrystyanyn pohybaje*?... Tabyście wtedy cisnęli kamieniem na takiego chłopa... Zali miałem sam uciekać, gdy wasza *donia* w wodę zapadała. Tabym był już chyba pies, a nie człowiek. Ano i pies lepszy, niżeli taki człowiek.

Gdy zaś wieczorem wrócił gazda do chaty z dalszéj połoniny, skąd przywiózł z sobą na huculku pełne *berbenice*, zdziwił się, co tu się pod niebytność jego stało. A usłyszawszy, ledwo się nie sierdził, po co dziewka chodziła po nad wodą i zabierała się do wyciągania jakiejś kłody głupiéj — płynącéj?.. (gdyż na to biedna musiała postępek swój złożyć). Czyż on sobie nie ma za co przywieść materyału z lasu?.. Lecz gdy się dowiedział, kto to ją wyratował, zamyślił się ponuro i nie odzywał się więcéj. Wbiwszy wzrok w ziemię, mówił jakby do siebie: „Kara to na mnie, czy co już takiego?“ I mróz mu przechodził po kościach, choć wtedy parno było na dworze.

Gdy jeszcze do tego spostrzegł wdzięczność i zachwycenie kobieciny swojéj ku owemu *łeginowi* i słyszał słowa jéj, prędkie, gwałtowne, które w szybkości prawie połykała, gdy musiał być świadkiem, jak ona błogosławiła złote tegoż serce: wtedy lice mu się przedłużyło, a wzrok stawał matowy. Cała twarz prawie pozieleniała. A pojrzawszy zaś z pod oka na *żinkę*, nic już nie mówił, tylko chciał odejść. Lecz gdy się dowiedział, że ona w pierwszym impecie rzu-

ciła się tamtemu na szyję, całując ręce wybawiciela, spłonął cały krwią, dodawszy tylko krótko, że baba głupia, krótki ma rozum: bo-ci nie poznała, że przecież biedny a *pidły* chłop będzie ratował *dytynu bohacza*.

Przecież taki na spławach nie zarobi za cały tydzień tyle, co tu może dostać za jednę godzinę?...

On go już nagrodzi. Stara chciała więcéj jeszcze mówić, lecz gdy jéj powiedział, że kupi łeginowi w celu zapłaty pas szeroki *kilciami* nabijany, jakiego ten nigdy nie nosił, a może do tego i *poroszczycię* (1): będzie skończony między nimi rachunek; ona tylko się wypatrzyła, nie śmiejąc atoli mówić więcéj, odeszła do swojéj roboty, niechętna.

Taras tymczasem dumał nad tém, co się stało właściwie. Usiłował sobie przypomniéć, co to było wtedy z dziewczyną, kiedy on szamocąc się—tonął, i dlaczego ona się potém topiła... Był wszystek ogłuszony, toż woda mu zaraz oczy zalała... Jednakowoż, co to było w saméj rzeczy?...

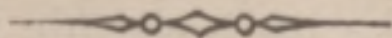
I tu z pomroku myśli wysuwało się coś, czego on jasno nie widział... lecz się zdawał domyślać.

Wtedy żar jakiś płomienny w mózgu rochodził się po całém ciele i paliło go w piersiach. Pulsa jego poruszone dygotały ni to struny drgające: czuł mocno jak uderzały, i zdawało mu się, że nawet słyszy, jakby coś w wnętrzu jego biło młotem. Wszak to kobieta nie bierze się do ratowania człowieka?.. Czemu tużby tak być miało? On, co innego!... Chłop na to stworzony, bo silniejszy, a do tego zaprawia się na *spławach*... Ale kobieta? ale dziewczyna?.. No, to być przecież nie mogło! Lecz myśl ta spokoju mu nie dawała. Poznawał, że czuje mimo to wielki jakiś, dawniéj nieznany, pociąg, tać nawet uwielbienie dzisiaj ku téj dziewczynie. Zali ona jedna na świecie była tu dla niego człowiekiem? O! więcéj, niżeli człowiekiem!... Lecz tu przeraził się, kiedy sobie zaraz pomyślał, kto zaś on?... Nędzarz, znajda, któremu nie mogą zapomniéć, że nie miał ojca... A matka?.. Ach! matka... I tu łzami pierwszy raz zapłakał. Czuł teraz, że mu tajało w piersiach i chciał się od tego uwolnić... Ha! dziś nowe na niego napada nieszczęście!... Nowy to cios!...

---

(1) *Porosznycia*, rzemienie na krzyż na piersiach wraz z torebką i rożkiem na proch.

(*d. c. n.*) *Juliusz Turczyński.*





O JEDNOŚCI MATERYI.

Nauka utrwaliła już oddawna pojęcie o *pierwiastku chemicznym*; lecz stwierdziwszy, że są ciała, które zachowują zawsze swoję odrębność chemiczną, że naprzykład w obecnych warunkach przyrody tlen nie przechodzi w wodór, nauka nie odpowiada na pytanie, co stanowi o odrębnym charakterze każdego pierwiastku; czém w istocie rzeczy różni się tlen od wodoru? Można powiedzieć więcéj: nie mamy dotychczas możności wystawienia sobie czegokolwiek, na czém by polegać mogła różnica pomiędzy pierwiastkami. Jeżeli bowiem myślimy o dwóch cząstkach materyalnych, jednorodnych w sobie, to żadnéj istotnej w nich różnicy wystawić sobie nie możemy.

Zapewne ta okoliczność jest głębszą przyczyną przerzucania się myśli ludzkiéj do przeciwnéj ostateczności: do domysłu, że różnica pomiędzy pierwiastkami jest tylko pozorną i w istocie rzeczy wcale nie istnieje. Hipoteza o jedności materyi jest rozwinięciem téj myśli, która oddawna już powstała i wciąż odradza się w coraz to nowych kształtach. Obecnie odzywają się jeszcze echa długoletniéj walki o myśl Prout'a (1) a przed niedawnym czasem Lockyer w Anglii badaniami spektralnemi wznawiał przypuszczenie, wiele razy bezskutecznie już podawane.

Mamy zamiar wziąć pod rozbiór kwestyę złożoności pierwiastków z punktu widzenia teoryi gazów, którą badania Clausius'a, Clerk-

(1) Sądząc, że wagi atomowe pierwiastków są liczbami wielokrotnemi względem wagi atomowej wodoru, Prout przypuszczał, że wszystkie pierwiastki składają się z wodoru; wszelako Stas ścisłemi określeniami wag atomowych wielu pierwiastków dowiódł, że zależność pomiędzy wagami atomowemi, na której opiera się hipoteza Proua, nie istnieje. W roku 1878 Dumas starał się wykazać błąd w rezultatach Stas'a, dotyczących srebra; lecz przed rokiem Ostwald, a przed kilku tygodniami Lothar Meyer i Seubert udowodnili, że zarzuty francuskiego chemika nie mogą dotyczyć doświadczeń Stas'a.

Maxwell'a, Bolztmann'a i kilku innych fizyków w ostatniém dwudziestopięcioleciu silnie ugruntowały i szeroko rozwinęły. Sankcya, któréj udzieliły tym rozumowaniom wyniki doświadczeń, pozwala stosować niektóre rezultaty teoryi, wyrosłéj na gruncie fizyki, do oświetlenia ze strony mechanicznéj pytania o jedności materyi, jednego z zasadniczych w chemii teoretycznéj.

I.

Mało jest w nauce hipotez, które by równie udatnie wyjaśniały tyle różnorodnych zjawisk i tak dokładnie odpowiadały wymaganiom wiedzy faktycznéj w jéj stanie obecnym, jak pogląd atomistyczny na wewnętrzną budowę ciał. Przez długie wieki—od Empedoklesa, Leucyppa i Demokryta aż do Daltona—pogląd ten był tylko piękną myślą. Wszelako w naukach ścisłych rzucanie myśli nie stanowi postępu, nowy pomysł wpływa na rozwój tych nauk wtedy, gdy wyciągnięto wypływające zeń wnioski i gdy porównano je ściśle ze znanemi zjawiskami. Jeżeli mamy powody do przypuszczania, że każde ciało, każdy gaz np., składa się z bardzo wielkiéj, lecz określonéj liczby drobnych cząstek, to na mocy przypuszczenia tego winniśmy być w możności objaśnienia wszelkich własności, jakie gaz posiada.

Rozpocznijmy od zasadniczéj własności gazów, iż cisną na powłokę, w któréj są zawarte. Newton, a późniéj w zupełniejszéj formie Laplace dali pierwszą odpowiedź na pytanie, zkąd powstaje ciśnienie w gazach. Przypuszczali oni, że cząsteczki gazów wzajemnie się odpychają; podobnie więc jak w ciśnieniu, które kamień wywiera na swoję podstawę, mamy objaw przyciągania pomiędzy kamieniem a ziemią, tak pod postacią ciśnienia gazu na powłokę działałoby odpychanie, czynne pomiędzy jego cząsteczkami. Hipotezy Newton'a i Laplace'a, powiązane z ówczesnemi poglądami na ciepło, jako na płyn nieważki, nie ostały się; lecz nie upadły one wówczas, gdy Daniel Bernouilli, w dziesiątym rozdziale swéj „Hydrodynamiki", (wydrukowanéj w roku 1738-ym) wytłómaczył ciśnienie gazów w sposób zupełnie taki sam, jaki obecnie uznajemy za prawdziwy, a mianowicie za pomocą ruchu cząsteczek i tém proroczo wyprzedził naukę przeszło o stulecie. Dopiero wówczas, gdy wyjaśniono związek, zachodzący pomiędzy ciepłem a pracą mechaniczną, Joule i Thomson obalili jedném wiekopomném doświadczeniem wszelkie hipotezy o międzycząsteczkowém odpychaniu w gazach.

Aby należycie zrozumiéć ciąg rozumowania fizyków angielskich trzeba sobie uprzytomnić, iż nauka dzisiejsza rozróżnia dwa

rodzaje energii t. j. zdolności do wykonywania pracy: energią ruchu, czyli kinetyczną, i energią położenia. czyli potencyalną.

Jeżeli kamień rzucimy do góry, wówczas w *ruchu* jego masy tkwi źródło energii; w miarę wznoszenia się kamienia, prędkość jego ruchu maleje, energia więc kinetyczna stopniowo się zmniejsza aż do chwili, w któréj kamień, dosięgnąwszy najwyższéj swéj wysokości, zatrzymuje się w swym biegu na czas nieskończenie krótki. W chwili téj energia kinetyczna jego zredukowała się do zera.

Nie znikła ona jednak bezpowrotnie, lecz zamieniła się na energią potencyalną, wynikającą z przyciągania pomiędzy kamieniem i ziemią i względnego ich położenia.

Żeby się przekonać, że kamień nasz w istocie posiada pewien zapas energii, dosyć będzie go porównać z innym kamieniem, leżącym na powierzchni ziemi. Jeden i drugi jest w spoczynku, pierwszy jednak posiada zdolność do wytworzenia ruchu, czyli energią *potencyalną*, drugi wymaga zewnętrznéj siły do wprawienia go w ruch. Jeżeli nasz kamień pierwszy będzie mógł swobodnie spadać, przejdzie w odwrotnym porządku całą skalę prędkości, które posiadał przy wznoszeniu się, aż wreszcie dosięgnie ziemi z tą samą chyżością, z którą ją opuścił.

Im wyżéj ciało się znajduje nad powierzchnią ziemi, tém szybkość, z jaką przy spadaniu o ziemię uderzy, będzie większą; tém znaczniejszą zatém jest energia potencyalna ciała, im większą jest przestrzeń pomiędzy nim, a ziemią.

Przypuśćmy na chwilę, że ziemia nie przyciąga ciał, lecz je odpycha; wówczas wszystkie ciała zamiast spadać na ziemię samowolnie by się od niéj oddalały. Dla sprowadzenia ich na jéj powierzchnię potrzebaby zużyć siłę, i energia ich potencyalna dosięgałaby tém większych wartości, im bliżéj by one były ziemi, zupełnie tak samo, jak naprężenie sprężyny spiralnéj, łączącej dwie kule, wzrasta, gdy zbliżamy je ku sobie.

Z drugiéj strony wiadomo, iż energia jest niezniszczalną; ile więc razy kinetyczna wzrasta, potencyalna maleje i naodwrót.

Zestawmy nasze rezultaty: jeżeli dwa ciała się przyciągają, wówczas przy oddalaniu się ich od siebie energia potencyalna rośnie, kinetyczna zaś się zmniejsza. Naodwrót, w razie gdy dwa ciała się odpychają, energia potencyalna maleje, kinetyczna zaś się powiększa w miarę, jak wzrasta dzieląca je odległość.

Wystawmy sobie teraz zamiast ziemi i kamienia dwie cząstеczki. Chcąc rozstrzygnąć pytanie, czy one się przyciągają, czy też odpychają, należy oczywiście zmienić oddalenie pomiędzy niemi; przy-

puśćmy, że je rozsuwamy tj. objętość gazu powiększamy. Zgodnie z powyższym wnioskiem, gdyby cząsteczki gazu się przyciągały, to wraz z powiększeniem oddalenia zmniejszałaby się kinetyczna ich energia, a zatém szybkość ich ruchu; przeciwnie wzrastałaby, gdyby pomiędzy niemi działały siły odpychające.

Ponieważ zaś ruch cząsteczek stanowi ciepło, zawarte w gazie, więc w pierwszym wypadku gaz by się oziębił, w ostatnim się ogrzał. Doświadczenie wykazało, że gazy, rozprężając się swobodnie, t. j. w sposób taki, że działają jedynie tylko siły czynne pomiędzy cząsteczkami, *oziębiają się*, co dowodzi istnienia sił przyciągających, nie zaś odpychających. Ponieważ jednak wspomniane oziębianie się jest bardzo nieznaczne, trzeba więc wnosić, że i przyciąganie, działające pomiędzy cząsteczkami gazów, jest słabe.

Skoro jednak cząsteczki nie odpychają się pomiędzy sobą przeto wytłómaczenia ciśnienia gazów musimy szukać gdzieindziéj. Wystawmy sobie, iż cząsteczki gazów nie znajdują się w spoczynku; lecz że biegną z wielką szybkością we wszystkie strony i uderzają wciąż o ścianki naczynia, które je otacza; czyż grad tych maleńkich, lecz niezliczonych i szybko pędzących pocisków nie wywrze skutku, który zwiemy ciśnieniem? Kto zechce pojąć, czém ma być gaz według tego poglądu, powinien wystawić sobie chaos, jaki panuje w każdym centymetrze sześciennym, wypełnionym przez jakikolwiek gaz. Miljony cząsteczek biegną tam bezustannie w rozmaitych kierunkach; każda cząsteczka porusza się wzdłuż linii prostéj, lecz co chwila uderza o ściankę lub o inną cząsteczkę, zostaje odbitą, a wówczas, zmieniwszy tylko kierunek biegu, co prędzéj dąży daléj, by nowe napotkać cząsteczki, lub znów uderzyć o ściankę. Cóś podobnego zachodzi, gdy potrząsamy pudełko, zawierające w sobie drobny śrót wszakże z tą różnicą, że naczynie, zawierające gaz, nie potrzebuje być w ruchu dla ciągłego trwania gradu cząsteczkowego.

Wartość téj hipotezy o przyczynie ciśnienia w gazach polega na tém, że można ją było rozwinąć dokładnie przy pomocy rachunku, i nie tylko wyjaśnić wszystkie znane własności gazów, ale nadto przewidzieć i liczbowo oznaczyć takie zjawiska, które późniéj dopiero odkrywano i badano doświadczalnie. Łatwo wyliczyć, jaką powinna być *prędkość* ruchu prostolinijnego cząsteczek, który stanowi stronę charakterystyczną téj hipotezy. Z obliczenia naszego wypada, że np. cząsteczki wodoru przy temperaturze topniejącego lodu mają przeciętną szybkość ruchu 1698 metrów na sekundę, tlenu 425 m., siarkowodoru 400 m. i t. d.

Zatrzymajmy się na chwilę nad temi liczbami, ponieważ co do znaczenia ich zajść może nieporozumienie, które zrodziłoby nieuf-

ność do nich. Gdy fizyk mówi o prędkości dźwięku w powietrzu i o prędkości ruchu cząsteczek wodoru, nadaje on tym dwom twierdzeniom zupełnie inną wartość, zapatruje się na nie z rdzennie odmiennego stanowiska. Mówiąc o prędkości dźwięku w powietrzu, nie robimy żadnych przypuszczeń, prócz tego, że zmysły nasze stale nas nie zawodzą. Gdy zaś wyliczamy prędkość ruchu cząsteczek w gazach, badamy raczéj hipotezę naszą, niż przyrodę; wyliczamy bowiem, jakie prędkości musiałyby mieć cząsteczki, żeby gaz w danych warunkach wywierał takie ciśnienie, jakie wywiera w istocie,— jeśli ciśnienie gazu wynika istotnie tylko z ruchu prostolinijnego jego cząsteczek. Musimy więc wyrażać się bardzo oględnie i powiedzieć naprzykład, jeżeli jest prawdą, że gazy składają się z cząsteczek, że cząsteczki te obdarzone są ruchem prostolinijnym, że ciśnienie, wywierane przez gaz jest skutkiem tego ruchu, to cząsteczki gazów poruszają się z prędkością, wyrażoną przez liczby, które powyżéj przytoczyliśmy.

Lecz prędkości te mogą być błędnie rozumiane pod innym jeszcze względem. Jeżeli cząsteczki siarkowodoru mają prędkość ruchu tak znaczną, że pół wiorsty przypada na jedną sekundę, to dla czegoż silny zapach tego gazu nie rozchodzi się w pokoju jednochwilowo? dla czego cząsteczki dymu tak powoli rozpraszają się w spokojném powietrzu? dla czego gaz zabarwiony (np. chlor) wprowadzony na dno naczynia, tylko z wielką powolnością rozchodzi się i do górnéj jego części? — Odpowiedź jest bardzo prosta. Cząsteczki poruszają się wprawdzie z wielką szybkością, ale przy każdém spotkaniu zmieniają kierunek swego biegu, z powodu zaś wielkiéj swéj liczby, spotykają się one nadzwyczaj często, tak, iż pomimo wielkiéj prędkości, z jaką biegną, posuwają się naprzód bardzo powoli. Ów pielgrzym, który szedł dwa kroki naprzód a jeden w tył, odbywał drogę jednéj mili oczywiście trzy razy dłużéj, niż gdyby był szedł normalnie, bo téż istotnie, aby posunąć się w drodze swéj o milę, musiał on rzeczywiście ujść trzy. Wystawmy sobie, że inny pielgrzym postanawia co cztery kroki, zrobione naprzód, czynić trzy wtył; wtedy ta sama droga, którą, równie szybko chodząc, wykonałby w godzinę, zajmie mu siedem godzin, a każda mila, o którą się posunie, wymagać będzie istotnego odbycia drogi siedmiu mil. Wystawmy sobie trzeciego pielgrzyma, który po dziesięciu krokach naprzód, o dziewięć się cofa; ten będzie się posuwał jeszcze wolniéj, chodząc równie prędko, jak dwaj pierwsi, i jeszcze więcéj na każdą milę zrobioną odbyć musi drogi. Cóż będzie, jeżeli pielgrzym nie tylko cofać się będzie po swéj drodze, ale zbaczać z niéj pocznie na prawo i na lewo, i tylko od czasu do czasu zrobi krok, wiodący go do celu pielgrzymki? Otóż takim pielgrzymem jest każda cząsteczka

gazu; więc nie można się dziwić, że pomimo szybkości cząsteczek większéj niż prędkość kul armatnich, niż chyżość, z jaką dźwięk się rozchodzi w powietrzu, wzajemne mieszanie się gazów odbywa się z wielką powolnością. Cały szereg zjawisk, zauważonych w gazach, wynika z tego zadziwiającego mechanizmu ruchu cząsteczkowego, i tak samo jak z wielkości ciśnienia gazu wnioskowaliśmy o prędkości ruchu jego cząsteczek, podobnież ze zjawisk dyffuzyi, z własności przewodnictwa cieplnego gazów, z własności ich, t. zw. lepkości, możemy wyliczyć, jak długą może być przeciętna droga cząsteczki pomiędzy dwoma po sobie następującemi spotkaniami; albo też wiele spotkań odbywa przeciętnie przez sekundę jedna cząsteczka. Cząsteczka wodoru np. winna (przy $+20^0$C. i ciśnieniu jednéj atmosfery) odbyć drogę, równą 0,000018 cm. pomiędzy dwoma spotkaniami i *9480 milionów* razy spotykać się z innemi cząsteczkami w ciągu jednéj sekundy.

II.

Zanim powrócimy do kwestyi istoty pierwiastków, musimy z innéj jeszcze strony uzyskać dla wnioskowań naszych nowe punkty oparcia.

Wystawmy sobie dwie objętości dwóch różnych gazów, np. tlenu i azotu. Gdybyśmy pragnęli zbadać, jaką część grama waży cząsteczka tlenu, to musielibyśmy w tym celu wykonać dwie operacye: zważyć np. litr tlenu i policzyć, wiele w litrze tlenu mieści się jego cząsteczek. Wszelako dokładnego sposobu oznaczenia liczby cząsteczek w danéj objętości gazu nie posiadamy. Gdybyśmy tedy umieli dobrać takie dwie objętości tlenu i azotu, któreby zawierały *jednakową* liczbę cząsteczek, to, zważywszy takie dwie objętości, rozwiązalibyśmy przynajmniéj część zagadnienia: otrzymalibyśmy bowiem *stosunek* wag cząsteczek tlenu i azotu. Jeżeli mówimy, że wagi cząsteczkowe tlenu i azotu mają się do siebie, jak 8 : 7, to nieokreślamy przez to wagi każdéj z nich, gdyż mnóstwo liczb czyni zadość temu warunkowi; lecz stwierdzamy pewną zależność, która wyłącza nieskończoną ilość liczb, nie pozostających ze sobą w stosunku 8 do 7.

Avogadro wskazał, że *dwie równe objętości* dwóch gazów zawierają zawsze *jednakową* liczbę cząsteczek przy téj samej temperaturze i tém samém ciśnieniu; i tém dał chemii sposób owego połowicznego odważania cząsteczek gazów i par. Obrawszy najlżejszą cząsteczkę, jaką znamy, t. j. cząsteczkę wodoru za jednostkę porównawczą, potrzebujemy tylko, na mocy prawa Avogadra, porównać dwie równe objętości wodoru i danego gazu lub pary, by znaleść wagę cząsteczki azu lub pary w skali cząsteczki wodoru.

Przyjmując hipotezę Avogadra, wielokrotnie już potwierdzoną i wciąż jeszcze potwierdzaną, pojmujemy dla czego chemicy pilnie określają, *jakie są wagi dwóch równych objętości*: pewnego gazu lub pary z jednéj, a wodoru z drugiéj strony (lub téż powietrza, ponieważ stosunek wag jednakowych objętości wodoru i powietrza dokładnie jest znany). Oznaczenie to odbywa się téż często pod formą odwrotną: określa się objętości, jakie zajmują dwie równe wagi dwóch porównywanych z sobą ciał lotnych. Zapamiętajmy, że z takich oznaczeń wyprowadzono, pomiędzy wieloma innemi podobnemi, i taki wniosek: cząsteczka pary rtęci, t. j. taka jéj ilość, która biegnie samodzielnie po linii prostéj w parze rtęci, waży 100 razy więcéj, niż cząsteczka wodoru.

Idąc daléj, spostrzegamy, że w niektórych przypadkach nie może ulegać wątpliwości, iż cząsteczka gazu lub pary musi jeszcze być złożoną. Przypadek taki zachodzi w ciałach chemicznie złożonych. Tak np. cząsteczka chlorowodoru musi składać się co najmniéj z jednego atomu chloru i jednego atomu wodoru, które, utrzymywane przez siły, zwane „powinowactwem chemiczném“, mogą wprawdzie poruszać się samodzielnie, lecz tylko w pewnych granicach; nie rozchodzą się one bowiem i tworzą całość, ożywioną ruchem postępowym.

Zestawmy wagi trzech cząsteczek: wodoru, chlorowodoru i pary wodnéj. Jeżeli cząsteczka wodoru waży *1* (jako jednostka porównawcza w cząsteczkowym systemacie wag), to, jak się przekonano, cząsteczka chlorowodoru waży $18^1/_4$, a cząsteczka pary wodnéj *9*. Liczby te stanowią sumę wag atomów chloru i wodoru, oraz tlenu i wodoru, zawartych w owych cząsteczkach. Lecz możemy sumy te rozłożyć na pojedyncze składniki; wiemy bowiem z analizy chemicznéj, że stosunek wag wodoru i chloru w chlorowodorze jest taki, jak 1 : 35½, a w wodzie wodoru i tlenu, jak 1 : 8. Ztąd wypada, że wodór, zawarty w cząsteczce chlorowodoru, waży ½ (wciąż w systemacie, w którym jednostką jest waga cząsteczki wodoru), a chlor w téj cząsteczce *17*$^3/_4$; daléj wypada, że wodór w cząsteczce wody waży *1*, a tlen *8*. A zatém taka ilość wodoru, która stanowi *cząsteczkę* jego, dzieli się na dwie części, w chwili, gdy tworzy z chlorem chlorowodór; do cząsteczki chlorowodoru wchodzi bowiem tylko jedna taka część. Cząsteczka tlenu waży *16*; zatém przy tworzeniu się wody, wchodzi do każdéj cząsteczki pary wodnéj cała cząsteczka wodoru i pół cząsteczki tlenu. Takich dzieleń się cząsteczek chemia zna niezliczone mnóstwo; sądzimy, iż czytelnik sam znalazł wyjaśnienie, jakie dać im trzeba. Cząsteczki wodoru, tlenu, chloru są złożone z atomów wodoru, tlenu i chloru, zupełnie tak samo, jak cząsteczki chlorowodoru lub pary wodnéj. Dotychczasowe nasze przykłady

prowadzą nas do przypuszczenia, że cząsteczkę wodoru składają dwa jego atomy, podobnież cząsteczkę tlenu; lecz wszystkie przykłady połączeń, w skład których wchodzą tlen i wodór, wymagają również przyjęcia téj właśnie liczby 2, a nie większéj. Wniosek przeto, iż cząsteczki tlenu i wodoru składają się istotnie z dwóch atomów każda, mamy prawo uważać za bardzo prawdopodobny; a nawet zdołalibyśmy ściśle wyliczyć niezmiernie wysoki stopień tego prawdopodobieństwa, według zasad, które rozwija odnośny dział analizy matematycznéj. Prawdopodobieństwo tego twierdzenia jest nadzwyczaj bliskiem *pewności*, wszakże nią nie jest; dowolnie blisko zbliżać się może do pewności, lecz ściśle nie osiągnie jéj nigdy.

III.

Umiejąc zważyć cząsteczkę i zważyć atom, nie znajdziemy trudności w rozstrzygnięciu pytania, z ilu atomów składa się cząsteczka jakiegokolwiek ciała lotnego. Ponieważ np. dla tlenu, wodoru, azotu, chloru waga cząsteczkowa wypada dwa razy większa od atomowéj, dla ozonu—trzy razy, dla pary fosforu —cztery razy, przeto cząsteczki tlenu, wodoru, azotu i chloru składają się każda z dwóch, ozonu z trzech, a pary fosforu z czterech atomów odrębnych. Dla pary rtęci wypadł rezultat szczególny: waga cząsteczkowa i atomowa są, jak się okazuje, równe. Trzeba więc wnioskować, że w parze rtęci porusza się samodzielnie, jako cząsteczka, pojedynczy jéj atom.

Poznawszy złożoność cząsteczek, wnioskowaliśmy, iż atomy nie mogą pozostawać w nich w spoczynku, lecz muszą poruszać się ruchem samodzielnym, nie przestając niezależnie od tego uczestniczyć w ogólnym biegu prostolinijnym całéj cząsteczki. Teraz spróbujmy dowieść, że tak jest w istocie.

Ciśnienie, wywierane przez gaz, wynika, jak wiemy, tylko z ruchu cząsteczek, jako całości; ruch atomowy bezpośredniego wpływu na ciśnienie mieć nie może. Ztąd wynika, że powiększanie się ciśnienia w gazie wówczas gdy go ogrzewamy, wypływa ze wzmagania się energii prostolinijnego ruchu cząsteczkowego wraz z podnoszeniem się temperatury. Zadajmy sobie więc pytanie następujące: czy przyrost energii ruchu cząsteczkowego podczas ogrzewania gazu jest równy, czy téż jest mniejszy od pracy, jaką wykonywa ciepło wewnątrz gazu, gdy temperatura jego się podnosi? Innemi słowy, czy ciepło, doprowadzane do gazu, zużywa się tylko na powiększanie energii ruchu cząsteczkowego, czy téż jeszcze na coś więcéj?

Żeby odpowiedzieć na to pytanie, zauważmy przedewszystkiem, że wszelki gaz można ogrzewać na dwa różne sposoby. Przypuśćmy, że gaz zawarliśmy w cylindrze o tłoku, szczelnie się zamykają-

cym. Jeżeli podczas ogrzewania będziemy utrzymywali tłok wciąż na jednéj wysokości, to objętość gazu pozostanie stałą; natomiast temperatura i ciśnienie jego się podniosą. Możemy postąpić inaczéj: pozwalać, aby gaz podnosił tłok w miarę ogrzewania się, tak, iż objętość gazu będzie obecnie wzrastała wraz z temperaturą, lecz ciśnienie pozostanie stałem: będzie ono wciąż równém zewnętrznemu ciśnieniu powietrza otaczającego. Oczywistą jest rzeczą, że przy takich dwóch sposobach ogrzewania, ciepło ma do wykonania pracę niejednakową. Pierwszy sposób nazywać będziemy ogrzewaniem przy stałéj objętości, drugi—przy stałém ciśnieniu.

Przypuśćmy, że rozpoczynamy od zera i ogrzewamy gaz przy stałéj objętości aż do temperatury t, gdy temperatura wzrasta, wciąż nowe ciepło wchodzi do gazu. Ponieważ przy ogrzewaniu przy stałéj objętości gaz sam nie wykonywa żadnéj pracy na zewnątrz, przeto całe ciepło, które podówczas pochłania, idzie na powiększenie sumy wszystkich rodzajów energii, któremi obdarzone są cząsteczki i atomy gazu. Sumę tych energii, t. j. całkowitą wewnętrzną energię cieplną gazu oznaczmy przez H; a zatém jedynie H wzrasta, gdy temperatura gazu, przy stałéj objętości, podnosi się od o do t. Jeżeli w tych warunkach trzeba było użyć q jednostek ciepła, aby ogrzać gaz o t stopni, to ogrzanie o jeden stopień wymaga t razy mniéj, czyli q ciepła. Tę ilość ciepła, jaka potrzebna jest, ażeby temperaturę danego ciała podnieść o jeden stopień, nazywamy *cieplikiem właściwym* tego ciała. Otóż powyżéj otrzymaliśmy, że cieplik właściwy gazu *przy stałéj objętości* równa się $\frac{q}{t}$; oznaczmy go przez c.

Jeżeli teraz ogrzewamy gaz do téj saméj temperatury t, przy stałém ciśnieniu, to suma energii wewnętrznéj H wzrosnąć musi tyleż, co i w poprzednim razie, ponieważ przy jednakowéj temperaturze wielkość H jest zawsze ta sama. Lecz prócz powiększania energii H, ciepło zmuszone było pokryć straty energii, które gaz ponosił, przy podnoszeniu tłoka; musiał on mianowicie przezwyciężać ciśnienie zewnętrzne, by zwiększyć swą objętość. Ztąd wynika, że w drugim razie ciepła do gazu wejść musi więcéj, przy jednakowém podniesieniu się temperatury, np. Q; i że cieplik właściwy przy stałém ciśnieniu Q (oznaczmy go przez C) jest większym, niż c, cieplik właściwy przy stałéj objętości. Ponieważ Q o tyle jest większe q, ile potrzeba było ciepła na podniesienie tłoka, więc różnica $Q—q$. czyli. co wychodzi na jedno, $(C—c)t$ mierzy pracę zewnętrzną, którą wykonało ciepło przy ogrzewaniu gazu od o do t.

Wystawmy sobie teraz, że zerem, od którego rozpoczynamy ogrzewanie, jest *zero absolutne*, t. j. taka temperatura, przy któréj

w gazie wcale nie byłoby ciepła. Wówczas uprzedni nasz przyrost energii H pomiędzy temperaturami o i t będzie równym całéj ilości energii H, jaka się w gazie przy temperaturze t znajduje, gdyż przy zerze absolutném energii H w gazie wcale jeszcze nie było. Ztąd wnioskujemy, że $c.t$ *mierzy energię cieplną* H, *zawartą w gazie przy temperaturze* t; podobnie jak $(C-c)t$ mierzy całą pracę zewnętrzną, wykonaną od zera absolutnego do t.

Oznaczmy *całkowitą wielkość energii kinetycznéj wynikającéj z ruchu postępowego cząsteczek* przez K. Pytanie, które sobie powyżéj postawiliśmy, sprowadza się tedy do odnalezienia stosunku pomiędzy wielkościami H i K. Claudius a następnie ściśléj i ogólniéj Maxwell i O. E. Meyer udowodnili, że wielkość energii cząsteczkowéj K jest zawsze równą wartości pracy zewnętrznéj gazu, wykonanéj od zera, pomnożonéj przez $\frac{3}{2}$. Zestawiając twierdzenie to z poprzednio otrzymanym wzorem, widzimy, co następuje: całkowita suma energii, zawartéj w gazie t. j. H odpowiada wielkości $c.t$; natomiast energia K, wynikająca z postępowego tylko ruchu cząsteczek, odpowiada wielkości $\frac{3}{2}(C-c)t$. Możemy więc łatwo obliczyć, w jakim stosunku pozostają do siebie owe dwie energie; znajdujemy

$$\frac{K}{H} = \frac{\frac{3}{2}(C-c).t}{c.t} = \frac{3}{2}\left(\frac{C}{c} - 1\right) = \frac{3}{2}(k-1),$$

jeżeli przez k oznaczymy stosunek $\frac{C}{c}$ obu cieplików właściwych. Powierzchownie nawet obeznany z fizyką czytelnik wié, że owa wielkość k odgrywa doniosłą rolę w teoryi ciepła, w teoryi dźwięku. Nam należy poprzestać na wzmiance, że istnieją sposoby określania stosunków cieplików właściwych niezależnie od wielkości samych cieplików, i że znamy wielkość jego dla wielu gazów i par. Dla tlenu np. stosunek k wynosi prawie dokładnie 1,4; zatém wypada, że dla tlenu $K = 0,60 . H$, t. j. energia postępowego ruchu cząsteczek wynosi tylko 60% całkowitéj ilości energii, w gazie zawartéj. Podobnież dla wodoru, dla azotu wypada 60%, dla par wody i dwutlenku węgla około 42%, dla etylenu około 29%.

Trzeba uznać, że dane te potwierdzają w sposób uderzający rezultaty, do których prowadzą rozumowania czysto chemicznéj natury, względne odważanie cząsteczek i atomów. Jeżeli w gazach energia ruchu postępowego cząsteczek stanowi tylko część całkowitéj energii gazu, jak w przytoczonych przykładach od 60% do 29%, to resztę, t. j. od 40% do 71%, stanowić musi energia atomowa. Rze-

czywiście téż im większą jest liczba atomów w cząsteczce, tém większą jest energia atomowa w porównaniu do cząsteczkowéj: kiedy w wodorze dwuatomowym np. energia atomowa stanowi tylko 40% całkowitéj zawartości energii gazu, w parze eteru t. zw. siarczanego $C_4H_{10}O$, którego cząsteczka zawiera piętnaście atomów, energia atomowa wynosi 91% całéj energii, jaką zawiera w sobie para eteru.

Formuła, którą powyżéj wyprowadziliśmy i która daje wszystkie te rezultaty, była już znaną od lat dwudziestu (od r. 1857, w którym ogłosił ją Clausius), kiedy przyszła Kundtowi, profesorowi uniwersytetu w Strasburgu, myśl sprawdzenia jéj w nowy sposób. Wiemy już, że chemicy doszli do wniosku, iż cząsteczka pary rtęci składa się z jednego tylko atomu. Jeżeli tak jest w istocie — rozumował Kundt — to wewnątrz-cząsteczkowéj energii w parze rtęci być nie może; zatém cała jéj energia cieplna musi być wyłącznie energią ruchu postępowego. Jeżeli więc ważenia atomów i cząsteczek są prawdziwe, to dla pary rtęci powinniśmy mieć

$$K = H, \text{ czyli } \frac{K}{H} = 1.$$

Lecz jeżeli iloczyn $\frac{3}{2}(k-1)$ ma być równym *1*, to k winno mieć wielkość $1 + \frac{3}{2} = 1{,}667$. Określenie tedy wartości stosunku k dla pary rtęci była niezmiernie ważném i ciekawém.

Prof. Kundt wykonał trudne to określenie i wywołał niemałe wrażenie w świecie uczonym, gdy ogłosił, że z szesnastu, doskonale zgadzających się doświadczeń, wypadła dokładnie jako rezultat przeciętny, liczba 1,667, ta sama, którą teorya przewidziała i wyliczyła naprzód. Była to niewątpliwie chwila tryumfu kinetycznéj teoryi gazów.

IV.

Ale rezultat, otrzymany przez Kundta, doprowadza do dalszych wniosków i, jak się zdaje, nie dostatecznie oceniono jeszcze jego doniosłość. Ciekawą i ważną stroną doświadczenia Kundta jest to, że pozwala ono zająć pewne stanowisko względem hipotezy, o któréj wzmiankowaliśmy na początku, a mianowicie, że pierwiastki chemiczne składają się z elementów prostszych, i że nadejdzie dzień, w którym rozłożone zostaną.

Okazaliśmy, że stosunek cieplików właściwych jakiegobądź gazu może wynosić $1\,{}^2/_3$ *tylko* w tym razie, gdy *wewnątrz* jego cząsteczki, t. j. wewnątrz téj masy, która biegnie po linii prostéj *nie za-*

chodzi żaden ruch. Możemy więc twierdzić, że cząsteczkę pary rtęci stanowi jeden jéj atom, że wewnątrz tego atomu nie ma już ruchu.

Przypuśćmy na chwilę, że rtęć jest ciałem złożoném, że atom jéj składa się z drobniejszych jeszcze cząstek. Wiemy, że cząsteczki te są nieruchome. Lecz jeżeli tak jest, to brak czynnika, któryby utrzymywał cząstki te w pewném od siebie oddaleniu, brak siły odśrodkowéj, która wynika z ruchu i znika wraz z jego ustaniem, a która jedynie jest w możności zrównoważyć dośrodkowe działanie siły przyciągającéj. Cząsteczki więc, składające atom rtęci—jeżeli wogóle istnieją takie cząstki—stykają się ze sobą bezpośrednio. Gdy do tego wniosku dotarliśmy, możemy powiedziéć, że albo *rtęć jest ciałem bezwzględnie prostém* albo téż, że *jest czémś więcéj niż zwykłém połączeniem chemiczném.* W związkach chemicznych rozkład polega zawsze na oddzieleniu od siebie atomów, poruszających się w cząsteczce ruchem własnym. Jedynym środkiem do wywołania takiego rozkładu jest powiększenie energii ruchu pojedynczych atomów, składających cząsteczkę, czy to przez ogrzanie ciała, czy téż przez wprowadzenie w grę obcych silniejszych przyciągań (reakcya chemiczna), na podobieństwo tego, jak jedynym środkiem oderwania kamienia, uwiązanego za pomocą sznurka do punktu stałego i zataczającego wokrąg niego koła, jest: albo powiększenie szybkości jego absolutnego ruchu, póki sznurek się nie zerwie, albo téż oderwanie go siłą obcą, np. siłą rąk naszych.

Ponieważ więc idealne części składowe cząsteczki rtęci nie są obdarzone ruchem własnym, ponieważ daléj, zlane w jedną masę przyciągają się one silniéj, niż jakiekolwiek obce ciało mogłoby to uczynić, więc *rozłożyć cząsteczki rtęci niepodobna.* Co więcéj rtęć, gdyby nawet przypuszczenie o jéj istotnéj złożoności było prawdziwe, *byłaby pomimo to nierozkładalną.*

„Pierwiastkami" nazywa chemia ciała, których dotychczas nie zdołano rozłożyć. Określenie to naprowadza na niewątpliwie ponętne dla umysłu przypuszczenie, że to, co nazywamy pierwiastkiem, jest tylko bardzo trudno rozkładającym się związkiem. Wydaje się wtedy, że każdego czasu oczekiwać możemy rozłożenia tego lub owego pierwiastku, i umieszczenia go w rzędzie połączeń, jak woda potaż lub sól kuchenna; że wyraz pierwiastek odpowiada pojęciu subiektywnemu, tymczasowemu, zależnemu od doskonałości wiedzy, a nie czemuś rzeczywiście istniejącemu w przyrodzie. Otóż co do rtęci—dowiadujemy się, że tak nie jest; że istnieją zasadnicze różnice pomiędzy t. zw. pierwiastkami a połączeniami chemicznemi.

Z tego, co powiedzieliśmy, musimy wnosić, że jeżeli „pierwiastki" są ciałami złożonemi, to stanowią one kategoryą ciał, tak samo

dalekich od połączeń chemicznych, jak dalekie są połączenia chemiczne od prostych mechanicznych mieszanin. Rozumowanie nasze, nie sprzeciwia się bynajmniéj myśli, iż pierwiastki w istocie rzeczy składają się z jednéj podstawowéj materyi; lecz poddaje ono hypotezę o jedności materyi głębokiemu przeobrażeniu.

Może się wydać, iż doniosłość rezultatu, do którego zostaliśmy doprowadzeni, nie odpowiada pewności drogi, którą przy wnioskowaniu przebyliśmy; lecz zasługuje na uwagę okoliczność, że w pokrewnych dziedzinach fizyki i chemii cząsteczkowéj rozpatrywanie prawa Dulonga i Petita a także wielkości ciężarów atomowych doprowadziło niektórych uczonych do wniosków tych samych (Berthelot) lub analogicznych (Ostwald). Ciała, które w chemii współczesnéj nazywamy pierwiastkami, nie są zwykłemi chemicznemi połączeniami.

E. i *W. Natansonowie.*



Z POEZYI LEOPARDI'EGO.

NIESKOŃCZONOŚĆ.

Zawsze lubiłem to samotne wzgórze
I ten drzew szpaler, co nie daje oczom
W widnokręgowym utonąć lazurze.
Kiedy tam siedzę i dumam, duch tworzy
Świat nowy: pustych, milczących przestworzy,
I marzy owę uroczystą ciszę,
Gdzie nic nie wstrząśnie serca. A gdy słyszę
W dole huczący wiatr, tę nieskończoną
Cichość i ten głos, a potém ich sprzeczność
W myśli méj ważę i czuję w nich wieczność,
Epokę zmarłą dawno i minioną
I teraźniejszość, w któréj tętni życie.
Tak w nieskończoność myśli moje toną
I słodkie mi jest w morzu tém rozbicie.

KOLÉJ RZECZY.

Od gałęzi oddarty
Matczynéj, listku mały,
Dokąd lecisz? – Z bukowéj
Szypułki wiatr mię porwał na rozłogi,
I przepędza uparty,
Z lasu goni na łany,
Z pola mię rzuca na wysokie skały.
I nie mam innéj drogi,
I cel mi inny prócz jego — nieznany.
Dążę, dokąd świat wszystek:
Dokąd w wiecznéj podróży
Lecieć musi liść róży
I wawrzynowy listek.

E. P.



ROBERT OWEN I OWENIZM.

Wiek XVIII pozostawił wiele zagadnień i pragnień niespełnionych. Wielkie hasła rewolucyi francuskiéj: *wolność*, *równość*, *braterstwo* odzywały się coraz rzadziéj i coraz ciszéj. Wśród szczęku oręża długich wojen napoleońskich, wzmógł się militaryzm i przywracał dawne okrzyki i dążenia. Rozpoczęła się reakcya na wszystkich polach. Chciano wrócić ku dawnym podstawom, które zdawały sie zapewniać więcéj stałości porządkowi politycznemu i społecznemu. Zwrot jednak zupełny był niemożebny. Stanęły mu na przeszkodzie głównie dwie potęgi, coraz bardziéj wzmagające się: *nauka* i *przemysł*. We wszystkich gałęziach wiedzy dokonał się wielki postęp na początku XIX stulecia, ale szczególnie rozwinęła się mechanika, fizyka i chemia; dość tu przypomnieć takie nazwiska, jak Lagrange'a, Galvani'ego, Volty, Younga, Fresnela, Fouriera, Biota, Lavoisiera, Daltona, Davy'ego, Berzeliusza i t. d. Jeżeli pod względem nauki Francya nie ustępowała, a nawet—można powiedzieć—przodowała Anglii, to ta znów niewątpliwie zajęła pierwsze miejsce pod względem rozwoju przemysłu. I co szczególną zwraca tam uwagę, to okoliczność, że do tego olbrzymiego rozwoju przyczynili się głównie nie uczeni, lecz przemysłowcy praktyczni, jak Arkwright, Watt, Fulton, Boulton, Murdoch, Wincler i t. d. Skutkiem wynalazku Arkwrighta, zaczęły się mnożyć wielkie przędzalnie; Watt i Boulton, udoskonalając machinę parową, przyczynili się potężnie do rozwoju przemysłu fabrycznego; w ich warsztatach Murdoch zastosował po raz pierwszy oświetlenie gazowe. W Anglii to w roku 1804 zbudowano pierwszy wóz parowy, który można już było zastosować do przemysłu, a w r. 1810 Wincler zawiązał w Londynie pierwsze stowarzyszenie gazowe.

Nauka, wdzierając się coraz bardziéj w tajniki przyrody, z jednéj strony torowała drogę pozytywnemu myśleniu i osłabiała teolo-

giczne poglądy; z drugiéj — wspierała rozwój wielkiego przemysłu, który burzył ostatecznie dawne podstawy ekonomiczne porządku społecznego. Jakież miały być nowe podstawy ekonomiczne, któreby w przyszłości zastąpiły dawne? Wiek XVIII nie dał zadawalniającéj odpowiedzi. Niektóre tylko potężne umysły, jak Wiliam Godwin, Fichte, Staszic, Adam Wawrzyniec Rzewuski, pod natchnieniem wielkich haseł rewolucyjnych, skreślali w ogólnym zarysie przyszłe podstawy odnowionych społeczeństw. We Francyi mniemano nawet, że można było za pomocą gwałtownego przewrotu zaprowadzić nowy porządek społeczno-ekonomiczny. Do próby téj jednak nie dopuszczono. Babeuf i Darthé przypłacili życiem chęć jéj dokonania. Czy próba mogła mieć powodzenie? Obliczając wszystkie przypadki przyjazne i nieprzyjazne, musimy powiedzieć, że było to niepodobieństwem. Historya ruchu socyalistycznego w XIX stuleciu przekonywa nas o tém jeszcze bardziéj.

I.

Życiorys Owena. — New-Lanarck i New-Harmony. — Ruch spółdzielczy. Udział Owena w ruchu robotniczym i stosunek jego do socyalistów.—Charakterystyka Owena. — Jego synowie.

Dziwne przestawia się nam na pierwszy rzut oka zjawisko. W największym rozpędzie reakcyi w Anglii pojawia się nieznany człowiek, pochodzenia plebejskiego, i zaczyna jak prorok z czasów biblijnych głosić, że nadszedł czas, ażeby dawny, nieracyonalny porządek zastąpić innym, a możni tego świata, ku którym się zwraca, słuchają go, potakują mu niekiedy, a czasami szukają go nawet, jak np. następca tronu rosyjskiego Mikołaj, książęta austryaccy Jan i Maksymilian.

Człowiekiem tym, prorokiem tym — bo istotnie nazwa ta przypada bardzo do niego — był *Robert Owen*, którego żywot pokrótce opowiem, posługując się głównie jego własną autobiografią (1).

Robert Owen urodził się 14 maja 1771 r. w miasteczku Newton, znajdującém się w północnéj części księstwa Walii. Ojciec jego był siodlarzem i prowadził przytém handel żelastwem. Matka pochodziła z rodziny dzierżawców wiejskich i odznaczała się, jak na swój stan, wyższością umysłową i towarzyską. Robert był siódmém i najmłodszém dzieckiem.

Około czwartego lub piątego roku życia zaczął już chodzić do szkoły i okazywał wielką pojętność, tak, że mając lat siedm, poma-

---

(1) The life of Robert Owen. Written by himself. Volume I. London 1857.

gał uczyć swemu nauczycielowi. Lubił czytać i czytał wiele; zajmowały go zwłaszcza opisy podróży i dzieła historyczne.

Bardzo wcześnie, bo około 8-go lub 9-go roku, zaczęła myśl jego pracować samodzielnie, przedewszystkiém w dziedzinie religijnéj. Do zastanawiania się w tym kierunku popchnęły go dwie młode metodystki, dając mu swoje książki do czytania. Owen tak o tém opowiada: „Ponieważ byłem religijnie usposobiony, więc chciały bardzo nawrócić mię na swoję wiarę. Czytałem i studyowałem dane mi książki z wielką uwagą, lecz ponieważ przytém czytałem także dzieła religijne innych wyznań, zadziwiła mię przeto najprzód sprzeczność, jaka panowała pomiędzy rozmaitemi sektami chrześciańskiemi, a następnie ta śmiertelna nienawiść, która objawiała się pomiędzy żydami, chrześcianami, mahometanami, hindusami, chińczykami itd. itd., oraz pomiędzy tymi, których wszyscy wymienieni nazywają poganami i niewiernymi. Zastanawianie się nad każdém danėm wyznaniem i przejawy śmiertelnéj nienawiści pomiędzy rozmaitemi wiarami zaczęły budzić w moim umyśle powątpiewanie co do prawdziwości wszystkich tych wyznań“ (str. 3).

Mając lat dziesięć, mały Robert pożegnał rodzinę i rozpoczął pracować sam na swoje utrzymanie. Po krótkim pobycie w Londynie, gdzie miał brata, dostał miejsce w sklepie u Mc Guffoga w Stamford, w Lincolnshire. Mc Guffog posiadał wyborną bibliotekę, z któréj Owen korzystał. „Czytałem—powiada—przeciętnie około pięciu godzin na dzień“ (str. 13).

Około 14-go lub 15-go roku życia wrócił Owen do Londynu i dostał tam miejsce, lecz zajmował je niedługo i przeniósł się do Manchesteru, gdzie pracując u rozmaitych osób, najprzód jako pomocnik, następnie jako wspólnik, oznajomił się dokładnie z handlem, a w części i z przemysłem bawełnianym. Pracował przytém nad uzupełnieniem swego wychowania. „Byłem—pisze — młodzieńcem źle wychowanym, niezgrabnym i mocno czułym na wady własnego wychowania; mówiłem niegramatycznie, rodzajem walijsko-angielskiego języka, którym mówiono w Newtonie, a który był lichą mieszaniną obu tych języków“ (str. 31). Przed ukończeniem dwudziestu lat, zajmował już Owen samodzielne i poważne stanowisko pomiędzy przemysłowcami. Chętnie go widywano i przyjmowano w domach zamożnych. On sam jednak najwięcéj lgnął do uczonych, dra Daltona, Coleridge'a i innych, z którymi lubił rozprawiać dużo. Nazwano go nawet „machiną rozumującą“ (the reasoning machine), robiąc przytém aluzyą do zdania jego, że człowiek w swych czynnościach zupełnie jest zależny od przyrody i społeczeństwa. Przyjęty do towarzystwa literacko-filozoficznego w Manchesterze, rozszerzył jeszcze bardziéj swoje stosunki w świecie uczonym.

Mając około 26 lat, zwiedził Glasgow, gdzie poznał dziewiętnastoletnią pannę Dale. Chcąc starać się o nią, zabrał znajomość z jéj ojcem, właścicielem przędzalni w New Lanark, i zaczął w imieniu spółki, do któréj sam należał, traktować o nabycie jéj. Interes przyszedł do skutku latem 1797 r., a ślub z panną Dale odbył się tegoż roku, 30 września, chociaż jéj ojciec z początku sprzeciwiał się temu związkowi. Dotąd Owen — można powiedziéć — pracował jedynie dla zapewnienia sobie bytu niepodległego. Od początku 1800 roku czynność jego zaczęła przybierać charakter publiczny. W tym czasie bowiem wszedł do zarządu przędzalni New Lanark i stał się jéj głównym kierownikiem. Przędzalnia ta, założona przez Dale'a nad rzeką Clyde dla zużytkowania spadku jéj wody, znajdowała się w rolniczéj miejscowości, któréj ludność, zajęta pracą koło roli, mało dostarczała robotników do fabryki. Musiano więc sprowadzać ich z rozmaitych stron i brać bez wyboru, nadto wynajmowano za kontraktem sieroty od miejscowych parafij czyli gmin. Kiedy Owen objął kierownictwo nad przędzalnią, ludność osady fabrycznéj wynosiła 1300 osób, zamieszkałych z rodzinami w miasteczku, i od 400 do 500 ubogich dzieci, mających od pięciu do dziesięciu lat. Różnorodna, pod względem pochodzenia, języka, religii, ludność ta słynęła ze swéj niemoralności i nieustannych niesnasek. Kradzieże, pijaństwo, rozpusta panowały w ogromnych rozmiarach. Owen wziął się gorliwie do poprawy tych stosunków. Wychodząc z założenia, które rozumowaniem i obserwacyą wyrobił był sobie jeszcze w Manchesterze, że człowiek nie jest odpowiedzialny za swoje winy, ale że są one raczéj następstwem tych warunków i okoliczności, w jakich dana jednostka się znajduje, postanowił działać na umoralnienie ludności, nie za pomocą systemu kar, lecz starając się, przez wzmocnienie nadzoru, zamknięcie szynków i t. d., utrudnić popełnianie występków, wskazując korzyści uczciwego postępowania, przyzwyczaić ludność do niego, oraz czyniąc życie wygodném i przyjemném i pracę lżejszą, usunąć główniejsze przyczyny złych popędów, a nadewszystko wychowaniem racyonalnem dzieci, wykształcić dobry charakter późniejszego pokolenia.

Prowadzona w tym kierunku i poparta niepospolitemi osobistemi przymiotami Owena, praca nad ludnością wydała nadspodziewanie znakomite rezultaty. Ludność, która przedtém była zgorszeniem i zarazą dla całéj okolicy, stała się dla niéj wzorem i przykładem. Samo już urządzenie osady budziło ogromne zajęcie, ściągało wielu odwiedzających (corocznie liczono około 2000 osób) i wywoływało pełne zachwytu pochwały. Komitet parlamentarny, wybrany umyślnie w tym celu, przekonał się o słuszności tych pochwał i w sprawo-

zdaniu swojém z 1817 r. poświadczył nadto, że dobre urządzenie stosunków robotniczych w fabryce New Lamark dozwoliło jéj przetrwać szczęśliwie przesilenie przemysłowe, podczas którego wiele innych zakładów tego rodzaju musiało upaść, i że od piętnastu lat sądy nie wszczynały żadnéj sprawy kryminalnéj przeciwko osadnikom New Lanarku (1).

Ludność New Lanarku w r. 1819 wynosiła 2400 osób (2). Zatrudnionych w fabryce było od 1600 do 1700. Dzieci do 10 lat nie pracowały w fabryce. Liczbę godzin pracy zmniejszył Owen z 16-u na 10½. Osadę przebudowano podług pewnego określonego planu i pobudowano ładne domki robotnicze. W samym środku osady stanął piękny, trzypiętrowy gmach, mieszczący w sobie: szkołę i salę do czytania, albo do modlitw. Szkoła stanowiła najgłówniejszy przedmiot troskliwości założyciela. Właściciele fabryki wydawali na nią rocznie 700 fun. szterl. Wychowywało się w niéj 360 dzieci, mających od 2 do 11 lat. Szkoła podzielona była na pięć klas. W pierwszéj dzieci, młodsze od 5-ciu lat, bawiły się tylko pod nadzorem starszych. W innych klasach, oprócz nauki elementarnéj, uczono także muzyki, tańców, gimnastyki, ogrodnictwa i rolnictwa. Dziewczynki nadto wprawiały się w szyciu i chodziły na posługę do kuchni publicznéj. Kara cielesna wcale nie istniała, i zalecano obchodzić się łagodnie z dziećmi. Deputowani korporacyi *Leeds*, którzy zwiedzali tę szkołę, podziwiali świetny stan zdrowia dzieci, niewinne ich zabawy i otwartą swobodę (3). Wieczorem przez dwie godziny otwierano szkołę dla młodzieży, która tam doskonaliła się w rozmaitych gałęziach wiedzy, a nadto w tańcu i muzyce. Raz na tydzień urządzano koncert. Obok szkoły stał drugi trzypiętrowy gmach, w którym na dole znajdowały się dwie wielkie kuchnie, piekarnia, składy i mieszkanie nadzorcy. W magazynach sprzedawano żywność i odzież po cenach umiarkowanych. Na wyższych piętrach stały otworem dla osób dojrzałego wieku obszerne sale z czytelnią i biblioteką, przeznaczone dla czytających i uczących się. W pobliżu znajdował się ogród. Każdy robotnik miał w nim kawałek gruntu, który mógł uprawiać podług swego upodobania. Na utrzy-

---

(1) A Supplementary Appendix to the first volume of the life of Robert Owen. Volume I. A. London 1885.

(2) W przedstawieniu poniższém instytucyi New-Lanarku posługuję się głównie opisem samego Owena w *British Statesman* z d. 9 Sierpnia 1819 r.

(3) Sprawozdanie to znajduje się w „Examen impartial des nouvelles vues de M. Robert Owen et de ses établissements à New Lanark en Ecosse etc. par Henry Grey Macnab etc. Traduit de l'Anglais par Laffon de Ladébat. Paris 1821." (str. 86).

manie starców i ubogich potrącano sześćdziesiątą część z płacy każdego robotnika. Chirurga opłacało towarzystwo.

Przed przybyciem Owena, niesnaski religijne doprowadzały często do krwawych zajść w osadzie. Owen zapobiegł temu, sekularyzując zupełnie szkołę i równouprawniając wszystkie wyznania, t. j. starając się o to, by każde miało na miejscu swego pastora i przyznając wszystkim równe prawo do sali modlitw. Reformator osady New Lanarku—jak już powiedziałem—zwracał szczególną uwagę na wychowanie dzieci, i opierając się na obserwacyi niemal dziesięcioletniéj, napisał rozprawę o kształceniu charakteru, którą ogłosił drukiem 1812 r. (1). W dziele tém znajdujemy wszystkie główniejsze jego zasady, tak, że w licznych późniejszych pismach — można powiedziéć — objaśniał i rozwijał je tylko. W dziele tém stawia trzy główne zasady: pierwsza, którą nazywa prawem przyrody, mówi o zupełnéj nieodpowiedzialności moralnéj człowieka; druga, prawo charakterów, opiewa, że charakter urabia się głównie przez wychowanie; trzecia, prawo interesów, twierdzi, że szczęście osobiste jest zależne od szczęścia społecznego, a więc należy wspólność połączyć z równością praw.

Dzieło to, które Owen poświęcił ówczesnemu regentowi Anglii, księciu Kent, wywołało dwa sprawozdania charakteru niemal urzędowego. Książę Kent polecił swemu lekarzowi, Macnabowi, zwiedzić New Lanark i zbadać organizacyą téj osady. Skutkiem tego pojawiło się późniéj w druku sprawozdanie Macnaba, które zalecało praktyczne pomysły Owena, nie pochwalając jednak jego teoryi. Ze swojéj strony lord Liverpool, ówczesny naczelnik gabinetu, polecił lordowi Sidmouthowi, który znajdował się także w ministerstwie, zbadać pomysły Owena. Sidmouth znalazł, że pomysły te zasługują na uwagę, i mniemał, że rząd powinienby wykonać próbę w tym kierunku.

Popularność Owena stała się w tym czasie wielką. Wylicza on znajomości, które porobił w peryodzie od 1810 do 1815 r. i które zawdzięczał swemu dziełu i urządzeniom w New Lanarku. Wymienia arcybiskupów, biskupów, W. Godwina, Thorntona, Roberta Peela starszego itd. „Zwłaszcza nie powinienem—dodaje—przepomniéć przyjaciół moich z pomiędzy ekonomistów: pp. Malthusa, Jakóba Milla, Ricardo, Jakóba Macintosha, pułkownika Torrensa, Franciszka

---

(1) „Essays on the formation of charakter.“ Drugie wydanie wyszło w Londynie w 1816 r. p. t. „A new view of society: or, essays on the formation of the human character. Preparatory to the development of a plan for gradually ameliorating the condition of mankind.“ Powołuję się na to drugie wydanie.

Place itd. itd. Byli to ludzie liberalni na swój czas; zwolennicy narodowego (państwowego) wychowania ludu, lecz przeciwni temu, ażeby państwo dawało pracę ubogim i potrzebującym zarobku, co mię dziwiło w ludziach, chcących podnieść jak najwyżéj produkcyą, albowiem dałoby się to uskutecznić jedynie przez dobre kierownictwo pracy powszechnéj" (1).

Owen, silnie przejęty swojemi pomysłami, wchodził coraz bardziéj w rolę reformatora-proroka, nazywał siebie „założycielem racyonalnego systemu społeczeństwa" (The Founder of the Rational System of Society), zwiastował przyjście szczęśliwego tysiącolecia (Millennium) i aż do końca życia, nie zrażając się niczém, głosił swoje zasady, nauczał, wzywał wszystkich (rządy, stronnictwa, klasy itd.) do wspólnéj pracy nad przeobrażeniem społeczeństw i korzystał z każdéj okoliczności, która zdawała się mu być pomyślną.

Dorobiwszy się ogromnego majątku (przeszło ½ miliona fun. szterl.), dochody swoje przeznaczał przeważnie na propagandę i cele publiczne. Jakkolwiek nie dopiął celu, który sobie wyznaczył głównie, to wszakże czynność jego publiczna tak w dziedzinie teoretycznéj, jak w faktycznym rozwoju życia społecznego ważne po sobie pozostawiła ślady. Wiele przyczynił się do rozpowszechnienia w Anglii szkółek dziecinnych i metody nauczania Lancastra i Bella. Szkółka jego dziecinna w New Lanarku stała się niejako rozsadnikiem tego rodzaju szkółek (infant shools) w całéj Anglii, a następnie w innych krajach europejskich. Pierwsza taka szkółka, założona w r. 1819 w Londynie pod protekcyą Brougham'a, Romilly, Ben Smitha, Macaulay'a i lorda Lansdowna, była zorganizowana na wzór istniejącéj w New Lanarku, i objął nad nią kierownictwo nauczyciel, wykształcony przez Owena. Dzięki przedstawieniom i czteroletniéj agitacyi Owena, parlament w r. 1819 ograniczył pracę dzienną w fabrykach. Ruch współdzielczy w Anglii uważa go słusznie za swego inicyatora. Wreszcie idee jego znalazły po części zastosowanie w koloniach robotniczych w Holandyi i w organizacyi wychowania narodowego w Prusach.

Pomysły Owena zaczęły budzić w całéj Europie zainteresowanie. Znany uczony genewski, Pictet, skłonił go więc do zwiedzenia Europy, nastręczając mu się sam za tłómacza i przewodnika. We Francyi reformator nasz wszedł w bliższe stosunki z Cuvierem, La-Place'm i Aleksandrem Humboldtem; w Szwajcaryi był u pani Necker, u pani Staël, u Sismondi'ego w Genewie, zwiedzał zakłady rozmaite, jeździł do Pestalozzi'ego w Yverdon; w Akwisgranie przed-

---

(1) The life of Robert Owen. (str. 103).

stawił, odbywającemu się tam, kongresowi memoryał z wyłuszczeniem swych zasad; we Frankfurcie nad Menem starał się skłonić do swoich widoków głośnego bankiera, Natana Rothschilda.

Wróciwszy do Anglii, organizował stowarzyszenia i urządzał liczne mityngi w Londynie, Leeds i innych punktach; w 1822 i 1823 zwiedzał Irlandyą i, widząc panującą tam straszną nędzę, naglił do zastosowania swoich pomysłów, które—zdaniem jego—jedynie mogły zapobiedz wielu bolesnym i smutnym następstwom. W przekonaniu Owena Irlandya znajdowała się w lepszych warunkach geograficznych od Wielkiéj Brytanii i złym tylko rządom angielskim zawdzięczała okropny swój stan ekonomiczny.

Około tego czasu harmoniści, wyznawcy zasad religijnych Jerzego Rappa, postanowili sprzedać swoję osadę, Harmonię (Harmony) w Indyanie, i wrócić do Pensylwanii, gdzie mieli osadę do 1814 roku. Agent, któremu polecono dokonanie téj sprzedaży, przybył do Anglii i, dowiedziawszy się o instytucyi społecznéj w New Lanarku udał się do Owena i zaproponował mu nabycie osady w Ameryce Owen, który myślał już sam o założeniu nowéj kolonii, chętnie przystał na przedstawione mu układy i, przybywszy w grudniu 1824 r. do Stanów-Zjednoczonych, kupił całą osadę bardzo korzystnie za 150.000 dolarów.

Kiedy przybył do Ameryki, poprzedziła go już jego sława; przyjmowano go więc chętnie i słuchano uważnie. Był u Johna Adamsa, Tomasza Jeffersona, Jamesa Madissona i Jamesa Monroe. W Waszyngtonie rozwijał swoje myśli i plany w liczném zgromadzeniu wobec prezydenta, większości przedstawicieli narodu, sędziów wyższego sądu itd. Słowa jego rozlegały się po całych Stanach-Zjednoczonych i budziły powszechny zapał. Wiara w niego była wielka. Pomimo to nowozałożona osada, New Harmony, okazała się próbą nieudałą. Po wyjeździe rappitów, szybko napłynęła do niéj nowa ludność, i w październiku 1825 r. liczba osadników wynosiła już 900 osób. Wyjazd Owena do Europy pozostawiał wszystko w osadzie w stanie prowizorycznym. Dopiero za powrotem jego w 1826 r., zaprowadzono należyty porządek, i sprawy poszły pomyślnie, chociaż z powodu nieporozumień wewnętrznych musiano kilka razy zmieniać formę zarządu, i spora liczba niezadowolonych wydaliła się z osady. W lipcu Owen wierzył jeszcze mocno, że osada jego rozwinie się wspaniale i stanie się potężną zachętą do naśladowania. Widać to pomiędzy innemi i z tego, że na wielkim mityngu 4 lipca ogłosił *Deklaracyą niepodległości umysłowéj* (Declaration of Mental Independence), którą uważał jako uzupełnienie, *Deklaracyi niepodległości politycznéj* z r. 1776. Deklaracya niepodległości umysłowéj opiewała

wyrzeczenie się prywatnéj, czyli indywidualnéj własności, niedorzecznych i nieracyonalnych systemów religijnych i małżeństwa w téj formie, która opiera się na własności indywidualnéj i łączy się z niedorzecznemi systemami religijnemi.

W 1827 r. wewnętrzne stosunki w osadzie owenowskiéj zaczęły przybierać charakter coraz bardziéj indywidualny. Sam Owen, zmuszony interesami, sprzedawał oddzielne części swojéj osady. W czerwcu pożegnał ludność i odjechał, pozostawiwszy w New Harmony swoję rodzinę. Wkrótce po jego wyjeździe, w osadzie wszystko się rozprzęgło, rozpadło i wróciło do dawnego indywidualizmu.

Nad przyczynami niepowodzenia planów Owena w New-Harmony zastanawiano się bardzo wiele. Przyczyny te były liczne: natury zasadniczéj i okolicznościowe tylko. Robert Dale Owen, syn reformatora, powiada (Free Enquirer z 10 czerwca 1829 r.), że pomiędzy osadnikami nie było ani bezinteresownéj pracy, ani wzajemnego zaufania, ani praktycznego doświadczenia, ani zgodności w działaniu. „Były to skały, o które nawa społeczna uderzała się i wreszcie rozbiła!“

Dla czego jednak Owen miał wielkie powodzenie w New Lanarku, a nie miał go w New Harmony? Dla tego że inaczéj tu i tam zapatrywał się sam na swoję czynność; dla tego że ludność osadnicza także patrzała inaczéj na rzeczy w New Lanarku a inaczéj w New Harmony. W Szkocyi Owen był przedewszystkiém przemysłowcem, a *w dodatku* tylko reformatorem; w Stanach-Zjednoczonych odwrotnie. W Europie Owen obie czynności: przemysłową i reformatorską łączył w swojéj osobie; w Ameryce czynność przemysłową pozostawił głównie swoim spólnikom, a ci kierując nią, same tylko zyski mieli na widoku. Ludność w New Lanarku uważała to, co robił Owen, za dobrodziejstwo; w przekonaniu ludności New Harmony proklamowane zasady i ogłaszane obietnice obowiązywały do odpowiedniego postępowania; tam słuchano naczelnika osady, tu stawiano mu wymagania; tam nie powstała w nikim myśl, by Owen miał się zrzekać na rzecz spółki swego tytułu własności, tu kwestya własności bardzo prędko zaczęła jątrzyć umysły.

Pomimo powodzenia w New Lanarku i niepowodzenia w New Harmony, więcéj znalazło się naśladowców Owena w Stanach-Zjednoczonych, aniżeli w Brytanii. W tym ostatnim kraju znamy tylko jednę próbę Abrama Combe'a, który zorganizował kolonią na zasadach owenowskich w Orbiston, małéj mieścinie, niedaleko od Edymburga. Osada rozwijała się z początku, ale ze śmiercią Combe'a, która nastąpiła w r. 1827, wszystko poszło do upadku.

W Stanach-Zjednoczonych próby były liczne. John Humphrey Noyes (History of american socialismus) nazywa Owena ojcem socyalizmu amerykańskiego i wylicza, za Macdonaldem, uczniem Owena, organizacye, które powstały pod bezpośrednim, lub pośrednim wpływem reformatora szkockiego. Organizacye te były następujące: Yellow Springs Community (Cincinnati); Nashobu, zorganizowana przez Franciszkę Wright pomiędzy murzynami: Cooperative Society w Pensylwanii; Franklin Community w New-Yorku; Blue Springs Community niedaleko Bloomingtonu (Indiana); Forrestville Community (Indiana); Haverstraw Community o 30 z czemś mil od New-Yorku; Coxsackie Community nad rzeką Hudsonem; Kendal Community w pobliżu Cantona w Ohio. Wszystkie te spółki trwały bardzo krótko.

W listopadzie roku 1828 pojechał Owen znowu do Ameryki i w Meksyku traktował z rządem o odstąpienie ziemi w Texas dla założenia osady, podług swego pomysłu. Rząd meksykański zgadzał się na wyznaczenie ziemi bezpłatnie, ale układy rozbiły się ostatecznie z powodu kwestyi religijnéj. Owen otwarcie występował przeciwko wszelkiego rodzaju teologom. Właśnie, wkrótce po negocyacyach meksykańskich, w kwietniu 1829 r. miał głośny w swoim czasie spór religijny z pastorem Campbellem w Cincinnati. Około tegoż czasu jeździł na Jamajkę i St. Domingo. Latem 1829 r. wrócił do Anglii.

Jeżeli zakładanie kolonii rolniczo-przemysłowych (*cooperative colonies*) nie znajdowało w Anglii wielu zwolenników, to ruch spółdzielczy, popierany żywo przez Owena, wzrósł tam do ogromnych rozmiarów i przetrwał w całéj swéj mocy aż do dzisiejszych czasów. Dzięki głównie pomocy reformatora szkockiego, wychodził dziennik: *Cooperative Magazine* i zawiązywały się stowarzyszenia spółdzielne. W 1831 r. odbył się pierwszy kongres spółdzielczy w Manchesterze, drugi w tym samym roku w Birminghamie, trzeci w 1832 roku w Londynie, gdzie było reprezentowanych 65 towarzystw. Próbowano także zastosować zasadę spółdzielczości do rolnictwa. Uczynił to w 1830 r. Gordon i koło tegoż czasu Ord. Potężny rozwój organizacyi spółdzielczych wywołał w 1840 r. w parlamencie gwałtowną mowę biskupa exesterskiego, który kreśląc przesadny obraz ich rozwoju, wołał, że mają one własny parlament, własny rząd centralny, własny budżet i panują nad 350 miastami angielskiemi. Owen, którego biskup exesterski obwiniał o dążności wywrotowe, odpowiedział na tę mowę manifestem, w którym wyliczał swoje zasługi i rozwijał swoje zasady. Najbardziéj zachęcający przykład korzyści stowarzyszenia spółdzielczego dała głośna późniéj spółka tkaczy w Rochedalle'u, zawiązana w r. 1843.

Ruch spółdzielczy ma licznych wyznawców i silne podstawy w Anglii. J. Sketchley dał w ostatnich czasach dokładne sprawozdanie o nim (1). „Z zadowoleniem—powiada on—wskazać możemy na niewątpliwy fakt zdrowego rozwoju stowarzyszeń spółdzielczych, które wprawdzie powoli, ale stanowczo szerzą się po całym kraju. Stowarzyszenia te są owocem wielkiego ruchu socyalistycznego, wszczętego przed 60 niemal laty przez przyjaciela ludzkości, Roberta Owena“ (2).

Owen brał udział we wszystkiém, co w jego przekonaniu mogło przyczynić się do podniesienia klasy robotniczéj. Kiedy za staraniem doktora Birkbecka zaczęły się zawiązywać tak zwane *mechanics insitutes* (szkoły przemysłowe), w których robotnicy znajdowali naukę i środki do niéj, Owen wraz ze swoimi przyjaciołmi przyczyniał się wiele do ich rozpowszechnienia. Dzięki jego zabiegom, w Manchesterze wybudowano prawdziwy pałac dla pomieszczenia sal naukowych i biblioteki tamecznéj szkoły przemysłowéj. Nadaud, który sam pracował całemi wieczorami w bibliotece manchesterskiéj, powiada, że około 1872 r. było w niéj 45.000 tomów (3).

Podług Owena, istnienie licznéj klasy pośredniczéj pomiędzy wytwórcami a spożywcami pochłania w sposób pasożytny znaczną część słusznie należącego się im dochodu. Chcąc więc usunąć pośredniczenie klasy kupczącéj i zaprowadzić słuszną wymianę produktów, opierając ją na ilości czasu zużytego na pracę, Owen przyczynił się do zawiązania związku stowarzyszeń spółdzielczych i zorganizowania wymiany racyonalnéj pomiędzy niemi pod nazwą *National labour equitable exchange.* W tym celu założono wielki bazar, w którym składano wyprodukowane przedmioty, i bank, który wydawał bilety, przedstawiające wartość pewnéj liczby godzin pracy. Próba ta jednak nie udała się i w 1832 r. nastąpiło bankructwo.

Około r. 1831 Owen—jak sam o tém wspomina (4) założył w Manchesterze nową osadę, złożoną z 500 ludzi. Szczegółów jednak bliższych o téj organizacyi nie znalazłem.

---

(1) „Les Owenistes et les Coopérateurs en Angleterre“ w *La Revue Socialiste* (N. 8, 20 juin 1880, Paris) i sprawozdanie o ruchu socyalistycznym w Wielkiéj Brytanii w *Jahrbuch für Sozialwissenschaft und Sozialpolitik* (Zürich-Oberstrass. Erster Jahrgang. Zweite Hälfte, 1880 i Zweiter Jahrgang, 1881).

(2) Jahrbuch für Sozialwissenschaft und Sozialpolitik. Zweiter Jahrgang. (str. 207).

(3) Histoire des classes ouvrières en Angleterre par M. Nadund. Paris, 1872, (str. 207).

(4) Lectures on the Rational System of Society etc. By Robert Owen etc. London. 1841 (str. 132 i 157).

W tymże mniéj więcéj czasie zwiedził Owen Francyą, Austryą, Prusy, Bawaryą i Saksonią, gdzie czynił rządom przedstawienia w przedmiocie swych kolonii i zamierzał nawet udać się do Petersburga (1). Świadczy to o wielkim optymizmie socyalisty angielskiego, tém bardziéj że były to właśnie czasy, kiedy antagonizm pomiędzy rządami i ludami coraz bardziéj się wzmagał. Wreszcie późniejsze zachowanie się Owena przekonało aż nadto, że nie był to człowiek polityczny. Wspomina on także o wizycie, którą miał złożyć około 1838 r. w Wiedniu Metternichowi, przedstawiając mu konieczność zajęcia się reformą społeczną, dla zapobieżenia niechybnym wstrząśnieniom polityczno-społecznym (2).

Że Owen nie był mężem politycznym, przekonywa o tém jego zachowanie się w ruchu robotniczym angielskim. Niewątpliwie przyczynił się on znacznie do rozwoju tego ruchu. W r. 1822, za inicyatywą jego, założono w Londynie „The British and Foreiyn Philanthropic Society for the permanent Relief of the Working Classes.“ Stowarzyszenie to miało dążyć do stałego polepszenia losu klas pracujących, organizując towarzystwa wzajemnéj pomocy i towarzystwa spółdzielcze, któreby za pomocą wychowania, przykładu i pracy usuwały zwolna złe, spowodowane ciemnotą, złemi nawyknieniami, ubóstwem i brakiem zajęcia (3). Stowarzyszenie to—jak sama nazwa jego wskazuje—miało charakter bardziéj filantropijny, aniżeli polityczny. Widzimy też pomiędzy jego członkami ambasadorów: rosyjskiego, francuzkiego, hiszpańskiego, pruskiego itd., jenerałów, pułkowników i rozmaitych innych dygnitarzy.

Pod wpływem walki pomiędzy torysami i wigami o reformę parlamentarną, ruch robotniczy przybierał charakter polityczny. I w tym względzie Owen—a przynajmniéj jego zwolennicy dali początek. Za ich staraniem, w r. 1827 zawiązało się „Narodowe stowarzyszenie klas pracujących“ (National union of the working classes) i zażądało zaprowadzenia prawa powszechnego głosowania. Po przeprowadzeniu bilu reformy we wrześniu r. 1831, ruch polityczny osłabł pomiędzy robotnikami, a natomiast wzmógł się ekonomiczny, i—jak widzieliśmy—Owen niemało na to wpłynął. W tym czasie osiadł on w Manchesterze i, starając się nadać ruchowi charakter

---

(1) A Developement of the Principles and Plans on which to establish Self-Supporting Home Colonies etc. etc. By Robert Owen. Second Edition. London. 1841. (str. 92). W dziele tem znajduje się notatka autobiograficzna autora.

(2) *Owen.*—Deuxième dialogue sur le système social per Rober Owen. Paris, 1848 (str. 13).

(3) Str. 157. Robert Owen's Journal, N. 20, 15 marca 1851 r. Artykuł: „Socialism in 1823.“

ogólniejszy i bardziéj kosmopolityczny, zawiązał stowarzyszenie: „Association of all classes or all nations.“ Szybki rozwój tego stowarzyszenia na początku zdawał się był zapowiadać, że przybierze ono ogromne rozmiary, lecz pokazało się wkrótce, iż nie miało ono jeszcze dla siebie dostatecznie przygotowanego gruntu. W tym czasie Owen, pomimo swych dążności kosmopolitycznych, nie usuwał się jeszcze od ruchu robotniczego politycznego i w 1834 r. w londyńskiéj manifestacyi robotników występował nawet jako jéj delegat.

Tymczasem ruch ten, z początku małosamodzielny i małoświadomy, dojrzewał i przychodził do coraz większéj świadomości. Wiele w tym względzie zrobił Irlandczyk Feargus O'Connor, adwokat z zawodu. Ułożył on tak zwaną kartę ludową (the peoples charter) i, rozwinąwszy szeroką agitacyą, wpłynął na to, że program ten przyjęto na 500 mityngach ludowych i okryto 1.280.000 podpisów. Ruch chartystowski stawał się masowym. Prawdziwie polityczny działacz starałby się stanąć na jego czele, a przynajmniéj nadać mu taki kierunek, ażeby przy jego pomocy zdobyć to, co było w danéj chwili najważniejsze i co można było osiągnąć. Tymczasem Owen postawił się na stanowisku krytyczném i nawołując stronnictwa robotnicze do wspólnego działania, wskazywał zamiast blizkich odległe cele. „A jeżeli chartyści osiągną nawet zwycięstwo, to potém co?—pytał. Czy ciemna, demokratyczna izba gmin da więcéj ludowi od tego, co dał i daje obecnie kongres amerykański braciom naszym z drugiéj strony Atlantyku“? (1) Pytań podobnych w późniejszym czasie obficie nadużywano. Możnaby jednak słusznie zapytać: „a któżby więcéj dał: czy może ówczesny rząd angielski, czy ówczesne rządy europejskie, czy rewolucya“? W rewolucyą ludową Owen nie wierzył i wcale jéj nie pragnął, bo jéj rządy byłyby „ciemne i demokratyczne.“ To téż zwracał się przeważnie do rządów istniejących, a nawet to dzieło, z którego wyjąłem pytanie postawione chartystom, poświęcił rządom Wielkiéj Brytanii, Austryi, Rosyi, Francyi, Prus i Stanów-Zjednoczonych. Więc może w saméj rzeczy uważał ówczesny rząd angielski za skłonny do reform radykalnych? Bynajmniéj, a sądząc z niektórych ustępów jego pism, należałoby uznać rząd ten za gorszy od innych rządów“ świata tak zwanego chrześciańskiego i ucywilizowanego.“ Zapewne, niejasność ta polityczna Owena była głównym powodem, że chociaż był jednym z najgorliwszych zwolenników prawa o dziesięciogodzinnéj pracy (the Ten Hours Bill), przy wyborach do parlamentu w r. 1847 nie otrzymał poparcia organizacyi robotniczych.

---

(1) Lectures on the Rational System of Society ltd. (str. 109).

Chociaż Owen zdawał się lekceważyć rządy demokratyczne, to jednak z wielką gorliwością starał się skłonić ku swoim poglądom w r. 1846 konwencyą, która zastanawiała się nad zmianą konstytucyi stanu New-Yorku, a w 1848 r. członków rządu rewolucyjnego francuskiego.

W jakim stosunku stał Owen do socyalistów?

Aż do rewolucyi francuzkiéj z r. 1848, nie zaliczał się do tego stronnictwa, chociaż wiedział o ruchu społecznym we Francyi i poznał się z niektórymi ważniejszymi jego przedstawicielami (1), i chociaż już w r. 1841 rozróżniał trzy wielkie stronnictwa robotnicze w Wielkiéj Brytanii i Irlandyi: w Wielkiéj Brytanii—chartystów i socyalistów, w Irlandyi separatystów (Repealers). „Separatyści irlandzcy, chartyści i socyaliści—mawiał nie bez słuszności—mają jeszcze wiele do nauczenia się. Separatyści irlandzcy muszą zostać chartystami, chartyści socyalistami, socyaliści zaś powinni stać się racyonalnymi w swych zasadach, uczuciach i w swém zachowaniu się względem innych stronnictw“ (2). Pisząc to, Owen stawiał siebie ponad te stronnictwa. Dopiéro po rewolucyi francuskiéj, zaczął się zaliczać do obozu socyalistycznego i wszystkie swoje poprzednie prace nazywał także socyalistycznemi (3). Pomimo podeszłego wieku, nie ustawał on w swéj propagandzie i pisał traktaty, brał udział w licznych mityngach, wreszcie starał się skłonić Koszuta, Mazziniego i innych wygnańców, przebywających w Anglii, do swoich poglądów. W r. 1851 starał się o to, by Pałac Kryształowy, wybudowany w Londynie dla wystawy powszechnéj, przeznaczono na szkołę, w któréj nauczanie odbywałoby się podług zasad racyonalnych. W następnym roku ogłosił nawet w tym przedmiocie rozprawę p. t. *The Crystal Palace and Education.*

Ku końcowi życia wpada Owen w usposobienie mistyczne, wierzy w spirytyzm, coraz bardziéj przybiera charakter proroczy. Gazetka jego w r. 1857 wychodzi pod nazwą: *Robert Owen's Millenial Gazette.* Trzeba przytém zauważyć, że tysiącolecie (Millenium), w którém miało urzeczywistnić się królestwo boże na ziemi, odegrywalo także wielką rolę w nauce rappistów, poprzedników kolonii owenowskiéj w New Harmony.

---

(1) Jules Gay w *Le Socialisme rationnel et le Socialisme autoritaire* (Genève, 1868) powiada, że Owen poznał się z Buonarrotim (str. 33), i że na uczcie zorganizowanéj dla Owena przez Juliena, dyrektora *Revue Encyklopédique*, znajdowali się także Fourier i Raspail (str. 17).

(2) Lectures on the Rational System of Society etc. (str. 99).

(3) Patrz jego dzienniczek: *Robert Owen's Journal*, który wychodził od listopada 1850 r. aż do końca kwietnia 1852 r.

Owen umarł, mając 88 lat, w miejscu swego urodzenia. Newtown, w pierwszych dniach listopada 1858 r. Adin Ballon. jeden z najznakomitszych religijnych socyalistów amerykańskich, tak go scharakteryzował: „Robert Owen jestto znakomity charakter. Ma około 75 lat. Wiedzy ogromnéj i doświadczenia wielkiego. Dobry dla wszystkich, uczciwy bez pozorów. W filantropii nie zna granic; w religii—sceptyk; w teologii—panteista; w metafizyce—wyznawca względności; w moralności—wszystko usprawiedliwia; w postępowaniu z ludźmi—jako filozof robi ustępstwa; w socyalizmie—komunista; w przyszłości—wierzy w królestwo boże na ziemi; w interesach praktycznych—metodysta; w zachowaniu się osobistém—gentleman niewątpliwy" (1).

Starszy syn reformatora szkockiego, Robert Dale Owen, urodzony w 1804 r., kontynuował w Ameryce dzieło swego ojca. Znany jest jako gorliwy obrońca równości kobiety z mężczyzną i jako autor bardzo ważnego dzieła, *Fizyologii Moralnéj* (Moral Physiology), w którém, nie walcząc przeciwko teoryi Malthusa, jeden z pierwszych zwraca uwagę na racyonalny środek regulowania wzrostu ludności.

Drugi jego syn, Dawid, zdobył sobie sławę w świecie naukowym badaniami geologicznemi w Ameryce.

II.

(Dzieła Owena.—Dwie epoki w rozwoju jego przekonań.—Punkt jego wyjścia.—Racyonalne wychowanie.—Najlepszy rząd.—Reforma społeczna.—Trzy nowe nauki.—Pierwiastkowe części społeczeństwa.—Krytyka ustroju obecnego.—Wytwór, podział, wychowanie i rządy w przyszłém społeczeństwie.—Osada przemysłowo rolnicza; ustrój jéj przejściowy i ostateczny.—Ogólny pogląd na teoryą owenowską).

Owen pozostawił po sobie mnóstwo traktatów różnéj objętości. Po większéj części jednak powtarzają one w odmienny tylko sposób główne myśli zasadnicze, które reformator szkocki wypowiedział już na początku swego zawodu propagacyjnego.

Do ważniejszych jego dzieł należą: *A new view of society* itd. (1816); *Outline of the rational system of society* itd. (Rys racyonalnego systemu społeczeństwa); *Lectures on the rational system* itd. (Odczyty o systemie racyonalnym—1841); *A developement of the principles and plans on which to establish Self-Supporting Home Colonies* itd.

(1) History of american socialismus. By John Humphrey Noyes. Philadelphia. 1870 (str. 88 i 89).

(Rozwój zasad i planów, podług których należy urządzać wystarczające same sobie kolonie osiadłe—1841); *Book of the new moral world* (Księga nowego świata moralnego, 1836—1844); *The revolution in mind and practice* (Rewolucya w duszy i w praktyce—1849).

W rozwoju przekonań Owena spostrzegamy dwie niejako epoki: jednę—do czasu jego wyjazdu do Ameryki, do New-Harmony, i drugę—od czasu poznajomienia się z rappistami. Ustrój wewnętrzny rappistów i przekonania ich pozostawiły ślady w umyśle Owena, które ku końcowi jego życia uwydatniają się coraz silniéj. W pierwszéj epoce przeważa wolnomyślność religijna; w drugiéj—socyalizm.

Punktem wyjścia Owena jest *niepoczytalność człowieka*. Człowiek jest takim, jakim go stwarzają i urabiają: przyroda, ustrój społeczny i wychowanie. Człowiek pojedyńczy nie jest w możności własnemi siłami wyrobić sobie charakteru, tj. „swoich przymiotów, opinii, języka, interesów i uczuć“ (1), tylko społeczeństwo może urabiać charaktery oddzielnych ludzi (2). A więc jedynie racyonalne wychowanie i rozumne rządy mogą dokonać reformy społecznéj, która polega na tém, by dać ludziom jak największą sumę szczęścia. Owen mało zwracał uwagi na czynnik przyrody (dziedziczność), którego wielkie znaczenie jednak wykazała nauka w naszych czasach. Racyonalne wychowanie polega na wyrobieniu charakteru i ugruntowaniu zasad prawdy. Należy uprawiać wszystkie fizyczne, umysłowe i moralne zdolności człowieka, albowiem stanowi to o jego zdrowiu, o największém jego doskonaleniu się postępowém i o stałém jego szczęściu. Najobszerniéj traktuje o tym przedmiocie *Outline of the rational system of society*. Wychowanie, w przekonaniu Owena, jest najważniejszym, niemal stanowczym czynnikiem postępu społecznego. „Opinie rządzą światem“ (3). „Ciemnota i lenistwo—zdaniem jego—sprowadziły grzech i nędzę. Wiedza i należyte ćwiczenie duszy i ciała sprowadzą prawdę i szczęście“ (4). Rząd—w przekonaniu Owena—jest także ważnym wpływowym czynnikiem. Ażeby wpływ był dobry, trzeba rządu także dobrego. Miarą doskonałości jego jest szczęście rządzonych. „Najlepszym rządem—mówi on jest ten, który w praktyce wytwarza jak największą sumę szczęścia dla największéj liczby ludzi“ (5). W długiém jednak swojém życiu

---

(1) Owen. Deuxième dialogue sur le systéme social itd. (str. 8).

(2) „The charakter of man is formed *for* him, and not *by* him“ (Człowiekowi formują charakter, nie zaś on sam sobie formuje takowy) jest stałym epigrafem dziennika owenowskiego w 1857 r.

(3) Lectures on an entire new state of society etc. etc. etc. (bez karty tytułowéj) (str. 151).

(4) Lectures on the Rational System of Society itd. (str. 178).

(5) A new view of society itd. (str. 129).

Owen przekonał się dostatecznie, że istniejące rządy wcale inaczéj pojmują swoje zadanie. Zwolna więc tracił wiarę w to, aby mogły one z własnéj inicyatywy podjąć się przeprowadzenia reformy społecznéj i mniemał, że koniecznêm jest, ażeby najpostępowsze osoby obojga płci nieustannie, silnie i łącznie parły na nie w tym kierunku.

Reforma społeczna winna mieć na celu szczęście człowieka. Szczęście polega na zdrowiu, dostatku, wiedzy i dobroci. Tylko to, co prowadzi do szczęścia całego społeczeństwa, może zapewnić szczęście każdemu pojedyńczemu człowiekowi. Cztery warunki społeczne są niezbędne do szczęścia człowieka: dobrze zorganizowane wytwarzanie bogactwa; należycie unormowany jego podział; racyonalne urabianie charakteru człowieka od lat jego najmłodszych; wreszcie dobre rządy, tak miejscowe jak ogólne. Trzy nowe nauki są konieczne do wykazania jakim ma być racyonalny system ustroju społecznego: nauka o przyrodzie człowieka, nauka o wpływach szkodliwych na tę przyrodę i nauka o społeczeństwie. Ta ostatnia jest nader ważna. Powinna ona: „rozłożyć społeczeństwo na pierwiastkowe jego części, oddzielić je, zbadać przeszłą i teraźniejszą ich niedorzeczność, oraz poznać, jak należy je złożyć we właściwym stosunku, ażeby utworzyły nowy, mocny i doskonalszy porządek społeczny“ (1).

Społeczeństwo—podług Owena—dzieli się na cztery naturalne pierwiastkowe części: 1) wytwarzanie bogactwa, 2) podział onego, 3) edukacyą czyli urabianie charakteru i 4) rządy miejscowe i ogólne. Pomijając nieścisłość wyrażania się Owena, widzimy jednak, że skupiał on swoję uwagę na wymienione cztery czynności społeczne.

Krytykę istniejącego ustroju rozwinął Owen szczegółowo w rozmaitych pismach. Wskażę tylko główniejsze jego zarzuty. Klasa, która najwięcéj przyczynia się do dobrobytu i szczęścia społeczeństwa, która wytwarza całe jego bogactwo, słowem klasa robotnicza powinnaby mieć dobrobyt zapewniony. Tymczasem widzimy co innego. Klasa ta powszechnie cierpi niedostatek, a często nędzę. Jest-to jednak klasa najliczniejsza. W Wielkiéj Brytanii i Irlandyi miała ona tworzyć trzy piąte całéj ludności, a razem z ubogimi niemal trzy czwarte. Nie mówiąc przeto o niesprawiedliwości takiego stanu rzeczy, przedstawia on groźbę dla przyszłości. Warunki dzisiejszego wytwarzania i podziału ekonomicznego są takiego rodzaju, że stan ten pogorszać się tylko może i wreszcie sprowadzi przewrót społeczny.

(1) A. Developement of the principles and plans etc. (str. 4).

Maszyny grają tu wielką rolę: powiększają ogromnie wytwór i tém samém obniżają cenę pracy ludzkiéj. Stosunek pracy maszynowéj do pracy ludzkiéj rośnie olbrzymio na niekorzyść ostatniéj. W r. 1770 w Wielkiéj Brytanii i Irlandyi stosunek ten miał się jak 4 do 1; w 1840 r.—jak 108 do 1 (*). Oczywiście, że wzrost wytworu w takich warunkach jest najwięcéj korzystny dla tego, kto posiada maszyny. Mając na względzie tylko sam wytwór, przesadzono w ocenianiu korzyści podziału pracy. Jeżeli ten podział przechodzi pewną granicę, wywiera on wpływ szkodliwy na tych, co pracują, a zwłaszcza szkodliwém jest oddzielenie pracy umysłowéj od pracy ręcznéj.

Istniejący podział wyprodukowanego bogactwa jest niesprawiedliwy i niedorzeczny. Jedni otrzymują za dużo, drudzy za mało. Za mało otrzymują ci właśnie, co najdłużéj i najciężéj pracują. To jest powodem, dla czego w Londynie na 1800000 ludności, dziesiąta jéj część cierpi ubóstwo, a 50000 ludzi, wstając zrana, nie wié, gdzie noc przepędzi; dla czego w Glasgowie na 280000 ludności, 30000 co sobotę w nocy zatruwa się wódką; dla czego w Dublinie na 250000 ludności, 60000 corocznie przesuwa się przez szpitale; dla czego wreszcie w ciągu ostatnich trzydziestu lat, zbrodnie, w stosunku do ludności, stały się liczniejsze w Anglii pięć, w Irlandyi siedm, w Szkocyi 40 razy (1).

Podział społeczny jest także w wysokim stopniu wadliwy. Społeczeństwo dzieli się na klasy, których interesy są wprost przeciwne. Wiele klas jest zbytecznych. Przedewszystkiém istnienie stałego wojska jest ciężarem i dotkliwą szkodą dla społeczeństwa. Możnaby całą Europę wyżywić tém, co zjadają jéj stałe wojska i co mogłyby wyprodukować one pracą użyteczną (2). Wojsko przytém rekrutuje się przeważnie z klas pracujących. Samo istnienie osobnéj klasy żołnierskiéj zachęca i skłania do wojen, które pod każdym względem są szkodliwe. Druga liczna klasa kupców i przekupniów jest także zbyteczna i szkodliwa. Sama zasada kupiecka: „kupować tanio a sprzedawać drogo“, nie może korzystnie wpływać na moralność społeczną. Istnienie klas odrębnych, kapłańskiéj i adwokackiéj od-

---

(*) Owen w obliczaniu popełnił mały błąd. W 1770 r. ludność W. Brytanii i Irlandyi miała wynosić 15 milionów; z tych 3 miliony pracowały. Maszyny przedstawiały wówczas pracę 12 milionów ludzi. Stosunek więc pracy maszynowéj do pracy ludzkiéj był jak 4 do 1. W 1840 r. liczono ludności 30 milionów. Pracowało wraz z kobietami i dziećmi 9 milionów. Maszyny wykonywały pracę 900 milionów ludzi. A więc stosunek pracy maszynowéj do ludzkiéj wynosił jak 100 do 1. — Owen. Deuxième dialogue sur le système social etc. (str. 24). — A Developement of the principles and plans. etc (str. 27),

(1) A Developement of the principles and plans etc. str. 26.

(2) Owen. Deuxième dialogue etc. str. 13.

działywa na społeczeństwo także szkodliwie. Owen upatruje niekorzyść społeczną nawet w odrębności zawodu lekarskiego.

Wady edukacyi obecnéj reformator nasz wykazywał wielokrotnie. Szczególnie walczył przeciwko wyznaniowemu charakterowi wychowania szkolnego, co ściągnęło na niego nienawiść duchowieństwa, a co staje się jednak coraz powszechniejszą zasadą u narodów oświeceńszych. Najmniéj krytykuje Owen rządy istniejące; czyni to jednak częściéj po 1848 r., jak np. w liście do Koszuta (1).

Jakiemiż mają być: produkcya, podział, wychowanie i rządy w ustroju przyszłościowym? Produkować należy jak największą ilościowo i jakościowo sumę bogactwa, w jak najkrótszym czasie, z jak najmniejszym kapitałem, z jak największém uwzględnieniem zdrowia i przyjemności wytwórców, oraz z jak najrozleglejszą korzyścią spożywców. W tym porządku, jaki obecnie istnieje w Wielkiéj Brytanii, 250 osób może wyżyć wygodnie na jednéj mili kwadratowéj; po zaprowadzeniu nowego porządku, jedna mila kwadratowa wystarczy bardzo dobrze dla 500 osób, a w późniejszym czasie warunki wytwarzania i podziału dadzą się udoskonalić do tego stopnia, że jedna mila kwadratowa wystarczać będzie dla 2000 osób (2).

Podział wytwórczego mienia powinien odbywać się z najmniejszym uszczerbkiem kapitału i pracy, a z największą korzyścią wytwórców, rozdzielaczy, wychowawców, rządców i wogóle wszystkich spożywców. Wychowanie powinno rozpoczynać się od urodzenia dziecka, odpowiadać jego przyrodzie i trwać tak dlugo, dopóki nie osiągnie celu zamierzonego. Ma ono być publiczne. Zadaniem jego wyrobić w człowieku jak najlepszy charakter, dać mu jak najrozleglejszą wiedzę i uczynić go jak najużyteczniejszym członkiem społeczeństwa. Dokładna znajomość natury ludzkiéj ułatwi umiejętne wyrabianie charakterów. Wychowanie racyonalne powinno zawsze uwzględniać jedno z najważniejszych praw przyrody człowieka, „że musi on lubiéć i kochać (like and love) to, co jest najprzyjemniejsze dla jego natury“ (3). Co do rządów, to sprawować je należy „z wiedzą nabytą z nauki o społeczeństwie, w duchu światłéj życzliwości dla koniecznych przekonań i uczuć ogółu, sprawiedliwie i konsekwentnie, bez stronniczości, bez użycia siły lub podstępu, ale zgodnie z prawdziwą moralnością“ (4). Wszyscy obywatele powinni być zobowiązani do sprawowania kolejnego rządów,

(1) Robert Owen's: *Journal*, 15 listop. 1851. Nr. 55, str. 31 i 32.

(2) Outline of the Rational System of Society etc.

(3) Lectures on the Rational System i t. d. str. 93.

(4) A Developement of the principles and plans i t. d. str. 53.

które nie mają dawać spełniającym je żadnego przywileju, ani żadnéj wyższości. Kary istniéć tam nie mogą, gdzie panuje świadomość, że każdy człowiek jest takim, jakim go urabia samo społeczeństwo. W najgorszym razie, winowajca uważany być może za chorego tylko, którego należy leczyć, albo téż odosobnić od społeczeństwa.

W jakiż sposób ma być zorganizowane społeczeństwo, ażeby w niém wytwarzanie i podział bogactwa, wychowanie i rządy odpowiadały i zadość czyniły potrzebom całego ogółu? — Dałoby się to osiągnąć—podług Owena—przebudowując cały porządek społeczno-ekonomiczny podług nowego planu, najdokładniéj i najszczegółowiéj skreślonego w dziełku p. t. *A Developement of the principles and plans on which to establish Self Supporting Home Colonies* etc. Lond. 1841 (*).

Podstawą nowéj budowy społeczno-ekonomicznéj ma być osada przemysłowo-rolnicza, wystarczająca głównym swoim potrzebom. Ma być ona tak urządzona, ażeby mogła wygodnie pomieścić 2500 osób, zachowując przytém normalny stosunek liczbowy mężczyzn, kobiet i dzieci. Przestrzeń takiéj osady ma obejmować od 2000 do 3000 akrów. W środku téj osady staną domy mieszkalne i publiczne z obszernym ogrodem (65 akrów), podług planu nakreślonego przez autora, a przypominającego po części urządzenia w New-Lanark.

Odrazu jednak niepodobna zaprowadzić w zupełności takich stosunków, jakie ostatecznie pomiędzy ludźmi zapanować powinny. Zanim wychowanie racyonalne usposobi nowe pokolenie do ustroju przyszłościowego, koniecznym jest stan przejściowy, któryby ułatwił przeobrażenie społeczno-ekonomiczne całego społeczeństwa. W czasie przejściowym dojrzała ludność osady ma się dzielić na cztery klasy: 1-sza najemnych robotników i sług (mężczyzn dwa razy tyle co kobiet), płatnych rocznie po 25 funtów; 2-ga kandydatów na członków osady, płatnych rocznie po 65 funtów; 3-cia członków osady, pracujących w niéj, kierujących jéj sprawami i biorących udział we wszystkich jéj korzyściach; wreszcie 4-ta rodzin lub osób niezależnych, któreby, stosując się do prawideł obowiązujących w osadzie, pracowały w niéj i uczestniczyły w jéj korzyściach. Dla dobrego kierownictwa sprawami osady, mają istniéć następujące departamenty: 1) rolnictwa i ogrodnictwa, 2) rzemiosł i przemysłu, 3) handlu, 4) gospodarstwa domowego, które ma obejmować: opalanie, przewietrzanie, oświetlanie, oczyszczanie i naprawę domów mieszkalnych i publicznych, zarząd kuchniami i jadalniami publicznemi, dostawę odzieży, bielizny i innych rzeczy potrzebnych, pranie i suszenie bielizny, utrzymywanie sypialni w porządku należytym; 5) zdro-

---

(*) Do tego dziełka dołączone są plany rysowane.

wia, t. j. leczenia chorych i zapobiegania zarazom jakoteż chorobom; 6) policyi, do którój ma należéć oświetlanie i oczyszczanie ogrodu, naprawa dróg i murów, ochrona od ognia i obrona własności osady od łupiestwa zewnętrznego; 7) wychowania czyli urabiania charakteru; do tego departamentu ma należéć także urządzanie zabaw publicznych.

Wychowanie każdego dziecka ma polegać na tém: 1) ażeby wykształcić w niém dobre strony charakteru, usposobić je do nawyknień szlachetnych, wzmocnić organizacyą jego cielesną, wyrobić w niém piękną postawę i zręczność, oraz przyuczyć je do wstrzemięźliwości; 2) ażeby nauczyć je płynnie czytać, pisać i rachować; 3) ażeby dać mu początki najużyteczniejszych nauk, włączając mechanikę i chemią; 4) ażeby przysposobić je praktycznie do rolnictwa, rzemiosł niektórych i gospodarstwa domowego; zajęcia te należy urozmaicać w taki sposób, ażeby rozwijały umysłowe i fizyczne zdolności dziecka; 5) wreszcie, ażeby wyrobić w dziecku samowiedzę i dać mu wiedzę przyrody ludzkiéj, dążąc zawsze ku temu, ażeby uformowała się z niego istota rozumna, kochająca, dobra i życzliwa dla wszystkich.

Osadą zarządza rada ogólna, do którój wchodzą wszyscy jéj członkowie w wieku od 30 do 40 lat. Wszystkie departamenty znajdują się pod bezpośredniém kierownictwem komisyi, wybranéj przez radę ogólną podług przepisanego porządku. Departamentem zewnętrznym czyli zagranicznym (external or foreign) zarządzają członkowie w wieku od 40 do 60 lat.

Gdyby rada ogólna wzbudzała rządami swojemi niezadowolenie, zwołuje się wówczas walne zgromadzenie wszystkich członków, mających lat 16 do 30-stu. Zgromadzenie to, zbadawszy spokojnie i cierpliwie postępowanie rady ogólnéj, może wyznaczyć zarząd czasowy i powołać do niego tak starszych (około 60 lat), jak młodszych (od 16 do 30 lat) członków. W przejściowym atoli okresie należy zarząd o ile można więcéj uprościć. Dość, gdy wszyscy dorośli członkowie wybiorą jednę osobę, najodpowiedniejszą do zarządzania i kierowania sprawami osady, a ta dobierze sobie sama komitet pomocniczy (Commitee of Aid) dla zarządzania departamentami. Dla przyjęcia nowych członków potrzebne jest przyzwolenie trzech ćwierci wszystkich członków osady, zwołanych na walne zebranie. Każdy z członków ma prawo opuścić kolonią kiedy chce, a gubernator (governor) z komitetem powinni mu wyznaczyć pewne wynagrodzenie, stosownie do zasobu kasy. W przyszłym ustroju obie płci mają otrzymywać jednostajne wychowanie i używać równych praw. Dwie osoby, chcące zawrzéć z sobą stosunek małżeński, zapowia-

dają to publicznie dwa razy, w odstępie trzech miesięcy; zapowiedzi te, zapisane do księgi stanowią akt małżeństwa. Rozwód łączy się także z podwójnemi zapowiedziami, w odstępie sześciu miesięcy. Wychowanie i utrzymanie dzieci należy do społeczeństwa. Ostatecznie, w przyszłym ustroju własność prywatna staje się bezużyteczną; społeczeństwo zaś nie ma dzielić się, jak obecnie, na rodziny, lecz na komuny czyli stowarzyszenia (communities or associations). Oto są główne rysy owenowskiego ustroju społecznego. Wprawdzie w rozmaitych dziełach Owena napotykamy pewne różnice w przedstawieniu tego ustroju, lecz różnice te nie są ważne.

Jak widzimy, pomysły Owena są wspólne także innym socyalistom i dlatego z całą słusznością do ich liczby zaliczyć go należy. Sam Owen w późniejszym czasie uważał siebie także za socyalistę, nie godził się jednak z tymi, co odzywali się głównie do nienawiści klasowéj i mniemał, że prawdziwy socyalizm musi tchnąć miłością dla wszystkich istot ludzkich (1). Owen uważa za swego poprzednika Johna Bellersa, który pisał w końcu XVII stulecia. Z większą jednak słusznością mógłby wskazać na Tomasza Morusa i Morelly'ego. U tych dwóch pisarzy znajdujemy bardzo ważną—zdaniem mojém—myśl urządzenia takiéj komuny, którąby pracę rolniczą zespoliła z pracą przemysłową. Owen nie rozwinął tego tematu z taką siłą i świadomością, jakiéjby się można było spodziewać od niego. Wogóle jednak teoretyczna część nauki jego słabszą jest od praktycznéj. Braknie mu przytém rozleglejszego poglądu na objawy życia polityczno-społecznego. Wynikało to w znacznéj części z małéj znajomości dziejów powszechnych. Dla tego téż zapatrywanie się jego na przeszłość jest nader uproszczone: w przeszłości—zdaniem jego—wszystko było niedorzeczne, nieracyonalne. Pomimo że był wyznawcą niepoczytalności człowieka, t. j. zależności jego woli od otaczających go warunków, zanadto wielki przypisywał wpływ woli ludzkiéj na przyszłość dziejową. Wypadało tylko—w jego przekonaniu—zaprowadzić w jakibądź sposób stosunki racyonalne, a nawa ludzkości pełnemi żaglami wypłynie na bezgraniczny ocean pomyślności powszechnéj.

III.

Wyznawcy Owena we Francyi i w Niemczech. — Dwa kierunki owenizmu w Anglii: ekonomiczny i filozoficzny. — Spółdzielczość. — Dr. H. Travis.

Nauka Owena znalazła najwięcéj wyznawców w Anglii i Ameryce. We Francyi, pomimo że Fourier przypisywał niepowodzenie

---

(1) Robert Owen's, *Millenial Gazette* etc. Socialism, Secularism, and Spiritualism (str. 82).

swoich pomysłów ogólnemu zajęciu się filantropów Owenem, widzimy kilku tylko wydatniejszych jego wyznawców: Juliena, redaktora *Revue encyclopédique*; Józefa Rey'a autora *Lettres sur le système d'Owen* (1828) i Juliusza Gay'a, który ożenił się w Anglii z panną Désirée Véret, wyznawczynią zasad owenowskich. Gay jest autorem dziełka *Le socialisme rationnel et le socialisme autoritaire* (1868). Nazywa on Owena założycielem socyalizmu racyonalnego, w przeciwieństwie do francuskiego, który — zdaniem jego — ma charakter autorytarny. Gay zresztą idzie w negacyi daléj od Owena, sądzi jednak przytem, że dokładnie tylko tłómaczy doktrynę mistrza swego. W Niemczech wyznawcą zasad owenowskich był Werner, który zorganizował w Reutlingen (w Wirtembergii) słynny w swoim czasie dom braterstwa (Brüderhaus).

W Anglii—jak już wzmiankowałem — owenizm rozszczepił się niejako na dwa kierunki: ekonomiczny i filozoficzny. Pierwszy objawił się w spółdzielczości, która przybrała ogromne rozmiary i coraz bardziéj się rozwija. Sketchley przytoczył tabliczkę stowarzyszeń spółdzielczych od 1874 do 1879 r. włącznie, sam jednak powiada, że nie jest ona dokładna, ponieważ nie wszystkie stowarzyszenia zamykają corocznie swe bilanse. Z téj tabliczki widzimy, że liczba członków tych stowarzyszeń ciągle wzrastała aż do r. 1879, w którym to roku spostrzegamy zmniejszenie się jéj; czy było ono rzeczywiste, czy pozorne, autor nie wyjaśnia. Podług téj tabliczki w roku 1874 liczono stowarzyszeń 1026 z 412252 członkami i z 3903608 f. szt. kapitału; w 1878 roku — 1181 stowarzyszeń z 560703 członkami i z 5728827 f. szt. kapitału. Trzeba jednak dodać, że spółdzielczość angielska z biegiem czasu zatraciła w sobie pierwotną dążność społeczną i przybrała wyłącznie ekonomiczny charakter.

Filozoficzny kierunek owenizmu rozwija głównie dr. H. Travis. Najważniejsze jego dzieło w tym względzie jest „Podręcznik nauki społecznéj" (1877 r.). Travis różni się cokolwiek od Owena w zapatrywaniu na główną kwestyą — kwestyą niepoczytalności człowieka. Przyjmuje on tak samo jak i Owen, że charakter każdego człowieka jest wytworem jego temperamentu i wpływu społecznego; wprowadza jednak tę modyfikacyą, że człowiek przez wychowanie, przedewszystkiém zaś przez wyrobienie woli własnéj, nabiera pewnéj zdolności do kontrolowania, powściągania i pobudzania siebie, a więc staje się niejako moralnie poczytalną istotą. Odrodzić przeto społeczeństwo może—podług Travisa — jedynie tylko dobre i racyonalne wychowanie.

B. L.



POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA WE FRANCYI.

I. REALIŚCI.

Ostatni lat dziesiątek zapisał się, w dziejach powieściopisarstwa francuskiego, żałobnemi a pamiętnemi datami. Zniknął Flaubert; poszedł za nim Juliusz de Goncourt; brat zaś jego, Edmund, pożegnał się ze swymi czytelnikami, doręczając im według własnego wyrażenia swój *testament literacki*, powieść, która będzie ostatnią jego powieścią—jeżeli wolno dowierzać temu, co sobie i drugim, w tym względzie, przyrzekają autorowie.

„Oto trzydzieści i więcéj lat--odzywa się autor „Germinii Lacerteux“ jak bieduję i walczę... Czuję się znużonym; mam dosyć tego; i zostawiam miejsce drugim.“

Jakoż nie braknie drugich. Obok Zoli i Daudet'a, jawią się, dobijają się o opróżnione miejsce coraz to nowi pretendenci, Guy de Maupassant, Richepin Huysmans, Piotr Loti (Lucyan Viaud), Jerzy Ohnet, cała falanga talentów młodych i sił świeżych. Z nimi zaś razem przybywają nowe także pojęcia, nowe formuły artystyczne. Jesteśmy niewątpliwie w chwili przełomu, w momencie przelania się natchnienia i smaku literackiego z jednéj formy w drugą. Ten moment uchwycić i scharakteryzować jest mojem tu zadaniem.

Zadanie to na dobie, jak sądzę, w obec polskich moich czytelników, nie tylko ze względu na interes jaki budzić może między nimi, samo przez się, powieściopisarstwo francuzkie. Mniemam bowiem że i w wykształceniu swojskich pojęć artystycznych uprzystępnione zetknięcie się z obcym światem i ujawniającemi się w nim kierunkami odegrać może rolę nieposlednią. Nie zgorszę zaś nikogo zapewne, przypuszczając potrzebę takiego dla pojęć, o których mowa, edukacyjnego przyczynku.

A teraz kilka słów jeszcze, dla wprowadzenia czytelnika *in medias res*, zapoznania go z ogólną geografią okolic, które zwiedzić mamy i uniknięcia nieporozumień.

W przedmowie do owéj *testamentowéj* powieści ostatniego z *Goncourt'ów*, o któréj wspomniałem na wstępie, znalazł się ustęp, który w swoim czasie, to jest przed dwoma laty, dostarczył obfitego materyału krytyce i dodać trzeba, krotochwilności paryzkiéj. Brzmi on dosłownie jak następuje:

„Na dwa czy trzy miesiące przed śmiercią mojego brata, wychodząc z zakładu hydroterapicznego dra Beni-Barde, odbywaliśmy razem codzienną przechadzkę, na słońcu, w pewnéj alei Lasku Bulońskiego, do któréj już nie zaglądam... Nagle brat mój zatrzymał się i rzekł mi: „Nic to nie szkodzi, widzisz, *mogą zaprzeczać nas* ile zechcą... wypadnie kiedyś przyznać żeśmy napisali „Germinię Lacerteux"... i że „Germinia Lacerteux" jest książką typową, która posłużyła za wzór wszystkiemu temu co nafabrykowano po nas pod nazwami realizmu, naturalizmu, itd. To jedno!

„A teraz przez pisma, przez żywe słowo, przez zakupy... kto narzucił wczorajszemu pokoleniu o mahoniowych komodach upodobanie do sztuki i do sprzętów XVIII wieku?... Gdzie jest ten, który ośmieli się powiedzićć że to nie my? To drugie!

„Nakoniec ów opis paryzkiego salonu zarzuconego japońszczyznami, wydrukowany w pierwszéj naszéj powieści, w naszéj powieści p. t. „W r. 18....", wydanéj r. 1851... tak, r. 1851...—proszę mi pokazać *japonistów* owoczesnych... i bronzy a laki zakupione przez nas owemi laty u Mallinet'a a nieco późniéj u Pani Desoye... i odkrycie w r. 1860, w magazynie *à la Torte Chinoise*, pierwszego albumu japońskiego, z którym zapoznał się Paryż... a przynajmniéj świat pisarzy i malarzy paryskich... i kartki poświęcone rzeczom japońskim w „*Manette Salomon*" i w „*Idées et Sensations*"... nie czyniż to wszystko z nas pierwszych propagatorów téj sztuki... téj sztuki, która oto zwolna i niepostrzeżenie dokonywa rewolucyi w optyce ludów zachodnich? To trzecie!

„Owóż poszukiwanie prawdy w literaturze, wskrzeszenie sztuki XVIII wieku, zwycięztwo japońszczyzny: są to, wiesz co?—dodał po chwili milczenia, i z obudzeniem się życia inteligentnego w oku—są to trzy wielkie prądy literackie i artystyczne drugiéj połowy XIX wieku... i nam przypadło w udziale przodować tym trzem prądom... nam, biednym w cieniu ukrytym. Otóż, kiedy zrobiło się tyle... trudno doprawdy nie być *kimś* w przyszłości."

„I, dalibóg, umierający ten przechodzień z cienistéj alei Lasku Bulońskiego miał może słuszność."

Paryż nie byłby Paryżem ani francuskim humor francuski, gdyby panegiryczne to wyznanie wiary rozmiłowanego w swem dziele pisarza, apelującego do przyszłości, w imieniu parawanów japońskich, nie było wywołało wesołego echa. Zwycięstwo nad mahoniowemi komodami musiało połechtać werwę satyryczną cechu kronikarskiego. Może jednak, odkładając żart na stronę i pomijając gwoli temu, to co żartobliwego mieć może w swojéj formie myśl starego szermierza, wypadałoby przyznać, iż w saméj rzeczy rozsmakowanie się dzisiejszego pokolenia w japońszczyznie a chińszczyznie ma związek z nowym tym kierunkiem artystycznym, który przybrał w malarstwie nazwę *impresionizmu*. Że zaś kierunek ten nabiera z dniem każdym więcéj siły, zaprzeczać niepodobna. Skądinąd i spółczesny zwrot ku formom artystycznym wieku XVIII jest faktem w oczy bijącym. Pozostawałaby więc tylko do rozstrzygnięcia kwestya, o ile rola dwóch braci w wywołaniu tego i tamtego zwrotu była istotnie przodowniczą.

Nie mogę oczywiście miéć intencyi podnoszenia tutaj tego sporu. Zostawiam przeto w zawieszeniu dwie z pomiędzy trzech pretensyi objawionych w ten sposób przed sądem potomności. Ale trzecia należy do obecnego mojego przedmiotu. i dla rozprawienia się z nią właśnie zawadziłem o pana Edmunda Goncourt i o jego samochwalczą prozę. Niezbędna to bowiem rozprawa na wstępie do zamierzonego tu sprawozdania. Zaniechawszy jéj, nie potrafiłbym sprostać téj roli przewodnika, którą przyjąłem na siebie. Naraziłbym się na ustawiczny właśnie brak porozumienia między mną a czytelnikiem co do tych pojęć, zagadnień i wyrażeń nawet, z któremi wypadnie nam spotykać się na każdym kroku w naszéj wędrówce. Poruszona przez tę jednę pretensyą kwestya, to właśnie cała prawie *kwestya literacka* dzisiejszéj chwili. Kwestya nierozstrzygnięta i zawilsza owszem dziś niż kiedykolwiek.

Oto bowiem, na dwa lata przed ukazaniem się manifestu pana Edmunda de Goncourt, był nas doszedł manifest pana Zoli („*Le roman expérimental*“ 1880). I zbudował nas, a i zdziwił niepomału, ten rzekomy nowator i naczelnik szkoły, wypierając się, w swojém, swoich uczniów i samych panów de Goncourt imieniu, wszelkiéj pretensyi do nowatorstwa. „Pierwszym znanym naturalistą był Homer, i jego uczniami są wszyscy dzisiejsi naturaliści. Jeżeli przynoszą oni coś nowego, tedy tém czemś jest nowa metoda, *metoda eksperymentalna*. Ale i to spadek odzierżony pośrednim sposobem po przodkach literackich XVIII wieku, po Diderocie i d'Alambercie, bezpośrednio zaś po Balzac'u i Stendhal'u.“

Tak mówi Zola.

Aliści z kolei odzywają się panowie de Goncourt i słyszymy co innego. *Książka typowa* dobywa się na stół i upomina się o swoje prawa. Nie już od Iliady tedy, ale od „Germinii Lacerteux“ wywodzić nam wypada genealogią naturalizmu; i głową spółczesnéj linii naturalistycznych powieściopisarzy nie jest żaden Diderot ani Stendhal, lecz po prostu Edmund de Goncourt.

Jak pogodzić te sprzeczne oświadczenia, a raczéj, bo o pogodzeniu ich nie może podobno być mowy, jak je wytłómaczyć? Osobiście widzę jedno tylko wytłómaczenie możliwe: obustronny brak jasności w pojęciach. Ci panowie nie umieją się porozumiéć, bo nie rozumieją dobrze samych siebie. Sprzeczają się, bo są z własnemi wyobrażeniami w niezgodzie. Instynkt powiada im, że niosą z sobą jakieś świeże siły, nowe formuły, nieużytkowane dotąd materyały, ale nie umie on dopowiedziéć im, na czém właściwie polega ta nowość. Dlatego, w braku pojęć, uciekają się oni do słów. Zaczęli od tego, że byli *realistami*. Ale im pokazano realizm w Balzacu i nawet w Balzacowych protoplastach XVIII wieku. Przedzierzgnęli się wtedy w *naturalistów*.

Ale znalzzł się znowu ktoś dla dopatrzenia naturalizmu w opisach Homerowych. Zdobyli się wtedy na formułę *metody eksperymentalnéj*. Prawdopodobnie i ta nie da im satysfakcyi. Jakoż przestała już zadawalniać Edmunda de Goncourt.

Ale wszystko to są słowa i tylko słowa. *Verba et praeterea nihil*. Dość przeczytać całotomowe pseudo-krytyczne kompendyum Zoli, aby zobaczyć ubóstwo umysłowe, kryjące się pod tém retoryczném bogactwem.

A jednak nie chciałbym, nie umiałbym zadowolnić czytelnika samemi słowami. Mając do czynienia z realistami i naturalistami, z zastosowaniami *metody eksperymentalnéj* i z przejawami *książki typowéj*, pragnąłbym rozumiéć, co mówię, kiedy mówię o realizmie lub naturalizmie i być rozumianym. Czy mogę pokusić się o dokazanie tego, czego nikt nie dokazał przedemną, ani tu we Francyi, ani podobno gdzieindziéj? kto wie? Zola zapewnia, w ciągu jednéj ze swych rozpraw, iż poruszane przezeń zagadnienia spotykają się z daleko trzeźwiejszym poglądem między obcymi niż między jego współobywatelami. Może komplement to tylko pod adresem czytelników „Wiestnika Jewropy,“ dla których pisaném były pierwotnie te rozprawy. Ale może także trafne ocenienie tych korzyści, jakich, pod względem optycznym, dostarcza czasem patrzącym oddalenie przedmiotu. W każdym razie próbować będę—bo nie potrafiłbym inaczéj.

Rozumiem tedy, że *jest* w spółczesnym ruchu powieściowym tutejszym, tak jak i w całym, ogólniéj rzecz biorąc, umysłowym ruchu,

coś nowego. Jest nowa i wybitna i ogólna tendencya do ograniczenia roli *wyobraźni*, nawet w utworach artystycznych, i zastępywania jéj *obserwacyą*, do zagłębiania się w przedmiot, zamiast ślizgania się po jego powierzchni, do subtelnego odróżniania dostarczanych przezeń wrażeń, zamiast sumarycznego ich zestawiania, do *analizy* zamiast *syntezy*. Ztąd właśnie odstręczenie się rodzaju powieściowego od przedmiotów historycznych, jako zbyt oddalonych, a zwrot do *aktualności*, do wyczerpującego badania dostarczanych przez tę blizką, żyjącą aktualność zjawisk, do odkrywania w niéj nowych rysów i odcieni, do drobiazgowéj opisowości, do przenikliwych psychologicznych i fizyologicznych studyów.

Oto charakterystyka spółczesnéj literatury.

Ale to *coś nowego* niczém inném nie zda mi się być, jak tylko nową fazą odwiecznéj walki między dwoma w umyśle ludzkim i we wszystkich jego manifestacyach odwiecznie ścierającemi się pierwiastkami: idealistycznym i realistycznym. Homer jest niezaprzeczonym realistą, kiedy pokazuje nam Achillesa „tarzającego się w czarnéj kurzawie“, (po otrzymaniu wiadomości o Patroklesowéj śmierci) i „walającego nią piękny swój *chiton.*“ Tak zapewne, w téj dziecinnéj dobie swojéj cywilizacyi, smucili się i gniewali się greccy bohaterowie. I sam p. Zola nie potrafiłby nic dodać do téj *prawdy*. Ale ten sam Homer staje się absolutnym idealistą, zaraz w następnym wierszu, kiedy wyobrażając sobie tego, przez ból serdeczny na ziemię powalonego męża, widzi on go „ogromnego na ogromnéj przestrzeni.“ Stosunek tylko proporcyonalny dwóch tych pierwiastków innym jest u Homera a innym u jego następców, innym u autora „Klarysy Harlowe“ a innym u autora „Assomoir'u,“ i na przewróceniu właśnie tego stosunku, na zapewnieniu absolutnéj przewagi pierwiastkowi realistycznemu polega *nowość* dzisiejszéj doby.

Ale zwycięstwo to nie może uchodzić za dzieło braci Goncourt, widać je bowiem spełnione, i do ostatecznéj już prawie granicy posunięte, w niektórych kreacyach Flaubert'a i samego Balzac'a. Jeżeli o daty chodzi, tryumf „Pani Bovary“ wyprzedził o całe lat ośm (1857—1865) bardzo względne powodzenie „Germinii Lacerteux.“ Pierwéj zaś nawet i po za sferą szkolnych jakichkolwiek wpływów, widać zwycięski pierwiastek dobijający się na każdym kroku o pierwsze miejsce.

On i *Ona* rozstali się, zamieniwszy czułych słów i przysiąg tysiące. *Ona* strawiła część nocy na powierzaniu papierowi tego, co nie zdążyły wypowiedzieć usta, i, skoro świt, wyprawiła z listem zaufaną kamerystkę. *On*, wróciwszy do hotelu, znalazł w sąsiednim pokoju nie nadto powabną, ale pełną zalotności baletnicę, i, po krót-

kiéj z uczuciami a skrupułami walce, zasnął w jéj objęciach. I w tych objęciach znalazł niewiernego skropiony serdecznemi łzami list narzeczonéj. *On* kocha *Ją* niewątpliwie; namiętnie nawet i po swojemu wiernie; ale jest mężczyzną i ma temperament wrażliwy. I niejednokrotnie jeszcze zdarzy *Mu* się dać temu temperamentowi folgę, między dwoma spotkaniami z *Tą*, któréj wieczną miłość przysiągł. Co mu nie przeszkodzi pozostać skłonnym do wszelkich dla *Niéj* poświęceń, ani téż stanąć z *Nią* ostatecznie na ślubnym kobiercu.

Sądzę iż w całém dziele panów Goncourt, ba w całéj literaturze spółczesnéj, niemasz więcéj realistycznego typu. A zkąd ten typ? Z powieści p. t. „Mr. Dupont", któréj tytułowy bohater niema także nic do pozazdroszczenia nikomu pod względem realizmu. A czyja ta powieść? Pana Pawła de Kock, z przeproszeniem. I podobnych typów dziesiątki przewijają się w spółczesnych wodewilach. Ztąd nawet, nieuzasadniona zresztą, tendencya niektórych krytyków, np. pana Brunetière z „Revue des deux Mondes", do upatrywania we wszystkich kreacyach naturalistycznych, samych wodewilowych motywów.

Nie, bracia de Goncourt nie są wodewilistami, ale nie stworzyli oni realizmu, ani téż nie wywalczyli dlań osobiście tego miejsca, które mu w spółczesnéj literaturze przypadło. A jednak „Germinia Lacerteux" jest w saméj rzeczy typem. Nie, broń Boże, typem—jak chce Edmund de Goncourt—tego wszystkiego co od roku 1865 napisaném zostało pod etykietą realizmu czy naturalizmu! Bo pretensya to znowu całkiem nieusprawiedliwiona. I niewiedziéć doprawdy, gdzie, w obec téj pretensyi, podziewają się w umyśle Goncourt'a tacy aktualni przecież realiści jak Daudet, albo Piotr Loti. A chyba myśl cudaczna zastawienia z „Germinią Lacerteux" czy z „Panią Gervaisais" takiéj np. niezrównanie poetycznéj, choć niezaprzeczenie realistycznéj kreacyi, jaką jest czternastoletnia Tahitianka „Rarahu" (w „Le mariage de Loti,") nie mogła postać w jego głowie.

Nie, realizm spółczesny, realizm Flaubert'a, Daudet'a i całéj plejady pisarzy nie wyszedł z „Germinii Lacerteux". Wyszedł on z ducha czasu, z powszechnego nakłonienia się umysłów do ścisłości, trzeźwości, liczby i miary, z olbrzymiego rozwoju naukowego i mimowolnego popędu do badań naukowych. I przodownicza nawet rola dwóch utalentowanych zresztą braci, w téj wielkiéj umysłowéj ewolucyi, jest prostą iluzyą ich nieco naiwnéj miłości własnéj.

A jednak „Germinia Lacerteux" jest *typem* i ten typ jest produktem pewnéj *formuły* i formuła ta, razem z typem przez nią stworzonym, narzuciła się całemu działowi artystycznéj produkcyi spółczesnéj i wyłonił się z niéj istotnie pewien rodzaj powieściowy. Tylko

między formułą a typem niema zupełnego logicznie przeprowadzonego związku, bo go być nie mogło, jak zaraz zobaczymy. I ztąd właśnie ten chaos pojęć, ten zamęt wyobrażeń, ta kakofonia określeń, z których czytelnika wyprowadzić pragnę.

Gdyby bracia de Goncourt byli przykroili swoję „Germinię Lacerteux“ z całkowitą ścisłością do obmyślonéj przez się formuły, tedy nie byli by napisali „Germinii Lacerteux“, ani „Pani Gervaisais“, ani żadnéj innéj powieści. I tak samo Zola nie byłby napisał „Assomoir'u“ ani „Nany“, ani żadnego ze swych dzieł, gdyby był chciał stosować się do téj formuły, przed któréj dobitném określeniem nie cofnął się jednak w swoim manifeście z roku 1880. Brzmi to określenie mniéj więcéj jak następuje: „Aby zastosować się do nowych potrzeb stworzonych przez nowy, naukowy rozwój umysłu ludzkiego, powieść nowoczesna przestaje być tém, czém była dotąd, to jest mniéj lub więcéj udatną kombinacyą wypadków, mniéj lub więcéj szczęśliwém zestawieniem osób, charakterów i namiętności, przeznaczoném dla zabawienia wyobraźni. Staje się ona dziełem poważném, naukowém; ankietą (*sic*), którą, z pomocą przyswojonéj powieściowemu rodzajowi metody eksperymentalnéj, autor przeprowadza nad naturą, nad istotami i rzeczami. Niemasz już mowy w tak pojętém zadaniu powieściopisarza o żadnéj, zbędnéj zgoła fabule romantycznéj, o wymyślaniu osób i scen, intryg i perypetyi, nawiązywaniu i rozwiązywaniu węzła dramatycznego. Natomiast niemasz przedmiotu, któryby pozostawał niedostępnym dla niego. Jego tak dobrze, jak i każdego uczonego, udziałem historya i filozofia, psychologia i fizyologia, polityka i ekonomia społeczna, religia i obyczaje“.....

Zola zatrzymuje się w swém wyliczeniu, mimo właściwego sobie upodobania do wyczerpujących klasyfikacyi, dla tego, że instynkt znowu ostrzega go, iż zbliżył się do nonsensu. Jeżeli psychologia i fizyologia, polityka i ekonomia społeczna, jeżeli *natura* i wszystkie jéj rzeczy, to czemu nie chemia i fizyka, astronomia i algebra? I dla tego także w innych ustępach ograniczać się zdaje Zola swoje pretensye do psychologii i socyologii. Ale co się dzieje wobec takiego ograniczenia z formułą i jéj teoretycznemi podstawami?

Można natomiast powiedzieć łatwo, coby się stało z powieścią, gdyby nawet w zakresie psychologii lub fizyologii podobało się Zoli, czy komukolwiek, nadać jéj kształt całkiem odpowiedni formule. Powieść przestała by być powieścią, a stała by się traktatem naukowym. I dla tego jest *fabuła* w „Germinii Lacerteux“, są osoby i sceny w „Assomoir“; są intrygi i perypetye nawet w „Chérie“. Zapewniają bracia Goncourt i Zola, że ich być tam nie powinno; gniewają się na siebie za te koncesye uczynione przestarzałym ideałom arty-

stycznym; ale powtarzają te koncesye, bo są i chcą pozostać powieściopisarzami, a nie mogli by pozostać nimi inaczéj. Tylko starają się ograniczyć rzekome *zło*, którego usunąć nie są w stanie i dlatego dają nam powieści, coraz to słabiéj opracowane pod względem osnowy, akcyi i budowy artystycznéj, coraz luźniéj spojone, mniéj konsekwentnie przeprowadzone, chorujące rozpaczliwie na brak jakiegokolwiek, interes budzić mogącego wątku.

Skądinąd fatalizm przyjętego nierozważnie hasła prowadzi ich do zamknięcia się w jedném i tém samem zawsze kole obserwacyi. „Germinia Lacerteux“ jest psychologiczném studyum i tak samo „Chérie“, i tak samo „Assomoir“, „Nana“ i kilkadziesiąt innych utworów należących do téj szkoły. Z przywłaszczonego bowiem sobie przez nich naukowego państwa jedyna to jeszcze dzielnica, nadająca się jako tako do takiego rodzaju eksploatacyi. A jeszcze i w tym tak ograniczonym zakresie, fatalna formuła narzuca im nowe ograniczenie. Psychiczno-fizyologiczny *kazus* „Germinii Lacerteux“ jest *wyjątkowym* kazusem i tak samo kazus „Pani Gervaisais“ i tak samo kazus „Chérie“ i tak samo kazus bohaterów „Assomoir'u“. Wszystko to są postaci chorobliwe, dotknięte histeryą, obłędem umysłowym lub nałogowém pijaństwem. Dla czego? Dla tego, że inaczéj badanie dostarczanych przez mniéj ekscentryczne indywidua normalnych, powszednich zjawisk nie przedstawiałoby dostatecznego interesu; na tych zaś zjawisk analizie polegać ma cały interes powieści. I tu wprawdzie także przywódcy szkoły protestują przeciwko samym sobie, klną się na powagę swojego ideału artystycznego, *że tak być nie powinno*; ale czynią *tak*, bo nie mogą inaczéj.

Téj to literatury typem jest „Germinia Lacerteux“; ale w téj literaturze nie zamyka się bynajmniéj cała artystyczna działalność spółczesnych realistów, ani nawet cała działalność samych adeptów téj szkoły—zaczynając od Zoli. „Assomoir“ należy do téj literatury; ale „Une page d'amour“ nie, ani „La Curée“, ani nawet „Germinal“. Kierunek to osobny w wielkim realistycznym prądzie — nic więcéj. Realizm nie jest jego monopolem, ani naturalizm także; nie znalazł się bowiem dotąd nikt dla wskazania różnicy, zachodzącéj może między dwoma temi określeniami. Jeżeli przez realizm rozumiemy zbliżenie się najpoufalsze do natury, a zapewne nie rozumiemy nic innego, tedy naturalizm mieści się w realizmie i mieści się w nim całkowicie.

Odpowiedniejszą już byłaby dla tego osobnego kierunku etykieta *eksperymentalnéj* powieści, wynaleziona przez Zolę. Nie trafia bowiem do mojego przekonania zarzut surowego krytyka z „Revue des deux Mondes“, jakoby ani Zola, ani żaden z jego naśladowców

nie był w stanie podjąć prawdziwego eksperymentu czyli doświadczenia, w dostępnym sobie zakresie zjawisk. Należałoby mu bowiem zacząć od uwięzienia w czterech gołych ścianach badanego przez się typu, jak to czyni Pasteur ze swojemi psami czy królikami. Rzekome przeto doświadczenia Zoli czy Goncourt'ów są, w dokładnem znaczeniu, prostemi obserwacyami. Dla mnie znowu rzekoma dokładność p. Brunetière jest prostą grą słów. Zwierzając się w przedmowie do przedostatniéj swojéj powieści („La Faustin“), z zamiaru ogłoszenia monografii poświęconéj typowi „młodéj, arystokratycznéj dziewczyny paryskiéj“, umyślił Edmund de Goncourt prosić swoje czytelniczki o dostarczenie mu, pod gwarancyą absolutnéj dyskrecyi i ochronną zresztą zasłoną anonimu, jak najliczniejszych i najkonfidencyonalniejszych szczegółów biograficznych. W ten sposób powstała czy miała powstać „Chérie.“ Otóż można oczywiście spierać się z autorem o wartość podjętego przezeń w ten sposób *eksperymentu;* ale niezaprzeczenie podjął on eksperyment i na tym eksperymencie założył treść obmyślanego dzieła.

Tylko pretensye naukowe, przywiązane w pojęciu Zoli do téj etykiety, odejmują jéj trafność w przeznaczoném jéj przezeń zastosowaniu. Między koncesyami, uczynionemi przez autora „Assomoir'u“, artystycznym wymaganiom powieściowego rodzaju jest jedna, która odsądza stanowczo ten rodzaj od takich pretensyi. Przyparty do muru przez swych antagonistów, Zola przyznaje, iż jego obserwacye i eksperymenta są obserwacyami i eksperymentami *sui generis*, „przepuszczonemi przez temperament artystyczny autora.“ Myśl to, mojém zdaniem, trafna i trafnie określająca rolę artysty; ale czy nie jasną jest rzeczą, iż nie może być mowy o *nauce*, a przynajmniéj o *ścisłości naukowéj* wobec takiego określenia? Czy wyobrażamy sobie Klaudiusza Bernard, na którego chętnie powołuje się Zola, „przepuszczającego przez swój temperament indywidualny“ rezultaty swoich chemicznych analiz? Czy wyobrażamy sobie prawodawcę, męża stanu, albo filozofa opierającego się na tego rodzaju rezultatach?

Trzeba tedy odłożyć na bok i tę etykietę i wszystkie inne. Ani Zola, ani Goncourt'owie nie są więcéj *naukowymi* od swych poprzedników, którym chodziło także o puszczenie w obieg pewnéj sumy nowych pojęć, spostrzeżeń i wniosków i którzy dla ułatwienia właśnie tego obiegu uciekali się do lekkiéj, zabawnéj i lekkością swą a zabawną treścią poczytnéj formy. Są oni artystami tak jak tamci; niczém więcéj. I artystami w dodatku, którzy źle zrozumieli swoje zadanie i zmarnowali moc artystycznych zasobów w walce z niepodobnym do urzeczywistnienia ideałem.

Zaczém nie idzie, abym odsądzał ich twórczość od wszelkiéj zasługi i dopatrywał w niéj samych stron ujemnych. A najpierw od-

rzucam stanowczo stereotypowy już, w zastosowaniu do téj szkoły, zarzut rozmyślnéj trywialności i sprosności, stałego i wyłącznego upodobania do wycierania rynsztoków i do obcowania z najniższemi warstwami społeczeństwa. Zarzut to, podyktowany namiętnościami stronniczemi, albo bardzo jednostronną znajomością rzeczy. „Pani Gervaisais“ nie wyciera rynsztoków; „Renée Mauperin“ należy do wyższego mieszczańskiego, a „Chérie“ do najwyższego arystokratycznego świata. Edmund de Goncourt oświadcza gdzieś, iż właśnie wniknięcie w tę ostatnią sferę i przyswojenie *nauce* zaczerpniętych z niéj obserwacyi będzie ostatecznym tryumfem jego szkoły. Naturalnym jednak trybem, nie obrany bynajmniéj rozmyślnie przez nią, ale narzucony jéj fatalnie *patologiczny* kierunek prowadzi najczęściéj, choć nie zawsze, tę szkołę do obcowania z mniéj estetycznemi przedmiotami. Jest to ujemną jéj stroną; ale jeżeli ujemność ta *wynika* z założenia, tedy nie *leży* w niém i nie jest dobrowolną.

Skądinąd zaś wytężenie owo właśnie sił artystycznych w skazanéj na przegranę walce wywdzięczyło się bądź-co-bądź niepoślednieml rezultatami. Posunęli ci zapamiętali psychologowie swoję analizę do wielkiéj głębokości i osiągnęli w obrazowém oddaniu jéj rezultatów niezmierną intensywność. Zawadzili istotnie, i zbyt często, o trywialność, drobiazgowość i wszeteczność nawet szczegółów, ale zostawili kilkadziesiąt kartek i kilka kreacyi typowych, które zostaną między pomnikami wieku.

Język ma im także coś do zawdzięczenia. Samo z siebie idzie, iż pokusić się oni musieli o nowe dlań formy, odpowiadające nowym jego przeznaczeniom. Samo z siebie idzie, iż mniéj musieli się troszczyć o poprawność jego lub harmonią, jak o zwięzłość, precyzyą i wyrazistość. I musieli pokłócić się ze słownikiem akademii i z gramatyką, a zawadzić znowu tu i owdzie o pospolitość lub nawet cynizm wyrażenia, o scientyficzny lub gminny szwargot. Szkoda zdaje mi się jednak mniejszą w tym przypadku od zysku. Nie umiem odmówić słuszności Goncourt'owi, kiedy woła, że gramatyka zmienia się co lat sto, a słownik co rok prawie, i czyni uwagę, że ten lub ów utarty dzisiaj zwrot mowy był neologizmem w r. 1780. I skłaniam się do przypuszczenia, że wiele z użytych przez niego samego poraz pierwszy zwrotów i form znajdzie miejsce jeszcze przed rokiem 1980, w liczbie uznanych bogactw zasilonego niemi języka.

Ostatecznie więc widzę w dziale powieściowym spółczesnego tutejszego piśmiennictwa trzy rzeczy: wybitną i wybitnie zwycięską dążność realistyczną, słaby naprzeciwko niéj opór idealizmu, podtrzymywany przez kilku schodzących z pola szermierzy, takich jak Oktawiusz Feuillet i kilku niespodzianych nowych towarzyszów,

takich jak Halévy, Bourget i Ohnet. Obok zaś, ale zawsze na gruncie realistycznym, osobną szkołę, która zwała się onegdaj *naturalistyczną*, a wczoraj *eksperymentalną*, dla któréj Edmund de Goncourt szuka dziś nowéj nazwy, a którą nazywać będę sam tak, jak ją przyszłość nazwie podobno: szkołą braci de Goncourt. Na czele téj szkoły widzę, w roli uznanego dziś jéj magistra, choć nie zawsze stałego adepta jéj zasad, Zolę; za nim zaś kilku młodych pisarzy ochrzczonych przez Brunetière'a pogardliwem imieniem *małych naturalistów*, choć nie zasługujących chyba — przynajmniéj ryczałtowo—na tyle pogardy. P. Céard z p. Hennique należą wprawdzie do téj gromadki, ale należy do niéj także p. Guy de Maupassant; a pan Guy de Maupassant to już dziś, nawet w oczach samego p. Brunetière'a podobno, cale nie mała osoba.

Zgodnie z tém widzeniem rzeczy i z tą klasyfikacyą — która, nadmieniam to, nie zna i nie może mieć nic absolutnego, jak absolutnemi nie są i nie mogą być szkolne tendencye objętych przez nią talentów—dzielę niniejsze moje sprawozdanie na trzy części, zaczynając od tego z trzech wytkniętych kierunków, w którym mieścić mi się zdaje największa suma dodatniéj twórczości, i od tych osobistości, których działalność w tym kierunku zdaje mi się najwięcéj charakterystyczną. Pomijam na teraz p. Daudet, jako przedstawionego już czytelnikom na tém miejscu i lepiéj znanego im, skądinąd nawet, od innych godnych poznania współzawodników.

1. **Piotr Loti (Lucyan Viaud).**

Dwa lata temu dzienniki niemieckie przedrukowywały z upodobaniem i z wielkiém bogactwem komentarzy zamieszczony w „Figarze“ opis krwawego spotkania między wylądowującą w Tonkinie kolumną francuską a broniącymi jéj przystępu krajowcami. Walka zakończyła się zwycięstwem po stronie Francuzów i nie ze względu też na ten koniec rozlubowała się tak dalece prasa zareńska w jéj opisie. To, co się jéj podobało w nim, to jaskrawość obrazowania, strasznemi i wstrętnemi przepełnionego szczegółami, bryzgającego niejako krwią i mózgami pomordowanych tysięcy, i rzucającego na sztandar francuski plamę ohydnego barbarzyństwa. Były tam okropne widziadła bezbronnych ofiar, kobiet i dzieci, zapędzanych gradem kul w środek płonącego sioła i dopiekanych żywcem w ogniu własnych chat; rozbrojonych i proszących o pardon wojowników, dobijanych bez litości....

Oburzyła się z kolei, dolatującém z za Renu echem ostrzeżona opinia nadsekwańska. Kto dostarczył „Figarowi“ tego drastycznego

opisu? Oczywiście oficer z Tonkińskiego korpusu ekspedycyjnego. Oficer ten powinien tedy być ukaranym. Dopuścił się on prawdziwéj zdrady przed nieprzyjacielem! O mało nie zażądano głowy zdrajcy. Żądano przynajmniéj jego wydalenia z szeregów skompromitowanéj przezeń armii.

Tu jednak stropiona w pierwszéj chwili redakcya „Figarowa" wystąpiła nagle z rezolutną obroną swego przygodnego współpracownika. „Wiecież kogo potępiacie, kogo haniebnéj karze przekazujecie w ten sposób? Wiecież kim jest Lucyan Viaud, porucznik w jednym z batalionów ekspedycyjnych i autor oskarżonego artykułu? Lucyan Viaud, to Piotr Loti, a Piotr Loti to jeden z mistrzów dzisiejszych francuskiéj prozy i jeden z rzemieślników narodowéj chwały!"

Tym sposobem dowiedziała się publiczność o prawdziwém nazwisku i zawodzie autora kilku już powieści, z których jedna „Mon frère Yves" zbliżyła go do czytelników „Revue des deux Mondes", a druga „Le mariage de Loti" zjednała mu łaskę szerszéj jeszcze nierównie publiczności.

Już niewczesna przygoda z „Figarem" ukazuje nam w Loti'm niezaprzeczonego realistę. Zabrawszy się do opisania bitwy, opisał on ją tak, jak ją widział, nie troszcząc się o rezultat. Jest to jednak, jak zobaczymy zaraz, realista całkiém oryginalny, realista, którego realizm kombinuje się z mocą idealnych i najidealniejszych pierwiastków, realista chodzący po ziemi i zawadzający nawet o kałuże, ale noszący głowę na obłokach. Talent będący zresztą do téj pory na wyrobku, szukający swojéj drogi, wahający się między dwoma kierunkami, i z tego względu także dopominający się o pierwsze w tym przeglądzie miejsce, bo charakteryzujący najwyraziściéj przejściową fazę powieściopisarstwa spółczesnego. Twórczość dotychczasowa młodego pisarza dzieli się na dwie bardzo odrębne połowy, w żadnéj z których zresztą nie dał on jeszcze, jak domyślać się wolno, całéj swojéj miary. W pierwszéj swojéj manierze radzi się on widocznie tylko swego instynktu artystycznego i swojéj fantazyi, i pisze powieści, których przedmiotem jest miłość, których wątek, bardzo luźnie osnuty, składa się przecież na pewną całość i które tedy *more antiquo*, mają początek, środek i koniec, zawiązanie i rozwiązanie.

Do téj maniery należą „Aziyadé" (1880), „Le mariage de Loti" (1881) i „Le roman d'un Spahi" (1882). Idealizm walczy tu na każdym kroku z realizmem i najczęściéj zwycięża.

W drugiéj manierze realizm bierze stanowczo górę, choć nie bez częstych, a pokonanym przeciwnikiem kompromisów. Jedno-

cześnie zaś ideał artystyczny autora i metoda jego sama ulegają dość znacznemu przeobrażeniu. Na ich pierwiastkowéj oryginalności odbijają się teraz widocznie wpływy szkolne. Trochę, dużo nawet szkoły Goncourt'ów. „Mon frère Yves“ obchodzi się już bez miłosnéj intrygi i bez intrygi jakiejkolwiek, bez początku i bez końca. Nic prócz psychologiczno-fizyologicznego, i, jak chce porządek naturalny rzeczy, patologicznego studyum. Trochę także szkoły Brunetière'a. Więcéj ładu w układzie a mniéj fantazyi. Ani „Aziyadé“, ani „Le mariage de Loti“ nie potrafiły przebłagać groźnego Cerbera trzymającego straż u drzwi „Revue des deux Mondes.“ Trzebaż było zastosować się do cerberowego smaku; przystrzydz sobie skrzydła i uporządkować strój, odpowiednio do wymagań miejscowych.

Żadne obszerniejsze dzieło zresztą, oprócz wspomnianego już wyżéj, nie wyszło dotąd z nowego tego kierunku. Tylko krótkie szkicowe ułamki takie, jak „Un Vieux“, pomieszczane już teraz stale przez wybredny dwutygodnik. Prawda, że wyprawa Tonkińska przywłaszczyła sobie od lat kilku czas i siły rycerskiego autora.

Nietylko pod względem maniery ale i pod względem treści saméj należą trzy pierwsze utwory Loti'ego do jednéj kategoryi. Są to najpierw autobiografie. Autor opowiada przygody własnego, od pustyń Afrykańskich do dziewiczych lasów australskich wędrującego zawodu. Prostaczy kawalerzysta z „Le roman d'un Spahi“ i wytworniejszy oficer marynarki angielskiéj z „Le mariage de Pierre Loti“, to zawsze on sam. W przygodach tych miłość odgrywa, jak już to zaznaczyłem, główną rolę. Miłość dla mniéj lub więcéj powabnych przedstawicielek ras egzotycznych, tu i owdzie napotkanych. W przedstawieniu tych egzotycznych typów niewieścich, autor nie daje się unosić, z pozoru przynajmniéj, żadnym porywom wyobraźni czy serca. Pozostaje realistą. Faton-gaye, czarna kochanka Spahisa, ma ręce czarne *zewnątrz*, tak jak twarz i ciało całe, ale *wewnątrz* ręce te przypominają czerwoném swém zabarwieniem „coś nieludzkiego.“ Nie budzi téż ona z początku w duszy młodego żołnierza, któremu ocala życie, innych uczuć prócz wdzięczności, litości — i wstrętu. Później nawet, kiedy ulegając wpływowi czerwcowego słońca, które mu pali krew, i afrykańskiéj atmosfery, odurzającéj mu zmysły, rzuca się on w objęcia lubieżnéj murzynki pod cieniem olbrzymiego baobabu, nawet wtedy roznamiętnione jego żądze walczą z pierwotną odrazą i od czasu do czasu owo „coś nieludzkiego“, dostrzeżone w rysie jakimś twarzy, czy w układzie członków, czy w geście, zrywa na chwilę czar miłosny przywiązujący go do téj nieswojskiéj oblubienicy. Widzimy go raz dokonywającego arcy-natu-

ralistycznych oględzin czarnego jéj ciała i powtarzającego z rozmysłem: — Zupełnie jak u małpy!

Czarna oblubienica kocha zresztą swojego Spahisa dla tego tylko, że ten Spahis jest pięknym jak Apollo, a silnym jak Herkules. A miłość ta, na wskróś egoistyczna, to jeszcze co ma ona najlepszego w czarnéj swojéj duszy. Złośliwa zresztą, kłamliwa i przewrotna, eksploatuje swojego kochanka jak może najumiejętniéj, obiera go z pieniędzy, okrada go nawet dla zaspokojenia swych kaprysów, a podczas manewrów przywiązujących go do obozu, otwiera okno czarnemu rywalowi z pięknego plemienia Khasonkesów. I kradzież ostatecznie — kradzież zegarka, pochwyconego w kufrze Spahisa i sprzedanego za trzy khalisy (pięciofrankówki), dla nabycia wzorzystéj zasłony — staje się powodem zerwania dla urozmaiconego w ten sposób romansu. Oburzony Spahis łamie spicrutę na obnażonych plecach winowajczyni i wyrzuca ją za drzwi razem z wszystkiemi amuletami, stanowiącemi jedyne jéj bogactwo.

Nie mniéj realistycznym, zawsze z pozoru, jest wizerunek australskiéj „żony" Piotra Loti, Tahitianki „Rarahu." Samo już imię to świadczy o przywiązaniu autora do dokładności egzotycznéj charakterystyki. Zobaczmy teraz, jak wygląda nowa ta kochanka. Autor nie kryje przed nami tego, że wymagania miejscowéj mody pokryły jéj czoło „centkowaniem, naśladującém dyadem," dolną zaś jéj wargę „trzema niebieskiemi poprzecznemi kreskami"; ani tego, że oczy jéj niezmiernie zbliżone do siebie, jak u wszystkich kobiet jéj rasy, i na wierzchu głowy osadzone, „dają jéj kiedy się śmieje, podobieństwo do małych zwierzątek znanych pod nazwą „ouistiti." Widzimy daléj, że wielka miłość powzięta przez nią dla Piotra Loti nie przeszkadza jéj zalecać się do starego lubieżnego Chińczyka. Dowiadujemy się nawet o czerwonéj wstążce, za któréj cenę piękna Rarahu pozwala staremu lubieżnemu Chińczykowi przybliżyć usta do obnażonéj piersi ... W dalszym ciągu trafimy na drastyczniejsze jeszcze zwierzenia. Rarahu pozostaje wierną swojemu ubóstwianemu przez się „mężowi", ale w tym tylko sensie, że nie wiadomo o żadnym europejczyku, czy Chińczyku, który by znajdował do niéj przystęp. Młodym natomiast krajowcom nie umie nic odmawiać jéj własna do namiętnego życia rozbudzona młodość. Jest to, jak nas objaśnia autor, sens zupełnie w stosunku do miejscowego obyczaju dokładny. I zadawalniając się sam tém objaśnieniem, Piotr Loti zamyka oczy przed temi wybrykami. Nakoniec, kiedy przychodzi chwila rozstania, kiedy admiralski statek unosi przygodnego „męża" ku dalekim, dalekim wybrzeżom, „Rarahu" ślubuje mu wprawdzie dozgonną i niepodzielną już miłość; próbuje nawet dotrzymać ślubu;

oddala się od stolicy i jéj pokus. Ale po miesiącu młodość i maorytańska natura biorą górę. „Rarahu“ wraca do Papaete i nie stroni już od starych lubieżnych Chińczyków, a ugania się za młodymi majtkami angielskimi, i kończy, z suchot wycieńczenia, i z nadużycia gorących napojów, w ich objęciach.

Realizm nie może chyba wymagać więcéj.

A jednak i pierwiastek idealny nie traci swych praw w tych tak grubemi farbami podłożonych portretach. Bądź co bądź, autor *chce*, aby stworzone przezeń, czy z natury istotnie malowane postaci były pięknemi. I udaje mu się to, zwłaszcza z postacią maorytańskiéj dziewczyny. Mniéj z afrykańskim typem Spahisowéj kochanki. Wierzyć mamy wprawdzie że khasonkeńska czysta rasa niema nic wspólnego z grubemi wargami i wyłupiastemi oczyma potwornych afrykańskich typów, z któremi spotykamy się w Europie; i że natura wyrzeźbiła w hebanie nosek i usteczka czarnéj Faton-gaye z niedoprześcignętą przez żadnego greckiego snycerza misternością. „Kiedy Faton-gaye podniosła wdzięcznie zaokrąglone ramiona, dla poprawienia czegoś w kunsztownym kruczych włosów układzie, przychodziły na myśl patrzącemu na nią wytworne kształty bronzowéj amfory...“ Autor mnoży tego rodzaju porównania; idealizuje więc najoczywiściéj. Ale jego idealizm nie trafia nam zawsze do przekonania. Ślizga się on po powierzchni obrazu. Pokład realistyczny jest za gruby.

Inaczéj z wizerunkiem młodéj Rarahu. Autor wydoskonalił tu swój proceder. Bo, mimo wcześniejszego pojawienia się na półkach księgarskich „Rarahu“ jest niezaprzeczenie późniejszą o lat kilka kreacyą. Wszystko o tém świadczy: i treść i forma, i styl i potęga obrazowania. Historyą Spahisa i jego kochanki dobyło dopiero z autorskiéj teki, gdzie może powinna była pozostać, powodzenie niezmierne „Małżeństwa Piotra Loti.“ Ostatni ten utwór pozostaje najwyższym wyrazem pierwszéj maniery młodego pisarza, a nawet nie waham się rzec, całéj jak dotąd, jego twórczości.

„Rarahu była małém stworzeniem nie podobném do żadnego innego, choć przedstawiającém doskonały typ téj rasy maorytańskiéj, która zaludnia archipelag polinezyjski i uchodzi za jednę z najpiękniejszych w świecie; rasy odrębnéj i tajemniczéj, któréj pochodzenie nie wiadome.

„Rarahu miała oczy czarne z rudawym połyskiem, pełne egzotycznego omdlenia i téj pieszczotliwéj słodyczy, którą widać u małych kotków, kiedy się je głaszcze; rzęsy jéj były tak długie, tak czarne, że można je było wziąć za malowane pióra; nosek krótki i smukły jak u niektórych typów arabskich. Usta, nieco grubsze i szerzéj

rozcięte niż chcą klasyczne wzory, miały głęboko rzeźbione krawędzie, zaokrąglenie rozkoszne. Śmiejąc się, odkrywała aż do głębi zęby nieco szerokie, białe jak biała emalja, zęby których lata nie zdążyły wygładzić i które zachowywały jeszcze lekkie prążki dziecinnego wieku. Włosy, napojone wonią drzewa sandałowego, długie, proste, nieco szorstkie, spadały ciężkiemi masami na jéj nagie ramiona. Jednostajna barwa płowa, wpadająca w kolor czerwonoceglasty, barwa jasnych glinianek staréj Etruryi, pokrywała całe jéj ciało od wierzchu czoła do końca stóp.

„Rarahu była małego wzrostu, z przedziwném zaokrągleniem kibici i przedziwną jéj proporcyą; pierś jéj była kształtna i gładka, ramiona miały zapożyczoną od antyków doskonałość rysunku...“

Oto całość obrazu, z subtelną, ale dość widoczną mieszaniną dwóch pierwiastków. Od początku do końca pozostaje autor wiernym temu dualizmowi; tylko pierwiastek idealistyczny osięga ku końcowi coraz to większą przewagę, i Rarahu staje się coraz mniéj podobną do małpki a coraz to podobniejszą do antyków.

Jak zaś się ma z plastyczném upostaciowaniem modelu, tak się ma i z jego moralną charakterystyką. W rozwiązaniu powieści realizm upomina się wprawdzie o swoje prawa, jak to już zaznaczyłem. I to w sposób nader brutalny. Rarahu umiera w rynsztoku. Ale przedtém zdążył autor z niéj zrobić jedną z najpoetyczniejszych personifikacyi wdzięku niewieściego, naiwności dziecinnéj i miłości dziewiczéj, z jaką spotkać się można w jakiejkolwiek literaturze.

„O mój luby przyjacielu!—O mój woniejący kwiatku wieczorny!—ból mój wielkim jest w sercu—że Cię już nie widzę...—O moja gwiazdo poranna!—oczy moje topnieją we łzach—że już nie wracasz! Pozdrawiam Cię przez prawdziwego Boga w wierze chrześcijańskiéj. Twoja mała przyjaciółka.—Rarahu.

Oto pierwszy, w swojskiém prostaczém narzeczu własnoręcznie skreślony list, przy pierwszém rozstaniu z biorącym udział w odległéj wyprawie kochankiem. „Bo nie trzeba przypuszczać, aby Rarahu była osobą pozbawioną erudycyi; umiała ona czytać w swojéj tahitańskiéj biblii i pisać, grubemi, śmiało kreślonemi literami, miękkie wyrazy maorytańskiéj mowy... Tylko nauka ta, uzyskana w szkole miejscowych misyonarzy, musiała kosztować ją drogo, bo była ona bardzo leniwą.

A oto list drugi, przesłany już do Anglii, po wiecznéj rozłące:

„Drogi przyjacielu, o mój Loti kochany—o mój mężu luby—o Ty, moja myśli jedyna w Tahiti,—pozdrawiam Cię przez Boga prawdziwego. Ten list powie Ci mój smutek dla Ciebie. Od dnia, w którym odjechałeś—nic nie może dać miary mojéj boleści.—Nigdy

moja myśl nie zapomina Cię—od chwili Twojego odjazdu.—O mój drogi przyjacielu,—oto moje słowo:—nie myśl—ażebym miała iść za mąż; jakżebym za mąż poszła,—kiedy Ty jesteś moim mężem?—Wróć abyśmy żyli razem—w moim kraju, w Bora-Bora. Nie zostawaj tak długo w Twoim kraju—i bądź mi wiernym.—Oto jeszcze jedno słowo: Wracaj do Bora-Bora;—mniejsza o to że niemasz bogactw, nie trzeba mi wiele,—nie troszcz się o to,—i wracaj do Tahiti. Ach! co za radość być razem.—Ach co za uciecha mojego serca być znowu z Tobą,—z Tobą moje myśli—i moja miłość każdego dnia. Ach co za myśl luba—mieć Cię za męża. Ach! jak pożądam Twojego ciała—aby najeść się Ciebie do syta!...—O mój przyjacielu—oznajmiam Ci—kończąc ten list—że już nigdy teraz nie jest mi dobrze,—wpadłam napowrót—w tę chorobę, o któréj wiesz, że przestała ciążyć nademną,—w tę samę, nie inną,—i znoszę ją cierpliwie—bo zapomniałeś o mnie;—gdybyś był przy mnie, ulżyłbyś mi trochę... A teraz,—Tiaholli i jéj towarzysze przypominają Ci swoję przyjaźń i jéj krewni także i ja także;—nigdy ludzie mojego kraju—nie zapomną o Tobie“...

Tak pisze Rarahu i tak trafia ona do naszego serca. I poezya płynąca z tych listów, a oblewająca tak samo wszystkie kreacye autora, to razem z niezaprzeczonym jego opisowym talentem, prawdziwy sekret jego powodzeń. Ów zegarek ukradziony przez czarną kochankę białemu Spahisowi i stający się przyczyną jéj wydalenia, to stary srebrny repetier, z którym ojciec Spahisa rozstał się z żalem i z którym kazał obiecać synowi, że go pochowa kiedyś, aby mu dzwonił, tam w trumnie ostatnie godziny. Ztąd gniew Spahisa i jego zemsta. Ma on ojca ten hulaszczy Spahis, tam w górach Cewenskich i matkę starą, któréj posyła to, czego mu czarna Faton nie zabierze z zarobionego żołdu, i białą narzeczonę, która wygląda jego powrotu. Wszystko to jest nie nowém zapewne, nie oryginalném bynajmniéj, *vieux jeu*, jak tylko być może; ale to właśnie, ta domieszka poetycznie sentymentalnych motywów ocala *romans* Spahisa od odrazy, którąby musiał wywoływać inaczéj.

Kiedy zaś trafił autor na coś świeższego, w niedoczerpaném źródle poetycznego swego natchnienia, i pozwolił zarazem płynąć swobodnie potokowi, tedy napisał „Małżeństwo Piotra Loti“ i stworzył małe arcydzieło.

Wątek powieści jest i tu dość nikłym. *Pomysłowość* nie należy stanowczo do przymiotow autora. Harry Grant, oficer marynarki angielskiéj, przybył na admiralskim okręcie do Tahiti. Ochrzczony przez krajowców maorytańskiem imieniem „Loti“ poznał między nimi i pokochał czternastoletnią dziewczynkę, z którą, korzystając

z luźnego miejscowego obyczaju, zamieszkał i która odtąd uchodziła za jego żonę. Po roku pobytu przy brzegach rozkosznéj wyspy, statek odpłynął, i „Rarahu“ pożegnała na wieki swojego męża. Oto wszystko. Żadnych powikłań ani perypetyi, a jednak dosyć tego, tych szybko przemijających chwil szczęścia i tego ich zakończenia, podobnego do śmierci, straszniejszego owszem od niéj, bo rozdzielającego dwie żyjące istoty, w pełni młodości, sił i wzajemnego przywiązania, dosyć tego dla poruszenia nas do głębi.

„Biały, smutny blask poranny wciskał się do moich okien otwartych... Rarahu spała... Popatrzyłem na nią przez chwilę, a potém obudziłem ją pocałunkiem:

„...Ach! tak, Loti, rzekła... to dzień, budzisz mnie i trzeba na statek.“

Oto cała prawie scena pożegnania. A jednak nie wiem czy kto potrafi przeczytać ją bez wzruszenia.

Tak ograniczonéj osnowy i tak wstrzemięźliwie traktowanych kilku scen nie starczyłoby dla wypełnienia nam powieści. Przychodzą w tym względzie w pomoc autorowi opisy. Trafiają się między niemi arcy-realistyczne, trywialne nawet, lub wstrętne. Zwłaszcza w „Romansie Spahisa“, i nawet w „Małżeństwie Piotra Loti.“

„... Są pewne konieczności nieodłączne od naszéj smutnéj natury ludzkiéj, które zdają się być stworzonemi umyślnie dla przypomnienia nam jak dalece jesteśmy niedoskonałymi i materyalnymi— konieczności, którym królowe ulegają tak samo jak pasterki...

„Kiedy królowa Pomaré (panująca w Tahiti) spotyka się z taką bolesną sytuacyą, trzy niewiasty towarzyszą jéj, w drodze do pewnego tajemniczego zakątka, ukrytego pod bananami...

„Pierwszéj z tych towarzyszek przypada obowiązek podtrzymywania, w czasie operacyi, ciężkiéj osoby królewskiéj. Druga niesie w ręku kilka liści z drzewa *burao*, starannie wybranych między najświeższemi i największemi... Trzecia, która rozpoczyna swoję funkcyą wtedy kiedy dwie pierwsze dokonały swojéj,—trzyma flaszkę olejku kokosowego, napojonego sandałowym zapachem, i rozlewa jego zawartość na te części królewskiego ciała, które podrażnić lub zranić mogło tarcie buraowych liści...

„Po zamknięciu posiadzenia—orszak wraca poważnie do pałacu...“

Odwracamy kilka kartek i czytamy:

„Około południa to, w pewien dzień spokojny i upalny, zobaczyłem po raz pierwszy moję małą przyjaciółkę Rarahu. Młode Tahitianki uczęszczające na brzeg strumyka w Fatua, były tam, przygnębione sennością i skwarem i leżące w trawie, ze stopami kąpiącemi

się w wodzie przezroczéj i chłodnéj. Cień gęstéj zieloności spadał na nas, prostopadły i nieruchomy; szerokie motyle o czarnéj, aksamitnéj sukni pokrytéj wielkiemi fijoletowemi oczyma, przelatywały powoli lub spoczywały na nas, jak gdyby ich jedwabne skrzydła zbyt ciężkiemi były dla dźwignięcia ich w górę; powietrze nasycone nieznanemi woniami upajało jak narkotyk... Nagle, w głębi obrazu gałęzie gojawy i mimozy rozsunęły się; dał się słyszéć lekki szelest zmiętych liści—i dwie małe dziewczynki ukazały się, patrzące bystro przed siebie niby dwie myszki wychodzące z jamy...

Takie znowu czysto-idyliczne opisy trafiają się w „Le Mariage de Loti" i w innych utworach autora całemi dziesiątkami.

Dostrzedz téż można, tu i owdzie lekkich zarysów pewnéj filozoficznéj tendencyi. Chodzi autorowi o scharakteryzowanie wzajemnego stosunku do siebie dwóch ras tak różnych jak europejska a maorytańska albo afrykańska, i o zaznaczenie psychologicznych lub nawet fizyologicznych zjawisk wyniknąć mogących z ich zbliżenia się do siebie.

— „Loti, zapytała Rarahu, po długiem milczeniu, jakie są myśli twoje?"

— „Rozmaite, odpowiedziałem, takie których pojąć ty nie możesz. Myślę, o moja mała przyjaciółko, że na tych dalekich morzach są archipelagi zapodziane wśród niezmiernych przestrzeni; że na tych archipelagach mieszka tajemnicza rasa, któréj przeznaczono zniknąć niezadługo; że ty jesteś dzieckiem téj starożytnéj rasy; że w głębi jednéj z tych wysp, daleko od wszelkiéj innéj ludzkiéj istoty, w zupełnéj samotności, ja dziecko starego świata, zrodzone na odwrotnéj stronie ziemi, jestem przy tobie i że cię kocham"...

. . . .

— „Loti, rzekła Rarahu, — ażeby twój kraj zobaczyć, jak wysoko trzebaby pójść jeszcze?"

W kilka dni późniéj na pokładzie statku admiralskiego, Loti duma nad swojém i swojéj towarzyszki przeznaczeniem:

„Toć kochałem ją, biedną dziewczynę; krajowcy mówili o niéj: to mała żona Piotra Loti. I była ona moją żoną w saméj rzeczy; sercem i zmysłami kochałem ją. Ale między nami były przecież przepaści, straszne na zawsze zamknięte przegrody. Toż była ona zawsze córką dzikiego plemienia i między nami, będącymi jedném ciałem, pozostawała różnica radykalna ras, rozbrat pojęć najelementarniejszych... Przypominałem sobie to, co mi powiedziała jednego dnia: „Lękam się, aby nie było nieprawdą to, że jeden Bóg nas stworzył."

Z myśli téj filozoficznéj, artystycznie przeprowadzonéj, dobył nawet autor to, co jest najrzewniejszego i najdramatyczniejszego w jego powieści. Rarahu spostrzega niebawem, że pieszczone przez chwilę marzenie wiecznego z białym kochankiem połączenia jest niepodobieństwem. Dworska uroczystość, która oddala od niéj powołanego do pałacowéj służby oficera, i w ciągu któréj widzi go ona paradującego w królewskim orszaku, podczas gdy sama ginie w tłumie swych prostaczych towarzyszek, otwiera jéj oczy. Poddaje się ona swojemu losowi. Wita wracającego kochanka bez słowa wyrzutu, ale „z lekkim poruszeniem ramion, z niespodzianym wyrazem rozczarowania, gorzkiego smutku i ironii." I odtąd, oddana mu tak jak pierwéj ciałem, duszą oddala się ona od niego coraz bardziéj. I coraz bardziej w duszy téj, na chwilę przyswojonéj, biorą napowrót górę dzikie instynkta przyrodzonego temperamentu. A jednocześnie „choć kibić jéj i pierś zachowują okrągłość i kształtność pięknych posągów starożytnéj Grecyi," lekki, charakterystyczny kaszel i rysujące się coraz wyraźniéj naokoło oczu niebieskie obwódki wskazują, że cierpienie jéj serca przeszło do ciała i że, kiedy admiralski statek podniesie kotwicę, niedługo jéj przyjdzie nosić żałobę po kochanku.

I on, ten kochanek jednego wiosennego dnia, płacze serdecznemi łzami nad tém straconém ciałem i bardziéj jeszcze nad tą straconą duszą. Ale rozumie, że myśl przywiązania się nazawsze do téj rozkosznéj wyspy i do téj lubéj towarzyszki, myśl którą pieścił także przez chwilę, byłoby szaleństwem, i odjeżdża...

W „Romansie Spahisa" posunął autor daléj jeszcze swój teoretyczny wywód, bo czarna Fatun wydaje na świat białego, do ojca podobnego synka. Ale kiedy nieszczęsny „Spahis" pada pod nożami dzikich krajowców, barbarzyńska matka dusi swoje dziecko i otruwa się sama przy trupie kochanka.

Ścisłéj zresztą logiki i konsekwencyi w przedstawieniu i rozwiązaniu tego lub innego z poruszonych przezeń zagadnień nie należy wymagać od autora; tak samo jak logiczniejszego układu kompozycyi i porządku obrazów. Jest w całéj téj połowie jego „pierwszéj manery" dużo kapryśnéj fantazyi, i nie wiem czy od Bajronowskiego Donżuana koniecznie, jak chce Brunetière, zapożyczonéj, ale nie mniéj bezceremonialnéj dezinwoltury.

Jedno i drugie, fantazya i dezinwoltura, brak logiki i brak porządku biorą koniec w „drugiéj manierze." „Mon frère Yves" jest jeszcze dalszym ciągiem autobiograficznie opisywanych przygód; ale już w nierównie ścislejsze ramy ujętym. „Mon Frère Yves" obchodzi się bez ekcentrycznych wycieczek na leżące po za granicami przed-

miotu manowce, bez dziwacznych epizodów, niemiłych krytykowi z „Revue des deux Mondes“, bez wszystkiego jednem słowem, co nie należy do historyi „brata Yves.“ Owóż historya „brata Yves“ zaleca się większą jeszcze treściwością niż historya czarnéj Faton, albo płowéj Rarahu. Brat Yves jest prostym majtkiem, i w tym charakterze podkomendnym opowiadającego nam o nim i o sobie autora. Jednego razu, w Montewideo, autor wydobył swojego podkomendnego z rąk porywających go po pijanemu korsarzy. Drugiego razu, w Pernambuko, ocalony w ten sposób majtek wywdzięczył się oddając wszystkie swoje oszczędności, wraz ze sprzedanym pokryjomu zegarkiem, na zapłacenie kartowych długów swego oficera. Ztąd przyjaźń, zamieniona z czasem w zaprzysiężone braterstwo. Ztąd obowiązek także dla starszego brata czuwania nad młodszym bratem, który potrzebuje takiéj opieki, bo się upija nałogowo. Tak, „brat Yves“ jest nałogowym pijakiem, i na tém polega cała jego historya. I cała powieść także, zajmująca 423 stron druku. Wpływ szkolny staje się tu widocznym. Fantazyą i dezinwolturę zastąpiła formuła braci Goncourt. Na pokładzie statku „brat Yves“ jest wzorowym marynarzem; ale skoro go puszczą na ląd, kwestya: czy upije się on, czy nie upije się?—staje natychmiast przed czytelnikiem. Ile jest rozdziałów w powieści, tyle jest kolejnych wylądowań „brata Yves“ i kolejnych *eksperymentów* z prześladującym go i na wielorakie nieprzyjemności narażającym nałogiem.

Wprawdzie, jak to trafnie zauważył rolę apologisty na siebie przyjmujący krytyk, „każda powieść polega na tém, że chodzi o to, czy się coś zdarzy, czy się nie zdarzy.“ Ale i to dawniéj jeszcze zauważono, z niemniejszą trafnością, że wszystkie przedmioty dobremi są dla autora, z wyjątkiem przedmiotów nudnych. Otóż wolno przypuszczać chyba, że dla większéj przynajmniéj liczby czytelników, przedmiot obrany tym razem przez utalentowanego pisarza należy do téj ostatniéj kategoryi.

I dla tego także uwolnionym się sądzę od krytycznéj analizy osiągniętych przezeń w tym kierunku naukowych rezultatów. Nadmienię tylko dla wszelkiego bezpieczeństwa, abym nie naraził się czyjejś ciekawości, że przy końcu powieści „brat Yves“ zraniwszy, w przystępie pijanego szału, własne kilkoletnie dziecko, ślubuje wstrzemięźliwość i nie upija się w saméj rzeczy aż do ostatniéj kartki. Ale dodać muszę, iż sam autor zdradza dość wyraźny sceptycyzm, względem stałości tego postanowienia. Kiedy „brat Yves“ powtarza mu swoje przyrzeczenia, on ściska go za rękę „starając się uśmiechnąć, jak ktoś, coby ufał zupełnie.“ Niema więc racyi, dla któréj eksperymentacya nie miałaby być podjętą nanowo któregokolwiek dnia.

Szczęściem formuła Goncourt'owska przyprawiając autora o rozbrat z innemi właściwościami jego pierwszéj maniery, nie obrała go z poezyi. I to w mojém przekonaniu ratuje „Brata Yves", w charakterze artystycznego utworu. Poezya ta rozpościera się zwycięsko, zwłaszcza w opisowéj połowie powieści, która i tu, a nawet tu więcéj niż gdzieindziéj, wynosi więcéj nierównie niż połowę. Dużo, bardzo dużo opisów; chyba za dużo nawet, choć już nie egzotycznych, dla uczynienia zadość wymaganiom Brunetière'a i „Revue des deux Mondes"; czysto swojskich owszem, obracających się koło jednéj dzwonnicy i kilku jabłoni bretońskich. Nie chciałbym zresztą dać do zrozumienia czytelnikowi, iż Brunetière, którego imię nasuwa się często pod pióro, co nie powinno dziwić nikogo, w stosunku bowiem do powieściowéj literatury zwłaszcza, trzyma on niezaprzeczenie między współczesnymi jeżeli nie berło—jesteśmy *en republique*—to przynajmniéj rózgę krytyki artystycznéj—iż mówię ten następca St. Beuve'a nie lubi natury egzotycznéj. Brunetière nie lubi wielu rzeczy, którym odmawia artystyczności i wielu artystów, którym odmawia talentu. Nie lubi braci Goncourt'ów, z Flaubertem pogodził się dopiéro po jego śmierci, a zaś Balzacowi ślubował trwającą nawet za grobem nienawiść. Nie czuje żadnego pociągu do Aleksandra Dumasa syna; czuje raczéj odrazę niż pociąg do Daudet'a, a już język jego jest za ubogim dla wyrażenia pogardy, którą budzi w nim Emil Zola. Ma on swoje upodobania powieściopisarskie i swoich upodobanych powieściopisarzy, do których, nie wiem dla czego, nie należy dotąd Jerzy Ohnet. Może dla tego, że młody ten autor pozwolił sobie osiągnąć kolosalne powodzenie bez upoważnienia „Revue des deux Mondes." Może także w tém wszystkiém trzeba szukać wyjaśnienia tego faktu, zaobserwowanego przez Juliusza Claretie w któréjś z zeszłorocznych kronik, że „Revue des deux Mondes", która w każdym swoim zeszycie pomieszcza jednę przynajmniéj powieść, nie znalazła dotąd miejsca dla żadnéj z tych powieści, które najwięcéj w ostatnich czasach uzyskały rozgłosu. Bez braci Goncourt'ów, bez Daudet'a, Ohnet'a, Zoli i samego Juliusza Claretie mogło z trudnością stać się inaczéj.

Ale nie można powiedzieć aby Brunetière tylko nie lubił egzotycznéj natury. Ignoruje on ją po prostu, ze stanowiska krytycznego, ponieważ z tego stanowiska obraz artystyczny jakikolwiek, o tyle tylko wartość mieć może w jego pojęciu, o ile dostępném jest krytykowi naoczne skontrolowanie jego dokładności. Owóż Brunetière nie był np. nigdy na żadnym z archipelagów australskich, i nie ma wcale ochoty jechać tak daleko dla przekonania się, czy urocza Tahiti wygląda w saméj rzeczy tak uroczo, jak ją nam przedstawia

Loti. Temu to sposobowi pojmowania zawdzięczamy bretońskie obrazy, hojną rozsiane ręką w „Bracie Yves.“ Brunetière zna się dobrze z jabłoniami i dzwonnicami bretońskiemi i zapewnia nas, że tym razem Loti wywiązał się sumiennie z zadania. Można mu wierzyć na słowo.

Można także zgodzić się z nim w jego niechęci dla pewnych nadużyć egzotycznéj charakterystyki, których dopuścił się istotnie autor w dawniejszych swoich opisach, a od których i „Brat Yves“ nie jest zupełnie wolnym. Nawet tu spotykamy takie zwroty, jak: „*Chola* (1) śpiewa jakąś *zamakuckę* chilijską, przygrywając na swojéj *diguheli*....“ A już w „Małżeństwie Piotra Loti“ *upa-upy* (tańce), *pareosy* (zasłony), *tupapahusy* (upiory) wracają co parę wierszy.

A jednak mniemam, iż znajdą się czytelnicy, podobni do mnie, który nie byłem także nigdy w Australii, Bretanię zaś znam nie tak dobrze zapewne jak Brunetière, ale nie źle, a którego mimo to, gdy wędruję z Loti'm od Plouherzel do Toulven, bierze tęsknota za owemi słonecznemi widnokręgami podzwrotnikowemi, do których mu pierwéj towarzyszyłem.

„Na wpół ona zapadnięta w ziemię a cała mchem pokryta ta bretońska chata starych Keremen'ów. Dęby i buki rozciągają nad nią swoje zielone sklepienie; zdaje się ona tak starą jak ziemia sama, na któréj stoi. Wewnątrz ciemno; widać łóżka w kształcie szaf ustawione razem z komodami wzdłuż murów z niebielonego granitu; widać także staruszkę w szerokiéj białéj kryzie, która śpiewa przy nowo-narodzonym, która śpiewa przypomnianą z dzieciństwa piosnkę....

Jużci ładne to. Ale wolę *tamto.* Zdaje się, jak gdyby wyobraźnia autora-poety potrzebowała tamtych szerszych widnokręgów, dla rozwinięcia swych skrzydeł. Oto opuścił on razem z bratem Yves bretońskie sioła i pływa na *morzu Koralowém*:

„...Morze Koralowe! — Na antypodach starego naszego świata. Nic prócz niebieskiego ogromu. Wokoło statku, który posuwa się wolno, niebieska nieskończoność roztacza swój krąg doskonały. Przestrzeń błyszczy i migocze pod blaskiem wiecznego słońca.... Yves jest tam nademną, kołysany w swoim powietrznym hamaku przez jakiś przelatujący podmuch... Patrzy przed siebie, nie widząc... oczy jego nie mają na czém się zatrzymać, bo wszystko wszędzie jednakie. Wszystko wszędzie jednakie.. To wielka, ślepa i bezwiedna wspaniałość rzeczy, o których ludzie sądzą, że dla nich stworzone....“

Może „naoczna kontrola“ zbyteczną zda się nie mnie jednemu dla odczucia takiego obrazu.

---

(1) Hurysa peruwlańska.

Obok obrazowości widać i tu znowu pewną filozoficzną intencyą. Autor zastanawia się nad bezużytecznością tych ożywczych podmuchów, „które przebiegają nad samotnemi przestrzeniami, a których nikt nie oddycha“, nad „bezmiarem marnotrawiącego się tu ciepła i światła. Rzadki to u niego, zwłaszcza w drugiéj manierze, przypadek wykroczenia po za czysto-obserwacyjną rolę. I do żadnéj zresztą konkluzyi nie prowadzący; chyba do jakiegoś bardzo nieokreślonego panteistycznego pojęcia natury.

Ciało zmarłego na pokładzie majtka rzucone zostało do morza: „grób to marynarzy, grób, którego nie gwałci żadna ręka. Kto poszedł spać tak głęboko, jest więcéj od innych umarłym; nic już z niego nie wróci na światło dzienne; nigdy nie zmięsza się on z tym starym pyłem człowieczym, którego atomy, na powierzchni, szukają się i łączą się napowrót w wieczném dążeniu do nowego życia.“

Chyba znowu do równie nieokreślnie zaznaczonéj solidarności z Zolą w pojęciu o fizyologicznéj i psychologicznéj dziedziczności ras. Brat Yves upija się niby z racyi właśnie téj sprawdzającéj się w jego osobie zasady:

— „Och! *pijaństwo! pijaństwo!* — rzekł powoli, odwracając nawpół przymknięte oczy z dzikim w nich wyrazem. — Mój ojciec! moi bracia!.. teraz na mnie koléj!“

Co się tyczy wytkniętego w pierwszéj manierze dualizmu pierwiastków artystycznych, ten utrzymuje się i tutaj; ale sam wybór przedmiotu pociąga za sobą przewagę na stronę realizmu.

Przewaga ta staje się stanowczą w ostatnim z obszerniejszych utworów młodego pisarza, zamieszczonym w „Revue des deux Mondes“ p. t. „Un Vieux.“ Szkic to ściśle już w ramy obserwacyi ujęty, ostatnich chwil dymisyonowanego okrętowego *contre-maitre*'a.

Jak widzimy, autor okazuje osobliwe przywiązanie do rzeczy morskich. I nie bez racyi. Udają mu się one bowiem niezaprzeczenie lepiéj od innych. Jako *marinier* nie ma on, bez kwestyi, równego sobie nietylko między spółczesnymi, ale i między dawniejszymi pisarzami francuskimi.

Żadnéj fabuły tym razem. Protokół psychologicznych i fizyologicznych zjawisk, towarzyszących stopniowemu rozkładowi i powrotowi do nicości tego, co był niegdyś dzielnym i pięknym marynarzem. Bez wyłączenia najtrywialniejszych szczegółów:

„Rany, które miał na nogach rozszerzyły się bardzo; jednak chcąc zawsze zostać czystym, nie przestawał zajmować się bardzo starannie praniem swoich szmatów. Tylko bywało, iż mylił się, płukał się kilka razy w téj saméj wodzie, nie wiedział dobrze co poczynał i przez zdziecinnienie robił rzeczy bardzo brudne....“

Ani najbrutalniejszych także:

„Z początku powrót wiosny poruszał nim cokolwiek... jednego wieczora. około 9-téj, zdarzyło mu się przywdziać napowrót suknie z gorączkowym pośpiechem i ruszyć ku miastu szybkim krokiem, z głową w dół spuszczoną. jak ten. który wybrał się w niemiłe do wyznania odwiedziny. I tam, przy końcu ulicy St. Yves, odnalazł on piękne towarzyszki, które nie były żółte, które nie nosiły parasoli, ani spódnic krepowych z haftowanemi na nich chimerami, ale które powtarzały rzeczy sprośne z obrzydliwą chrypką w głosie....“

Jednego rana doglądająca go służąca wszedłszy do izby, wykrzyknęła:

— „Jezu! Mój stary zdechł!“

I protokół zostaje zamkniętym. I zostawiałby nam ten protokół dziwnie niemiły obrzask czegoś dziwnie gorzkiego a cuchnącego, gdyby nie odrobina jeszcze poezyi, przedzierającéj się tu i owdzie w zwrotach do przeszłości uroczéj i promiennéj biednego starca.

„Przypominał on sobie że był kiedyś młodym.... jak po obudzeniu się odnajdujemy nagle, dziwiąc się mu, obraz widziany we śnie....

„Przypominał on sobie, że był pięknym, zwinnym i silnym.... Ach! tę siłę kto mu odda teraz?...

„Przypominał on sobie, że miał kochanki ... Był czas, w którym czekano nań, proszono go i pożądano na klęczkach, i omdlewano pod pocałunkami jego ust: teraz szkorbut i morskie wilgocie przejadły te usta ...

„Przypominał on sobie, że miał żonę... Trwało to akurat przez czas jednéj wiosny... Pewnego dnia rozkaz odjazdu na pokładzie Pomony: trzy lata włóczęgi po oceanie Spokojnym!.. Za powrotem znalazł ją żyjącą ze starym bogatym mieszczuchem i noszącą suknie z falbanami....“

Ale doprawdy nie dość tych zwrotów dla okupienia tego, co sama treść powieści ma w sobie odrażającego — odrażającego wstrętnemi szczegółami lub po prostu nudą. Być może, iż protokół jest dokładnym. Cóż ztąd? Na dziesięciu czytelników, dziewięciu co najmniéj było by w stanie osiągnąć większą jeszcze dokładność informacyi, przyglądając się osobiście badanym w ten sposób szczegółom, asystując osobiście przy obwiązywaniu gnijących ran i praniu cuchnących szmat. Kogo znęci taka ciekawość?

Wolno obiecywać sobie, że nowy ten kierunek nie jest ostatecznym wyrazem tak wiele z pierwotnéj swéj oryentacyi obiecującego talentu. Jutro lub pojutrze autor „Małżeństwa Piotra Loti“ zrozumie napowrót, że są przedmioty, których przyrodzonéj trywialności, obrzydliwości, albo obojętności nawet „przefiltrowanie przez

temperament artystyczny," podług formuły Zoli, przekształcić nie jest w stanie i że co ma taki jak on artysta najlepszego do zrobienia z temi przedmiotami, jest to zostawić je na boku; co zaś ma wogóle najlepszego do zrobienia każdy, prawdziwie utalentowany artysta jest to pozostać wiernym natchnieniom tego talentu i nie poddawać się pod niczyją formułę. Nie jego jednego już, pomiędzy spółczesnymi artystami, tego rodzaju niewczesna uległość zaprowadziła na manowce, jak to zaraz zobaczymy.

Nie powiedziałem nic dotąd o języku młodego pisarza. Jakoż nie znaglila mnie do pośpieszenia się z tém, co mam do powiedzenia o nim, żadna jego charakterystyczna osobliwość. Odznacza się on chyba swoją doskonałą odpowiedniością do przedmiotu: lekki, zręczny, ślizgający się po powierzchniach raczéj, niż sięgający do głębi, i dostatecznie obrazowy, choć bez wielkiéj oryginalności i bez wielkiéj siły. Nie nadto poprawny także, choć dużo znowu poprawniejszy w ostatnich utworach niż w pierwszych, a wolny zawsze od gminnych lub dziwacznych wyrażeń i trywialnych lub ekscentrycznych zwrotów właściwych naturalistom. Nie wszystkim jego rówieśnikom uszło tak bezkarnie, w tym względzie, obcowanie z braćmi Goncourt. Jak pomysłowość jednak tak i styl nie należą stanowczo do głównych przymiotów tego talentu. Jest on tém czém jest, i będzie, według wszelkiego prawdopodobieństwa, tém czém być obiecuje, przez dwie przedewszystkiém rzeczy: przez obrazowość i przez poezyą.

2. Richepin.

„Panu, Panu Jakóbowi Richepin, liczącemu czternaście miesięcy życia, bez pięciu dni.

„Mój drogi przyjacielu, jeżeli zrobisz kiedyś twojemu ojcu zaszczyt przeczytania jego dzieł, zdarzyć się może, iż nie zrozumiesz tego oto dzieła, tak jak ono zrozumianém być powinno, i powiesz: Tam do licha twórca *Pani Andre* i mój własny, miał dziwne pojęcia o obowiązkach rodziców względem dzieci. Znajdziesz tu, w saméj rzeczy matkę, która opuszcza swoję córkę, dla poświęcenia się człowiekowi, którego kocha, która czyni to prawie bez wahania, całkiem zaś bez wyrzutu sumienia, a którą ostatecznie przedstawiam jako istotę szlachetną, wzniosłą i sympatyczną. Anomalia taka wyda ci się prawdopodobnie rażącą i wiele już dokaże twoje uszanowanie synowskie, jeżeli, nie chcąc nazwać mnie potwornym, uśmiechniesz się nazywając mnie fantastą.

„Czy powiesz jedno czy drugie, znajdziesz się zawsze w błędzie; wytłómaczę ci zaraz dlaczego. Zapewne, pani André jest istotą wyjątkową; ale ani chimeryczną ani potworną... Trafi ci się widzieć na wsi kury, którym dano do wysiedzenia jaja kacze. Myślę, iż nie ma wielkiéj liczby zwierząt, w których instynkt macierzyński byłby więcéj rozwiniętym jak u kury... Owóż kura, która wysiedziała kurczątka i kaczęta, kiedy zobaczy te ostatnie puszczające się na wodę, porzuca bez namysłu ukochane swoje dzieci, a zajmuje się wyłącznie obcemi wychowankami, o których rozumie, że są w niebezpieczeństwie. Ta kura to coś w rodzaju pani André... Ale na co dysputować dłużéj, skoro zgadzam się najzupełniéj na to, że pani André jest wyjątkiem, a na to także, iż lepiéj jest, w sztuce, i prościéj i może nawet piękniéj, brać się do prawdy powszedniéj i ożywiać ją życiem intensywném. Pożyteczniéj w każdym razie, bo jest się prędzéj i łatwiéj zrozumianym. Gdyby Szekspir był napisał jednego *Hamleta*, oceniać go potrafiłoby zaledwie kilku ludzi. Owóż, chcąc stworzyć wielkie dzieła, trzeba stać się przystępnym dla wszystkich. Geniusz polega prawdopodobnie na wyrażaniu w sposób oryginalny rzeczy powszednich, i na ujmowaniu bieżącego potoku życia w formę stałą... Zapewne téż dzisiaj nie potrafiłbym wyobrazić sobie téj matki opuszczającéj swoję córkę. Wiem teraz i odczułem rzeczy, o których nie wiedziałem niedawno. Wiem... jakie ogromne miejsce zabiera w życiu rodziców to drobne nic, którém ty jesteś... Dziś matka przedstawia mi się koniecznie z przywiązaniem i poświęceniem całéj swojéj osoby dla swego małego, bez żadnéj możliwéj racyi poświęcania się dla kogokolwiek innego i bez żadnéj innéj możliwéj wielkości po za rolą prostego zwierzęcego macierzyństwa. I dlatego przyszła mi myśl „*Maryi-des-Anges*“... którą zobaczysz w *La Glu*... Próżno bo wysilamy się wszyscy, ilu nas jest, mędrkowie dumni z naszéj mądrości, poszukiwacze wzniosłych subtelności, alchemicy heroicznéj kwintesencyi; próżno wyczerpujemy naszą wyobraźnię dla stworzenia czegoś wielkiego; niemasz nic większego, heroiczniejszego i podniośleszego nad krzyk natury, nawet zwierzęcéj, i wszystkie *Porcye* całego świata, wszystkie Kornelie, wszyscy wymawiacze tragicznego „*qu'il mourût*“, wszystko to całe kwaśne piwko obok biednéj kobiety w czepku, która ocala swoje dziecko od śmierci i całuje go, płacząc, i mówi:

— *Mon pau' p'tit gas*! *mon pau' p'tit gas*!... Ale aby dojść do tego pojęcia, trzeba mieć samemu małego *gas*, i dziękuję ci, mój synku, żeś mi się stał profesorem téj nowéj estetyki. Tamta estetyka przy téj, to jakby nasze podrabiane alkohole przy tém mleku, które ciągniesz tak wesoło z nadstawionéj ci piersi... Paryż, 15 maja 1881 r.“

Powtórzyłem w jéj głównych ustępach przedmowę tę, którą autor *Pani André* poprzedził drugie wydanie pierwszéj swojéj powieści, dla tego, że zdało mi się, iż wyręcza mnie ona—i to z wielką dla czytelnika korzyścią—w wyrażeniu pewnéj liczby rzeczy, które bym wyrazić sam potrzebował, a nie potrafiłbym lepiéj. Więc najpierw w scharakteryzowaniu téj ewolucyi, którą w ślad za autorem „Małżeństwa Piotra Loti" dokonał młody talent drugiego tego wyrabiającego się pisarza, w drodze od pierwszego do drugiego swojego utworu, i tych pojęć które nie jemu jednemu dostarczyły nici przewodniéj do podobnéj wędrówki, i tego kontrastu wreszcie estetycznych ideałów, który odnajduje się, w ramach tutejszego powieściopisarstwa, obok każdéj nowéj postaci literackiéj i każdéj niemal literackiéj kwestyi.

Autor *Pani André* więcéj jest znanym nawet paryskiemu czytającemu ogółowi jako poeta. „*La chanson des Gueux*" odsłoniła w nim kunsztownego choć nieco ekscentrycznego rzeźbiarza rymów i oryginalnie natchnionego, choć do trywialności skłonnego liryka. Z powodu ogłoszonych przed dwoma laty „Bluźnierstw" (*Les Blasphèmes*) podniosła prasa ogromną wrzawę i kolosalną reklamę. Autor cieszył się ówcześnie łaskami wielkiéj artystki dramatycznéj, któréj marzeniem stało się już od lat wielu mieć na żołdzie swoich łask wielkiego poetę. Podjęta pierwéj próba z zapomnianym po 24-ch godzinach *Rollinat'em* nie powiodła się. Reklama nie potrafiła dopiąć celu. Tym razem udało jéj się lepiéj. „*Les Blasphèmes*" stanęły w Figarowych ocenach obok „Boskiéj komedyi." Przedrukowano je na welinie, na papierze holenderskim i na pergaminie, z komentarzami i z ilustracyami, w elzewirowém wydaniu in 32 i w pomnikowém wydaniu in folio. Nie wystarczyło to jeszcze rozmiłowanym w chwale *swojego poety* wymaganiom wielkiéj artystki. Pożądała ona dla niego hołdów bezpośrednio odbieranych od rozentuzyazmowanego tłumu, oklasków rzucanych w twarz, kwiatów rzucanych pod nogi i autor „*Nana Sahib'a*" ukazał się obok niéj na deskach teatralnych, w tytułowéj roli swojego dramatu.

Na nieszczęście reklama, nawet tak potężna jak ta, którą rozporządza Figaro, ma swój czas. Z całéj téj apoteozy nie pozostało dziś już nic. I nic by nie pozostawało, albo mało co z wielkiego poety—gdyby nie proza *Pani André*.

Odkąd, za przewodem swojéj Beatryczy, zapisał się Richepin do cechu ekscentryków, usiłował on niejednokrotnie usprawiedliwić wyskoki swojéj wyobraźni i swojego postępowania przez odwołanie się do nie dających się jakoby zażegnać wpływów całkiem wyjątkowego temperamentu i całkiem wyjątkowemi przygodami doświad-

czonego zawodu. Dowiedzieliśmy się tym sposobem o jakowychś Turańskich (?) przodkach, przekazujących mu w spadku „tors Herkulesa na nogach kawalerzysty“ i „krew z roztopionego metalu;“ o pobycie między wędrownymi skoczkami na linie, i o tym podobnych osobliwościach. Wszystko to, sprowadzone do krytycznie ujętych danych, daje się streścić jak następuje. Syn chłopa Owerniackiego, silnie zbudowany, jak jego ojciec i większa część jego plemienników, ale żywą obdarzony wyobraźnią i bystrym umysłem, młody Richepin odznaczył się wyjątkowém tém uzdolnieniem na ławie szkolnéj i dostał się, dzięki uzyskanym stypendyom, do liceum, a z liceum do Szkoły Normalnéj. Wyjątkowe uzdolnienie zrobiło z niego człowieka myślącego i poetę. Szkoła Normalna zrobiła zaś z niego artystę—i artysta ten napisał *Panią André.*'

Ale niepotrafiła taż szkoła ujarzmić gwałtownych i nieco brutalnych instynktów nieprzetrawionéj natury chłopskiéj, i instynkta te, w zetknięciu z światem Paryskim, roznamiętniły się i wzięły górę nad wychowaniem. Rzuciwszy się oślep w szał rozwiązłego życia i wir zapasów literackich, stracił młody pisarz równowagę trzeźwości, miarę i oryentacyą. Paryż zrobił z niego ekscentryka, który napisał wierszem „Bluźnierstwa“ i zapamiętałego naturalistę, który napisał prozą „La Glu.“

„Pani André“ jest niezaprzeczenie wyjątkiem, anomalią; ale wyjątkiem prawdopodobnym, anomalią możliwą; boć i wyjątki i anomalie trafiają się w naturze. Najlepszym w tym względzie dowodem to, że nie budzi ona wstrętu. Niemasz, jak sądzę, kobiety cokolwiek uczuciowéj, któraby nie poznała w niéj siostry. Autor wyidealizował oczywiście typ przez siebie obmyślany; postanowiwszy, iż kobieta ta poświęci wybranemu przez jéj serce cudzoziemcowi wszystko, co jéj własnością być może, nie cofnął się on przed tą nawet granicą, którą zakreślić by mogło takiemu poświęceniu uczucie macierzyńskie. Ale zrobiwszy tyle dla ideału, stał się on absolutnym realistą w przeprowadzeniu swojego pomysłu. „*Pani André*“ robi naturalnie wszystko to, co robi. I to nas mimowolnie zjednywa dla niéj. Zbliżona do młodszego od siebie studenta macierzyńskiém z początku przywiązaniem, broni się ona długo przed pokusą innego uczucia. Zwalcza nawet zwycięsko tę pokusę i ulega ostatecznie czemu innemu. Jednego dnia, namiętną dotąd miłość okazujący i upierający się przy odrzuconéj przez nią myśli małżeńskiego z ukochaną istotą związku, Lucyan Ferdolle objawia nagłą oziębłość i powściągliwość. Pani André przenika niebawem przyczynę téj zmiany: zrujnowany przez hołdującego awanturniczym spekulacyom opiekuna, Lucyan nie ma już nic do ofiarowania jéj, prócz młodości

swojéj i nędzy. I wtedy litość, bojaźń, chęć ocalenia biednego przyjaciela od materyalnego i moralnego upadku, bierze górę w niéj nad wszystkiemi innemi względami. Aby zwyciężyć jego własne teraźniejsze skrupuły, staje się ona kokietką; aby oszczędzić jego szlachetności wstydliwego kompromisu, oddaje mu się ona bez żadnego warunku:

„— Kocham cię. Chcę być twoją. Nie odpowiadaj mi. Weź mnie. Jestem twoją kochanką.“

Odtąd staje się on wszystkiém dla niéj i oddalenie córki jest tylko narzuconém jéj przez przyjęte stanowisko następstwem. Rozstając się z tą jedynaczką, wyrzeka się ona także mężowskiego majątku, posiadanego dotąd prawem dożywocia. Przyjmuje ubóstwo, tak jak przyjęła niesławę. I żyjąc dla kochanka, pracując dla niego i za niego, przepisując i przerabiając niezdarne płody jego pióra, jest szczęśliwą — dopóki zgwałcony normalny porządek rzeczy nie upomina się o swoje prawa. W dzień oczekiwanego oddawna a przez nią przygotowanego tryumfu, kiedy zasłona spadła, wśród grzmotu oklasków, nad ostatnim aktem sztuki, która jest *jéj* raczéj niż *jego* dziełem, ale która jego imię tylko otacza aureolą sławy, podczas gdy drżąca od radośnéj niecierpliwości, czeka go ona z rozwartemi ramionami, Lucyan Ferdolle oddala się w objęciach aktorki, u któréj spędza noc. Niebawem zaś małżeństwo z majętną córką prowincyonalnego przemysłowca rozdziela go na zawsze od niéj. Opuszczona, narażona na niedostatek, pokryta z dnia na dzień zmarszczkami i siwemi włosami, kona ona przez dwa lata w samotności ubogiego poddasza.

Wszystko to jest logiczne, konsekwentne, naturalne, a jak umiejętnie obrobione!

Aliści ta logika, konsekwentność i naturalność zdają się autorowi fałszywemi, pod wpływem odurzających narkotyków dobywających się ze stołecznego alembiku. I oto odkrywa on *nową estetykę*. I oto pod pretekstem większego zbliżenia do natury przedstawia nam on w „*La glu*“, typ paryskiéj nierządnicy, która zawitawszy w marcu (*sic*) do jednéj z kąpielowych stacyi nad brzegami Atlantyku, bierze przed się zawracać głowę całéj męskiéj miejscowéj ludności, zacząwszy od młodego bosonogiego rybaka, przejmującego ją zrazu wstrętem, ale wywołującego w niéj późniéj gwałtowną namiętność, aż do napotkanego przypadkiem męża swego, starego doktora z marynarki wojennéj. I wszyscy ulegają jéj czarowi, choć „nie mogło być wątpliwości co do jéj wdzięków, wobec téj wyblakłéj *facies*, przedziurawionéj dwoma oczami bez blasku, jak gdyby zgasłemi, wobec tego czoła wypukłego, źle pokrytego, ufarbowaną

na żółto peruką... i ciało samo nie okupiało bynajmniéj kształtnością lub bogactwem swych form złego wrażenia sprawianego tak niewdzięczną maską..." Doktór marynarki za pierwszém zetknięciem się z porzuconą od lat dziesięciu małżonką, pada natychmiast w jéj objęcia, choć wié, z kim ma do czynienia. Młody rybak zaś traci zupełnie głowę i zmysły, mózg i serce; opuszcza swoję narzeczoną, wyrzeka się swojéj matki i zamierza się na biedną staruszkę zbrodniczą ręką; zapomina o swoich sieciach, o całym swoim dobytku i o całym bożym świecie; rzuca się jak wściekły na starego hr. des Ribiers, w którym upatruje rywala: goni za zniewoloną sobie syreną do miasta, a gdy ta ucieka przed nim, wskakuje na kozioł jéj powozu, wyrywa woźnicy lejce, rozpędza konie jak szalony, i uwiózłszy ją w ten sposób, dobywa się z kozła do wnętrza powozu i staje się na powrót panem jéj kaprysów.

Oczom swoim nie wierzy się, czytając naiwny wyraz *naturalistycznych* tendencyi naprzeciw takich fantazyi. Owóż niema czego innego w „*La Glu.*" W „*Madame André*" jest, obok głównéj postaci cały szereg drugorzędnych typów, z rzadkim scharakteryzowanych artyzmem. Taki „*Nargaud*", typ literackiego *bohême*'a, posiadającego za cały talent kolosalną genialną blagę i posługujący się nią dla usprawiedliwienia swojéj bezsilnéj bezpłodności:

„Moją rzeczą zaczynać nie zaś kończyć. Wynajduję gwiazdy całemi garściami, ale nudzi mnie przerabiać je na klejnoty. Ukradłem ogień, jak Prometeusz, ale nie umiem podłożyć go pod rądel z rosołem.... Poetą można być tylko w dwa sposoby: być fakirem, albo cesarzem rzymskim. Jeżeli jesteś Neronem albo Heliogabalem, *żyjesz poezyą*, masz epopeje potęgi, ody rozkoszy, dramaty kaprysów, jesteś liryzmem w kwiatach. Jeżeli nie, bądź fakirem i śnij o tém wszystkiém czego nie masz.... Ja jestem fakirem, patrzę na koniec mojego nosa i znajduję tam wszechpotęgę. Dosyć mi spojrzéć zézem, aby zostać panem świata. Jaka książka równa się lub zrównać się może moim snom? Żyłem na księżycu. Spałem z najpiękniejszemi gwiazdami. Wypiłem całą szklankę tego oślego mleka, które nazywacie drogą mleczną. Pieściłem się z włosami komet a Venus nazwała mnie swoim gołąbkiem. Mógłbym zostać szatanem. Byłbym Bogiem, gdyby Bóg istniał. Czujesz li w sobie geniusz? Rób jak ja. Marz! oto piękność absolutna... Co mi mówisz o sławie? Byłżebyś filistynem jak Shakespeare, albo Napoleon? A cóż mnie obchodzi sąd ludzi o mnie? Słońce kpi sobie, jak myślę, z tego, co rozumiemy o nim! Jakto, więc dla *drugich* to, to jest dla gromady kretynów, miałbyś pracować! A cóż my mamy wspólnego z tymi ludźmi? Nie należymy do téj saméj rasy. Jeżeli powiem im, że dwa a dwa to pięć,

nie rozumieją mnie. Nie wiedzą nawet, że nasze łzy—to dyamenty, a nasze wybuchy śmiechu—to pioruny. Mojżesz ze swojemi rogami robi im wrażenie głowy wołowéj. Otwórz im serce, wyobrażą sobie, że to żołądek.... Pasztet ze słowiczych języków tym bydlętom! Sałatę z pluskiew raczéj. To nie są ludzie. Czy przypadkiem brałbyś za usta mówiące tę dziurę od mięsa, którą widzisz pod ich nosem i czy nie wiesz, że mają oni mózg tam, gdzie kura jaja? Ludzie—to my. Jeżeli masz geniusz, nie tym to trutniom pokazywać go warto; ja zaś nie potrzebuję, abyś mi go pokazywał dla zobaczenia go. Na cóż tedy dzieła?....

I tak dalej przez całe kartki.

A Fresson, młody doktór, osiadły na prowincyi i dążący do wyrobienia sobie klienteli za pomocą szczęśliwego małżeństwa... „Och! partya przedziwna! Najokazalsza fasada w całém mieście... Wiesz, ten dom na placu, z bramą wjazdową i rzeźbami na balkonie...“ I cały ugrupowany naokoło niego świat prowincyonalny: pan mer z *Landry-la-ville*, szlachcic wzbogacony na uprawie buraków i na cukrowniach, mówiący wyłącznie o przemyśle i dający do zrozumienia, iż przemysł uważać się powinien za wielce zaszczyconego przyjętym w nim przez tak dobrego szlachcica udziałem. I wysoki, suchy jegomość z głębokiém spojrzeniem, najtęższa głowa w okolicy, który był z panem Renan w seminaryum i zna go dobrze: „chłopiec nie bez zdolności, ten Renan!“ I p. hrabia de Pressayre, sławny archeolog, który odkrył obóz Cezara pod *Landry-la-ville*.

I świat paryskich dziennikarzy znowu z Parignat'em na czele, królem fałszywych poczciwców, o małych małpich oczkach zaczajonych pod okularami i wązkich ustach bez warg, który pisze zjadliwy artykuł przeciwko Lucyanowi Ferdolle, ale daje go do podpisania koledze Denuizet, bijącemu się dobrze na szpady.

I sam Lucyan Ferdolle, typ wybornie przeprowadzony i utrzymany od początku do końca, charakteru sympatycznego ale miękkiego, najodpowiedniéj wybranego właśnie dla przeznaczonéj mu roli; Lucyan Ferdolle znajdujący jeszcze łzy, łzy prawdziwe i serdeczne, gdy go dochodzi wiadomość o śmierci téj, którą niegodnie porzucił, ale uśmiechający się w kilka minut później do żony, która mu obiecuje niespodziankę na śniadanie, krem z liściami brzoskwiń, jego przysmak ulubiony.

„— Skosztuj tylko, zobaczysz, jak ci smakować będzie.

„I Lucyan Ferdolle skosztował i zobaczył, że mu smakuje.“

Realizm to jużci! Ale realizm prawdziwy.

W „La Glu“ obok głównéj, karykaturalnie ekscentrycznéj postaci widać już tylko same karykatury. Boć karykaturalną i absolutnie

wyjątkową, na przekór autorowi, jest sama postać *Maryi des-Anges*, téj matki, która trawi całe noce na uganianiu się za synalkiem *grzeszącym* w objęciach paryskiéj syreny, obmyśla zasadzki dla złapania go na gorącym uczynku, rzuca kamienie w okna ugaszczającéj go sypialni i ucieka się ostatecznie do *zbrodni*, do morderstwa, dla ocalenia go od *grzechu*.

W „*Madame André*,“ język autora, aczkolwiek nie odznaczający się żadnemi osobliwemi zaletami świetności, obrazowości czy harmonii, celuje przecież jednym niepoślednim przymiotem: naturalnością i prostotą. W „La Glu“ i ten przymiot znikł bez śladu. Pod pretekstem naturalizmu i naturalistycznego obrazowania, ucieka się autor do szwargotu zapożyczonego jakoby od bretońskich marynarzy i używa tego szwargotu nietylko kiedy *oni* mówią, ale wtedy nawet kiedy *on sam mówi*. Mamy tedy całe kartki napisane w języku, który nie posiada już nic wspólnego nie tylko z francuzczyzną akademii ale z jakąkolwiek francuzczyzną.

Nie widziałbym potrzeby zaszczycania *nowéj* téj *estetyki* zbędną zupełnie w jéj przedmiocie dyskusyą, gdyby nie stanowiła ona wymownego przykładu tego, co z najwięcéj obiecującemi talentami robią tutaj mętne pojęcia i błędne teorye rozpanoszone na stołecznym bruku. Autor „Pani André“ jest niezaprzeczenie wielką literacką siłą straconą dla literatury i straconą, według wszelkiego prawdopodobieństwa, bezpowrotnie. Nie zostawia on niestety tych samych nadziei, co autor „Małżeństwa Piotra Loti.“ Jest recydywistą w nowéj swéj manierze. I recydywistą niepoprawnym. „Miarka, córka niedźwiedzicy,“ świadczy o tém zbyt przekonywująco. Historya to córki wędrownych cyganów, na pierwszych dwóch kartkach któréj to historyi spotkać się można z następującym szeregiem wyrazów, należących do niewiadomo jakiego słownika: *tournasse*, *buriots*, *s'égailler*, *ramoyer*, *pames*, *vrombissantes*, *braisillant*, *fumaille*, *croppetons*, „*haleine menue*, „*rememorant à la muette*... Wszystko w opisie ubogiéj wioski francuskiéj na pograniczu belgijskiem.

Nie pozostaje jak tylko ruszyć ramionami i pójść daléj.

Kazimierz Waliszewski.





SPRAWA LUBOMIRSKIEGO

w roku 1664.

CZĘŚĆ DRUGA.

PODCZAS SEJMU.

I.

Pierwsze dni po otwarciu sejmu.

Na kilka dni przed otwarciem sejmu poczęli się zjeżdżać posłowie i senatorowie. Przybyło sześciu biskupów i trzydziestu kilku świeckich dygnitarzy. Posłów było natomiast nie wielu: więcéj niż trzydziestu brakło z samych sejmików, które zostały zerwane (1). Otwarcie sejmu nastąpiło 26-go listopada we środę. Uroczystość rozpoczęła się wotywą na cześć św. Ducha. Mszę celebrował biskup kujawski Czartoryski. Księdzu Cieciszewskiemu, owemu wymownemu Jezuicie, co to do słuchaczów zwykł był przemawiać, jak do prostaczków, obrazowym, rubasznym sposobem (temu samemu, co i sejm, sławny sprawą Radziejowskiego, zainaugurował swojém kazaniem) wypadło znowu witać zgromadzone stany (2). — Po mszy

(1) Dyar. więk. k. 87. — Mieliśmy pod ręką dwa dyaryusze tego sejmu; jeden mniejszy, znajdujący się w rękopisie bibl. Ossol. Nr. 189, w tomie 3-m konotat Marcina Golińskiego, rajcy kazimierskiego i drugi znacznie większy w ręk. tejże bibl. Nr. 228, k. 87—102. Dla skrócenia będziemy pierwszy nazywać Dyaruszem Golińskiego, drugi Dyaryuszem większym.

(2) Dyar. więk. k. 87. — Nie możemy się powstrzymać, aby z tego kazania nie przytoczyć choć jednego ustępu charakterystycznego, wedle streszczenia naocznego świadka (też podobno księdza), autora dyaryusza większego:

„Począł ksiądz Cieciszewski od foremnéj alegoryi, że się sejm urodził, ni twoje dziecię, wcześnie i dobrze, bo niedaleko Boże Narodzenie. Mamką św Katarzyna i piastunką, on księdzem, który go chrzcił. Dał mu naprzód imię św. Jana Ewangelisty, ale

szlachta udała się do izby poselskiéj celem obioru marszałka sejmowego. Otrzymał tę godność Jan Trach Gniński, podkomorzy pomorski, regent kancelaryi królewskiéj (1). Już-to drugi raz powierzano kierownictwo sejmu Gnińskiemu. Podkomorzy był człowiekiem wielkiego talentu i należał do najzdolniejszych i najzręczniejszych urzędników koronnych. Zasłużył się zwłaszcza jako członek komisyi do układów pokojowych w Oliwie. Ambitny i znaczenia chciwy, potrzebował on łaski i względów króla, który rozporządzał urzędami. Upatrzył sobie Gniński szczególnie podkanclerstwo koronne: widoki nie były dalekie, bo Leszczyński chylił się już do grobu. Stąd też wiernie i gorliwie służył interesom dworu; wybór jego na marszałka był więc pierwszą dla królowéj wygraną, bo nieraz jedynie od zręczności przewodniczącego zależał prawidłowy pochód i całość obrad sejmowych (2). — Następnego dnia „witał P. Marszałek poselski z posłami króla IMci imieniem Izby poselskiéj mową piękną i tak słodko płynącą że się wszyscy wydziwować i wychwalić nie mogli.“ Odpowiedział mu przychylnie kanclerz koronny Prażmowski (3).—28-go wystąpił kanclerz z propozycyą sejmową, nad którą rozpoczęły się następnie *vota* senatorów. Miały one trwać do 5-go grudnia, poczém król zamierzał bezzwłocznie przystąpić do sądów.

Kilka dni zaledwie pozostawało zatém jeszcze dla tych, którzy mimo bliskości terminu nie przestawali myśléć o uchyleniu owéj głośnéj, całą rzeczpospolitę obchodzącéj sprawy zapozwanego magnata, z pod obrad sądu sejmowego.

Lubomirski, jak już widzieliśmy, po niefortunném zakończeniu sejmików upadł na duchu i począł tracić ufność w swoję potęgę i wpływy między szlachtą, która mu tak długo za podatne służyła narzędzie. Pozostawały mu jeszcze dwie drogi: przebłagać obrażone królestwo, albo przez zerwanie wczesne sejmu nie dopuścić do inauguracyi sądów. Marszałek obu środków postanowił próbować. Żywił

---

to się nie zdało, bo ten pisał *Apocalipsim* i straszył sądami pańskimi. Chciał go potém mianować św. Janem Chrzcicielem i nie od rzeczy, bo na sejmie interesów żołnierskich dość będzie, a św. Jan miał osobliwe do żołnierzów kazanie: *neminem concutiatis, stipendiis vestris estote contenti, nemini calumniam faciatis;* ale i to się imię nie zdało.... Dał mu na ostatek imię św. Krzysztofa, co szeroko wywodził, jako na języku i sercu powinien nosić Chrystusa Pana. Wywodził i kaletę św. Krzysztofa, co ma w niéj za ludzie: zapozwanych na sejm etc. etc., więc i to, co rzekł zbradzał często i gruntował....

„A wo to kazanie było — dodaje wreszcie ów pobożny słuchacz — *sicut, Aegyptus homerica*, miało swoją naganę i swoją pochwałę.“

(1) Dyar. Gol. str. 1588. Dyar. więk. ib. u. s.

(2) T. Luk. XII, k. 176 — 7. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 28 Novem. 1664.

(3) Dyar. Gol. str. 1588.

on nadzieję, że mu się uda nawet przeszkodzić otwarciu sejmu w listopadzie; wobec faktu, że siedm sejmików zostało zerwanych, a między nimi trzy ważne: wielkopolski, województwa krakowskiego i sieradzkiego, liczył na to, że izba poselska zażąda odroczenia obrad aż do czasu, póki te prowincye nowych nie przeprowadzą wyborów (1). Rachuba ta chybiła. Sejm został otwarty, marszałek mianowany, senat rozpoczął swoje wota. Nie dawał jednak Lubomirski za wygranę: nie przestawał myśléć o zerwaniu sejmu. Ale, że termin sądów był za bliski, aby można rzecz tę dokonać przed ich rozpoczęciem, więc tém usilniéj wypadło mu chwycić się środka drugiego, przykrego, co prawda, ale koniecznego: drogą łaski szukać wyjścia z niebezpiecznéj matni. Obsyła więc marszałek listami wszystkich senatorów, pisze do prymasa, Krzysztofa Paca, przypomina się znienawidzonemu Prażmowskiemu, Trzebickiemu i synowi swemu kładzie na serce swoję sprawę (2). „Cały sejm, albo przynajmniéj senat chciałby poruszyć, aby za nim prośby zanosił do króla“ — powiada de Lumbres z widoczną ironią (3). Wiele się też spodziewał marszałek, mimo ostatnich zawodów, po poparciu szlachty na sejmie zebranéj. Deputaci z zerwanego sejmiku proszowskiego, mający się starać o ponowne jego zwołanie, dostali wyraźne w instrukcyi zlecenie, prosić prymasa o instancyą za marszałkiem (4). Teraz wystosował on sam z takąż prośbą osobny jeszcze list do izby poselskiéj.

Od otwarcia sejmu panował też gorączkowy ruch u dworu. Królowa nie miała chwili wytchnienia (5). Ciągłe audyencye przyjaciół dworu i pośredników od strony przeciwnéj, chadzki częste z tajnymi agentami, konferencye z posłem francuskim zapełniały cały

---

(1) T. Luk. XII, k. 177. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 28 Novem. 1664.

(2) T. Luk. XII, k. 182. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 5 Décem. 1664.

(3) T. Luk XII, k. 177*a*. De Lumbres à Louis XIV. Varsovie, 28 Novem. 1664. Jeden z takich listów, mianowicie zwrócony do Prażmowskiego, mamy pod ręką w dwóch kopiach (ręk. bibl. Ossol. Nr. 189, str. 1592 i ręk. 230, k. 35). Dan z Janowca, d. 30 Novembris 1664: „Dawałem dowody przyjaźni méj i uprzejmego ku IMci Panu affektu — pisze w nim Lubomirski—*enitor* w tém *perseverare* IMci Panu; jako tedy cokolwiek zachodziło między nami przedtém, daliśmy to wspólnéj Ojczyznie, tak o to i teraz IMPana proszę, jako biskup chciéj z serca złożyć wszystko, nie dopuszczaj *concuti* takimi dyfferencyami Ojczyzny, tudzież chciéj kooperować i jako wielki biskup i senator do tego wleść rzeczy, abym jako urzędnik i kolega IMPana *redintegratus* w łasce I. Kr. Mci P. M. Młgo został, a na tak niesłuszne nie przychodził obroty.“

(4) Por. pismo p. t. „Instrukcya IMci Panu Janowi Tomisławskiemu, Podstarościemu grodz. krak., posłowi Wdztwa krak. do IO. Xcia Arcybiskupa Gnieźnieńskiego, Prymasa etc..... ze sejmiku proszowickiego wystawiona.“ — Kopia w ręk. bibl. Ossol. Nr. 237, k. 267.

(5) T. Luk. XL, k. 20: List Maryi Lud. do Kondeusza. Vars. 5 Décem. 1664

czas wolny. De Lumbres, najbezwzględniejszy antagonista Lubomirskiego, śledził z podwójną uwagą wszystkie kroki królowéj i czuwał nieustannie, aby nie dopuścić do modyfikacyi surowego procederu, jakiemu zamierzono poddać znienawidzonego przeciwnika. I trzeba było w istocie mieć się Francuzom na ostrożności. Biskup krakowski bowiem przodował, jak zawsze tak i teraz, w pracy około dokonania ugody. Królowa nie mogła się opędzić od jego próśb i nalegań, jak niemniéj prymas i biskup kujawski, których, jako najznamienitszych, chciał Trzebicki skłonić do wstawienia się za Lubomirskim na publicznéj sesyi senatu. Budziły się w kołach dworskich obawy, czy rzeczywiście arcybiskup Leszczyński albo hetman Potocki, obaj starcy i ludzie miękkiego charakteru, nie ulegną tym zabiegom; byłoby to bardzo nie na rękę skrajnym przeciwnikom pozwanego, tém więcéj, że poważnych głosów pierwszych dygnitarzów Korony senat nie mógłby pominąć milczeniem i przejść nad nimi do porządku dziennego (1). Nie ziściło się jednak ani jedno, ani drugie. Prymas nie przyjął na siebie roli publicznego pośrednika (2). Inni senatorowie nie myśleli też wcale rąk maczać w téj, jak byli przekonani, nieczystéj sprawie. List Lubomirskiego do Prażmowskiego nic nie wskórał: złośliwy kanclerz nie tylko że zmiękczyć się nie dał czułemi wspomnieniami o dawnéj przyjaźni, ale nie umiał sobie nawet odmówić przyjemności, aby niepotrzebnie gniew w nieprzyjacielu podsycić odpowiedzią, pełną kłójących przytyków, a nawet dotliwych obelg (3). A jeśli pismo to, które tak dobitnie maluje cha-

---

(1) T. Luk. XII, k. 177*a*. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 28 Novem. 1664.

(2) T. Luk. ibid. u. s.

(3) „Kopia responsu do IMPana Marszałka W. kor. od IWX. Prażmowskiego, kanclerza Wielkiego koronnego. Datum Warsaviae, d. 4 Decembris 1664." Ręk. bibl. Ossol. Nr. 189, k. 1591—2. „IMPan odpuścisz mi—pisze biskup — gdy prawdy dotknę, ponieważ te czasy nastąpiły, w których *sine simulatione* mówić jeden drugiemu to powinien, co w nim baczy *publicae saluti* być *damnosum*. Od kilku lat zawziąwszy się na dobrotliwe Państwo nasze, miałeś za najprzedniejszy cel, *que publice*, *que privatim*, niewinnie ich reputacyą, a oraz ich sług wiernych *apud populum traducere*, szukając tam *malitiose noxam*, gdzie *nec vestigium* winy nie było. Takimi *artibus* naciągałeś na to, aby ojczyzna zawsze *in turbido* była, s i l ą c s i ę w t a k i m o d m ę c i e o b ł o w i ć, nie smakując *in privata fortuna* (*sic!* daléj chyba w zarzutach pójść nie było można!), którą *congeries* wielkich spadków i łask królewskich *supra civilem modum auxit*. Dowodów na to będzie miał z potrzeby Pan Instygator..... Ja jednak namienię, że dotąd nie widział żaden, aby co miało *implere tam vastum animum* IMPana, *cuncta* w téj Ojczyźnie *infra se ponentis*." Tak puściwszy wodze językowi, aby się prywatnie jeszcze, że tak powiem, zemścić na przeciwniku, który, jak rozumiał, wkrótce nie będzie mu mógł szkodzić, dodaje szyderczo: „Jeśli IMPana własne sumienie *male actorem non arguit*, jeśli tak jesteś *sceleris purus*, czemuż *detrectas dicere causam in obiectis?...* Czyliż to *pudet vel piget* żyć pod prawem

rakter Prażmowskiego, nie przekonywa aby na dworze panowała skłonność do zgody, to z obojętnego postępowania senatorów można było o tém nabrać zupełnéj pewności. Mimo nieustannych zabiegów i starań syna Lubomirskiego, Trzebickiego i wielu innych, żaden z dygnitarzów w wotach swoich nie uznał za stosowne w obronie marszałka przemówić i o względność dla niego upraszać. Jedynie biskup warmiński poruszył mimochodem sprawę Lubomirskiego, ale to była lekka aluzya, która zwróciła uwagę dlatego, że inni pomijali tę drażliwą kwestyą milczeniem (1). „Senat, coby miał pośredniczyć, oniemiał! — wybucha żalem i oburzeniem syn marszałka (2).—Cień to tylko senatu!“

Nie bardzo téż świetnie wiodły się układy z królową. Trzebicki próbował (na własną rękę) drogą ustępstw skłonić ją do takiejże wzajemności. Podsuwał myśl, czyby nie była zadowoloną, gdyby Lubomirski dobrowolnie złożył godność hetmana polnego (3). Ale jeśli na dworze o skuteczności tego środka powątpiewano i nikt zresztą propozycyi biskupa nie dowierzał, to syn Lubomirskiego usunął ją, oświadczywszy stanowczo, że ojciec na to się nie zgodzi (4). W przytoczonym już liście do marszałka radzi Stanisław, aby się ojciec nie wydawał z chęcią złożenia hetmaństwa, choćby miał zamiar taki. Domaga się natomiast, aby dał co prędzéj plenipotencyą którymkolwiek senatorom, „byle nie jednemu, bo się dla zawiści żaden tego nie podejmie.“ Stosownie do téj wskazówki przysłał téż Lubomirski w pierwszych dniach grudnia do Warszawy Karmelitę, który na audiencyi u de Lumbres'a oświadczył, że marszałek wyznacza cztery osoby i daje im pełnomocnitwo do przyzwolenia na wszystko, czego królowa uzna za stosowne zażądać, ofiarując nawet wziąć na siebie inicyatywę w sprawie elekcyi księcia d'Enghien'a. — Wszystkie te zabiegi, zrazu przynajmniéj, nie odnosiły żadnego skutku. Kiedy poseł francuski przedłożył królowéj nowe propozycye na prośbę zakonnika, odrzekła, że nie myśli ustępować w niczém: mimo to jednak

---

pod niem urodzonemu? I tak to zaćmiły oczy *inanes fumi*, których mgłę puścili owi *inflatores*, że już *supra conditionem aequalium* się niesiesz?“—Po takich-to wyrazach zapewnia nareszcie kanclerz protekcyonalnie, że jeśli marszałek do jego rad się zastosuje, on pokaże, „że *offensus non irascitur*“ i nieprzyjaźni między nim a sobą „*remedium applicare* będzie usiłował.“

(1) T. Luk XII, k. 179. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 4 Décem. 1664.

(2) Kluczycki, Pisma do wieku i spr. J. Sob. T. I. Cz. I, str. 232—3: List Stanisława Lubomirs. do ojca, 30 Novembris.—Por. T. Luk. XII, k. 182. De Lumbres à M. de Lionne. Vars. 5 Décem. 1664.

(3) T. Luk. XII, k. 179—8. De Lumbres à Louis XIV etc. u. s.

(4) List Stan. Lubomirskiego do ojca etc. ibid. u. s.

pozwoli na układy z marszałkiem, ale tylko na to, aby go zwalczać tą samą bronią, którój on przeciwko niéj używał, to jest, łudzić go i zwlekać tak długo, aż chwila stanowcza się zbliży i—wyrok zapadnie. Nie chodzi bowiem wedle jéj zdania o nic więcéj Lubomirskiemu, jak o uzyskanie zwłoki, tak, aby czas przeznaczony na sądy minął bez żadnego rezultatu. Dając posłuch propozycyom przeciwnika, obiecywała sobie królowa, iż powstrzyma go od gwałtownych kroków, do których popchnąć mogła rozpacz człowieka, nic już nie mającego do stracenia (1). Na pełnomocników obrał marszałek brata Aleksandra, syna Stanisława, Jana Wojakowskiego, chorążego przemyskiego i Stefana Księskiego, sędziego krakowskiego (2). Czy zdziałali oni co więcéj, niż Trzebicki i jego przyjaciele, na to odpowiemy niżéj; w każdym razie plenipotencya przyszła za późno, aby można było przeszkodzić rozpoczęciu sądów i wytoczeniu na nich sprawy Lubomirskiego.

Że z senatem nie wiodło się dobrze, temu zapewne nie dziwił się nawet sam oskarżony: wiedział on od dawna, że nie na wielu przyjaciół tam liczyć może. Ale jak się zachowa żywioł, który był dotąd podstawą jego potęgi i w szczęśliwych chwilach poddawał się mu jako powolne narzędzie? Czy i tam znajdzie więcéj odstępców, niż stronników? Jaki odniesie skutek instancya proszowskich delegatów? Oto były pytania, jakie sobie zadawał zaniepokojony w duchu marszałek.

Tegoż samego dnia, kiedy sejm został otwarty, udzielał król posłuchania posłom od sejmików w pokoju marmurowym. Zarówno proszowscy, Chełmski, podstoli krak. i Rupniewski, wojski krak., jak wiszeńscy, Niezabitowski i starosta garwoliń. Ostroróg zanieśli istotnie gorącą za uciśnionym magnatem instancyą, prosząc o przebaczenie winy, „jeśli się jaka znajduje.“ W odpowiedzi zapewnił kanclerz (który z urzędu za króla przemawiał) tylko ogólnikowo, „że król IMść zwyczajnéj w tym terminie zażyje łaskawości,“—„byle (Lubomirski) nie zechciał w recydywę wpadać, co jemu nie nowina (3). Miał téż dodać, „że sądzić król chce, nie swoją, ale całéj Rzeczypospolitéj kładąc to być sprawą“ (4). Była to więc razem wziąwszy raczéj odmowa, osłodzona kilkoma konwencyonalnemi zapewnieniami.—28-go odbyła się rada senatu, na któréj przełożono i rozbierano żądanie kilku województw o pozwolenie ponownego zwołania sejmików wyborczych. Sprawę załatwiono ostatecznie dopiero w so-

(1) T. Luk. XII, k. 180—1. De Lumbres à Louis XIV. Vars. 4 Décem. 1664.
(2) Koch. Ann. Pol. Clim. III, str. 155.—(3) Dyar. więk. k. 88.—Dyar. Gol. str. 1588.—(4) List Stan. Lubomirskiego do ojca, l. s. cit.

botę, dnia następnego: zapadła uchwała, żeby odrzucić wszystkie te pretensye, jako nieuzasadnione, a zresztą w obec tego, że ich załatwienie w obec rozpoczętego sejmiku byłoby już spóźnione (1). „Już tu na orzech przychodzi“... donosi ojcu syn, zawsze o dobro jego troskliwy (2),—„posłowie województwa krakowskiego wczora z rady senatu odprawieni, sejmiku ani mieć będą, ani instancyi za WPanem zadość nie uczyniono“... Tak więc właściwie ani jedna ani druga prośba delegatów nie została uwzględniona. Lubomirskiemu zresztą najmniéj jeszcze zależało na ich powodzeniu. Wyczekiwał on z nierownie większym niepokojem wrażenia listu z 29 listopada, który wystosował do szlachty zgromadzonéj na sejmie. Nie wierzył w skuteczność jednostkowych usiłowań, wiele natomiast się spodziewał po zbiorowéj „*viribus unitis*“ przedsięwziętéj interwencyi izby poselskiéj. Jakkolwiek w stanie szlacheckim przywykły widzieć żywioł sobie przyjazny, w tym razie nie był jednak pewny, czy panowie bracia pójdą na lep pięknych słówek i utartych zaklęć na wolność i równość, bo, jak wiadomo, w wyborach przedsejmowych partya królowéj przeważne odniosła zwycięstwo. Zachodziła obawa, czy większość, złożona może z zauszników i klientów dworu, nie stanie przeciw niemu? Tém więc ostrożniéj, tém oględniéj i pokorniéj trzeba było przemówić do zmiennych, a kto wie czy nie odwróconych odeń na zawsze umysłów „kochanéj braci“... Powtarzają się więc w rzeczonym liście znowu też same, co w poprzedniém piśmie do sejmików, skargi, też same zaklęcia i też same prośby o pomoc, o poparcie, o wstawienie się u króla za obywatelem, który pada niewinnie ofiarą nienawiści powszechnéj, że odważył się otwarcie stawać w obronie drogiéj mu sprawy narodowéj, w obronie swobód i wolności szlacheckiéj (3)...

---

(1) Dyar. wiek. l. s. cit.—(2) List Stan. Lubomirs. l. s. cit.

(3) Por: „Copia listu od JMP. Marszałka W. koronnego na sejm warszawski do Poselskiéj Izby, Dat. w Janowcu d. 29 Novembris 1664.“ Ręk. bibl. Ossol. Nr. 189, str. 1590—1. „Widzicie to IMPanowie,“—pisze w tym liście marszałek,—„czym nie służył J. Kr. Mci Panu Memu Miłmu, jako się godziło, czy *deliqui* w czém przeciwko Ojczyznie, przeciwko należytéj wierze i poddaństwu, że takimi *obruor*, nie mówię, *opprimor* kalumniami; to chyba *pro crimine reputatum mihi*, żem żadnéj do usługi J. Kr. Mci Pana Mego, kiedy usługa moja *grata* była, nie opuścił okazyi, żem *statum* ojczyzny, w którem się urodził, chciał widzieć zawsze *florentem*, przeciwko temu aby się nic nie działo, przestrzegałem... To tedy znajduje tylko, co mi te *causavit* persekucye, to *invidos* wzbudziło przeciwko mnie, to mnie z łaski I. Kr. Mci wyżeło!“... „I gdyby to jeszcze sama moja w tém *verteretur* osoba, *servem sortem;* ale co całéj stąd pertenduje Ojczyźnie, łacno uważyć: to tedy, jakom namienił, *in oppressum* WPanów wychodzi“... „Proszę więc,“—wzywa następnie tych wszystkich współtowarzyszów niedoli,—„chciejcie nieprzestannymi *instare* prośbami do I. Kr. Mci P. M. M., żeby mię do łaski swéj pańskiéj przypuścić

Jeżeli marszałek rzeczywiście nie łudził się zbytecznie co do usposobienia szlachty dla siebie, to odgadł jedynie to, co było faktem (Mówimy oczywiście tylko o posłach sejmowyeh, bo bliska przyszłość okazała. że ogół szlachty usposobienia przychylnego dlań nie zmienił). Dzięki pomyślnemu przebiegowi sejmików, dzięki pieniądzom królowéj, jak nie mniéj staraniom Gnińskiego, który niemałą reputacyą i wpływem w izbie się cieszył, posłowie w przeważnéj części wcale nieprzychylne względem Lubomirskiego zajmowali stanowisko. Podkomorzy podnosił, że nad wszelkie spodziewanie nawet Litwa nie przeciwi się jego zabiegom w interesach dworu. Uważano, że zwrot ten korzystny datuje się od chwili, kiedy podkanclerzy litewski pobrał pensyą, wyznaczoną mu od Ludwika XIV (1). Tak więc już źle stało z marszałkiem, że nawet dawnym sprzymierzeńcom nie można było ufać. Obawy starosty spiskiego co do postępowania chwiejnego szlachty, którym daje wyraz w liście do ojca (2), miały się ziścić, i to prędzéj, niż się spodziewano.

Kiedy 3-go grudnia, w środę, przyniesiono do izby poselskiéj dopiero co wspomniany list Lubomirskiego, do niéj-że saméj zaadresowany, wszczął się hałas i wrzawa. Nie dopuszczono do natychmiastowego odczytania, rzekomo, aby „materye szły swoim porządkiem“, i rzecz odłożono na dzień następny (3). Ale kiedy w czwartek list przyszedł na porządek dzienny, znalazły się nowe przeszkody i oponentów nie brakło. Odczytano go nareszcie po długiéj uporczywéj sprzeczce. Wbrew wszelkim oczekiwaniom mało komu przypadł on do gustu: szlachta znajdowała, że był za mało pokorny. Objawiały się nawet w izbie opinie, że skoro kwestya wątpliwa, kto winien, a kto nie winien, więc właśnie trzeba rzecz rozsądzić, aby rozeznać, gdzie słuszność (4). Odezwali się wprawdzie jeszcze dnia

---

raczył, *deprimere innocentem*, wszelkiéj życzliwości ku I. Kr. Mci *conscium* sobie nie dopuścił, nie dał w osobie mojéj *periculum*, jako i IMPanowie, całej *subire* Ojczyźnie!“ „I każdego z osobna proszę,“—dodaje raz jeszcze na końcu,—„i nie wątpię, że to zacne *libertatis sacrarium*, Izba IMPanów, jako *non deficiet* na usilnych coraz do I. Kr. Mci instancyach, tak ukaże, że, którym kiedyśkolwiek całość jéj i wszystkiéj Ojczyzny *pro posse meo* trzymał i zakrywał, przez tę Izbę opuszczony nie zostanę!“

(1) T. Luk. XII, k. 180: De Lumbres à Louis XIV, Vars. 4 Décem. 1664.

(2) „Miałem nadzieję,“—czytamy w tym liście, przytaczanym już w poprzednich uwagach,—że Izba Poselska za WPanem *intercedere* miała; tu zaś koło tego chodzą, aby z tego nic nie było. Mówiłem niektórym życzliwym: *ipsi viderint*, co i onych wkrótce czeka! Obiecują coś, ale boją się, aby byli *pares*, kiedy na orzech przyjdzie!“

(3) Dyar. wiek. k. 90.—Dyar. Gol. str. 1588 —De Lumbres mylnie donosi w liście do Ludwika XIV z d. 4 grudnia 1664 (T. Luk. XII, k. 180), że tego dnia (3-go) odrzucono list Lubomirskiego stanowczo. Poprawia to w liście następnym z 5 grudnia t. r.

(4) Dyar. Gol. str. 1588.—Dyar. wiek. k. 90.

następnego dwaj posłowie, Pękosławski i Mosiński z tém, aby nie pomijać listu tak lekceważąco, aby przeciwnie żądaniu marszałka zadość uczynić. Ale wniosek ich na silny natrafić musiał opór, skoro szlachta całe posiedzenie strawiła na sporach, „zabawiając się niemi aż do wieczora" (1).

Próba więc, po któréj tyle sobie obiecywano, chybiła zupełnie celu; ogień sztuczny, obliczony na efekt, w chłodnéj atmosferze izby poselskiéj zagasł bez blasku. Dobrze się wyraża de Lumbres, że marszałek wolałby, aby listu jego wprost nie dopuszczono do odczytania, jak że go po odczytaniu odrzucono (2).. Była to klęska nie mała, a tém dotkliwsza dla pozwanego, że spadła na niego właśnie w przededniu otwarcia sądów królewskich.

II.

Pierwszy dzień sądów. — Sprawa Lubomirskiego. — Dalsze zabiegi stron obu.

Dnia 5 grudnia miały się skończyć wota senatorskie. Tymczasem spór o list marszałkowy, odnowiony dnia tego, zabawiał szlachtę tak długo, że ani myśléć można było o połączeniu senatu z izbą (a tylko w obec połączonych stanów mogło się odbywać wotowanie). Napróżno nasyłano kilku senatorów do dolnéj sali sejmowéj; niczego nie wskórali (3). Niecierpliwił się król wielce tém przedłużaniem obrad szlacheckich, bo chciał jeszcze dnia tego rozpocząć sądy. Na 6-ty, 7-my i 8-my przypadały święta; zamierzył je więc wyznaczyć, jako przepisany okres czasu, w ciągu którego, licząc od wywołania sprawy, pozwany obowiązany będzie stanąć przed sądem, jeśli nie zechce nadać prawomocności wyrokowi przez kontumacyą (4).

Już poprzednio umówione to było zapewne z Gnińskim, żeby dnia tego mianował delegatów do sądu od izby poselskiéj. Wyznaczeni zostali: Franciszek Bieliński, podkomorzy płocki, Marcin Oborski, starosta liwski Jan Duczymiński, chorąży ciechanowski, Bieniewski, podczaszy halicki, Władysław Rej z Nagłowic, podskarbi nadworny koronny, Emeryk Mleczko, starosta mielnicki, Andrzej Kotowicz, pisarz w. ks. lit. i Jan Franciszek Póżniak, pisarz ziemski wi-

(1) Dyar. Gol. str. 1589.—Dyar wiek. l. s. cit.

(2) T. Luk. XII, k. 182: De Lumbres à M. de Lionne, Vars. 5 Décem. 1664.

(3) Dyar. wiek. k. 91.—Dyar. Gol. k. 1589.

(4) T. Luk. XII, k. 182. De Lumbres à M. de Lionne, Varsovie, le 5 Décembre, 1664.

leński (1). Król nie mogąc się doczekać przybycia szlachty na w ota, posłał przed wieczorem do marszałka poselskiego o delegatów do sądu. Gniński wyprawił ich cichaczem, kiedy w izbie „się mieszali“ (2).

Połączywszy się z senatem, złożyli wymienieni komisarze uroczyste przysięgi. Po załatwieniu téj formalności, przystąpił król bezzwłocznie bez względu na porę wieczorną do otwarcia sądów. Marszałek nadw. kor. Branicki miał wedle regestru kierować porządkiem obrad. Na pierwszém miejscu znalazła się sprawa margrabiego Myszkowskiego. Bez trudu uzyskano nań kondemnatę. Drugą z rzędu miała być sprawa Lubomirskiego. Kiedy ją marszałek nadw. z regestru odczytał, nikt się nie stawił ze strony oskarżonego. Wówczas wystąpił woźny i podszedłszy do drzwi sali sądowéj, wywołał nazwisko ostatniego raz jeszcze donośnym głosem. I to wezwanie nie odniosło skutku. Wobec tego, że strona pozwana się nie zjawiła, wniósł instygator w. kor., Jan Tański, aby marszałek podległ stosownie do przepisów prawnych kondemnacie przez kontumacyą. Wyrok miał brzmiéć na utratę wszystkich godności i urzędów, czci i życia, jakotéż na konfiskatę wszystkich dóbr, przywiązanych do tytułów. Wniosek został przyjęty (3). Na drugi dzień zgłosił się jednak do sądu szlachcic Jan Bogiński i zaaresztował kondemnatę. Areszt ten sąd sejmowy uznał za ważny i wyznaczył termin dla ponownego roztrząśnienia sprawy na 7-my grudnia, a względnie na dzień, w którym sprawa z odnośnego regestru wywołana zostanie (4). Staraniom zapewne syna Lubomirskiego udało się wyrobić, że zwłoka potrwała dłużéj, niż ułożono pierwotnie (5). Dopiero 9-tego miano przystąpić do dalszych sądów nad marszałkiem.

Dzień 5-ty grudnia minął i w izbie poselskiéj bardzo niespokojnie. Toczyły się spory o to, że Gniński przystąpił tak pośpiesznie do mianowania delegatów na sądy. Wytykano mu, że przekracza porządek obrad, że przedtém należało załatwić sprawę o wakanse itp. A gdy się przed wieczorem rozeszła w izbie wieść, że delegaci już połączyli się z senatem i przysięgę złożyli, wówczas szlachta dała

---

(1) Podajemy te nazwiska wedle urzędowego aktu, zamieszczonego w druku wymienionym już wyżéj „Processus iudiciarius in causa Georgii... Lubomirski,“ str. 83. Por. téż Dyar. więk. k. 91.

(2) Dyar. więk. k. 91.

(3) Przebieg tego posiedzenia podajemy wedle następnych źródeł: Proc. iudic. str. 9—10.—T. Luk. XII, k. 184: De Lumbres à Louis XIV, Vars. 11 Décem. 1664.—Kochow. Ann. Pol. Clim. III, str. 156.—Gaz de France, 15 Décem. 1664.

(4) Proc. iud. str. 10.

(5) Gaz. de France, 15 Décem. 1664. (De Warsovie).

folgę swemu oburzeniu. Wszczął się wielki poswarek. Wśród zamieszania opuścił Aleksander Żaboklicki, podsędek i poseł bracławski salę obrad i odjechał cichaczem z Warszawy, tak że marszałek i posłowie nic o tém nie wiedzieli (1). Zajście to dało powód do zwołania nadzwyczajnéj rady senatu, na któréj uchwalono, że protestacya Żaboklickiego jest nieważna, bo była uczyniona w saméj izbie poselskiéj, a oddawna praktykowana zasada postanawia, że tylko veto, założone na posiedzeniu sejmu w komplecie, to jest po połączeniu izby z senatorami i w obecności króla, posiada prawomocność i zdolne jest przerwać dalsze obrady (2).

Mimo téj decyzyi rady, zaprząta odtąd nieustannie izbę poselska kwestya, czyli sejm jest, czy nie jest prawomocny. Codziennie wywlekają ją ponownie i codziennie pozostawiają w zawieszeniu. 9-tego występuje Kordysz w obronie protestacyi kolegi Żaboklickiego: żąda uznania jéj mocy i pobudza posłów do żegnania króla (3). 10-tego jeszcze bardziéj zacięta w tym przedmiocie toczyła się dyskusya. Większość upierała się przy zdaniu senatu. Marszałek oszmiański téjże saméj tezy bronił, poważnie rozbierając za pamięci rozerwane sejmy. Ale Kordysz tym razem nie myślał wcale ustąpić. Dobrał sobie towarzyszów Pękosławskiego i Mosińskiego, posła bełzkiego i z nimi razem do ostréj zabrał się utarczki z oponentami. Pękosławski wypalił długą filipikę, uskarżając się, że wolność głosu skrępowana. Widząc wreszcie, że nic nie wskórają, porwali się trzéj godni przyjaciele i idąc za przykładem podsędka, którego sprawie adwokatowali, opuścili izbę założywszy swoje protestacye (4).

Staraniem Gnińskiego udawało się jedynie utrzymywać jeszcze nadal w jakiéj takiéj zgodzie tę garstkę posłów, która dotychczas nie opuściła Warszawy. Najlepiéj trzymali się Litwini, szczególniéj ze stronnictwa Paców (5). Ale teraz wlokły się bezprzedmiotowe obrady tylko z dnia na dzień. Schodzono się coraz nieliczniéj, bawiono w izbie coraz króciéj, zawsze jedno i to samo roztrząsając pytanie. I tak się działo aż do 7-go stycznia.

Tém większy zato ruch panował na dworze i w sali sądów królewskiéj z jednéj strony, a w rezydencyi marszałka z drugiéj.

Lubomirski przeniósł się był na czas sejmu do zamku swego w Janowcu koło Kazimierza nad Wisłą, który tylko o kilkanaście mil

---

(1) T. Luk. XII, k. 188—9 De Lumbres à Louis XIV, Vars. 11 Décem. 1664.— Kochows. Ann. Clim. III, str. 155.—Dyar. Gol. str. 1589.

(2) T. Luk. k. 189 etc. u. s.

(3) Dyar. Gol. str. 1594.— (4) Dyar. więk. k. 92.

(5) T. Luk. XII, k. 190. De Lumbres à M. de Lionne, Vars. 12 Décem. 1664.

od Warszawy był oddalony,—zapewne, aby o przebiegu układów, a względnie sądów jak najprędzej móc się wywiadywać. Świadomy że mu grozi lada chwila najazd egzekutorów wyroku, zabezpieczył się tutaj znacznym oddziałem wojska: nie miał ich co prawda—15.000, jak pisano po gazetach (1), ale 700—800, częścią jazdy, częścią piechoty (2). Uczucie bezpieczeństwa w otoczeniu zbrojném nie zaspakajało jednak marszałka bynajmniéj. Pędził on w zamku dni, pełne niepokoju i niepewności. Do niedawna łudził się jeszcze, że stronnictwo jego w stolicy nie dopuści do sądu; i to złudzenie rozwiało się po 5-tym grudnia... Nadzieje, pokładane w przyobiecanéj interwencyi posła cesarskiego także się nie sprawdzały: Kinski nie tylko teraz, ale do samego końca grudnia nie pokazał się w Warszawie (3).

Przygnębiony wieścią o zapadłéj kondemnacie podwaja Lubomirski starania, aby powstrzymać niepomyślną kryzys. Udaje się ponownie do brata Aleksandra, powierzając mu raz jeszcze całkowite pełnomocnictwo do działania w swojém imieniu (4). Zwraca się wreszcie do samego króla, do którego nie pozwalała mu dotąd pisać obrażona duma od chwili, kiedy król wymówił sobie, aby mu się listami więcéj nie naprzykrzał. Tym razem trzeba było przytłumić i to uczucie, trzeba się było uciec do pokory i udawać uległość, cześć i wdzięczność dozgonną dla Majestatu... I rzeczywiście, jeśli w poprzednich listach widoczny był jeszcze niejaki odcień wyniosłości i lekceważenia, w tym ostatnim zataja marszałek całą swoję naturę: zniża się do służalczych pochlebstw i pokornéj żebraniny, upada do kolan swego „kreatora“ (jak króla nazywa) i tarza się nieledwie u stóp tronu (5). Dla ilustracyi tego listu dość powiedzieć, że równo-

---

(1) Np. Gaz. de France: De Varsovie, le 8 Décembre, 1664.

(2) T. Luk. XII, k. 192. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 18 Décem. 1664.

(3) T. Luk. XII, k. 185. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 11 Décem. 1664.

(4) T. Luk. XII, k. 185: De Lumbres à Louis XIV, Vars. 11 Décem. 1664.

(5) „Copia listu od IMPana Marszałka W. kor. do Najjaśniejszego króla IMci. De data 8 Decembris 1664. (Ręk. bibl. Ossol. Nr. 189, str. 1591—2. Druga kopia w ręk. tejże bibl. Nr. 698, k. 141): „—Jakom przez wszystek czas służył W. kr. Mci,“—pisze Lubomirski.—„żem nie tylko uczynkiem, ale ani myślą nie zgrzeszył przeciwko W. król. Mci, tak mi Boże dopomóż!—Znałem się bowiem do tego, ż e m j e s t c r e a t u r a W. kr. M c i, że domek mój, *beneficiis* Najjaśniejszych królów *auctus* tak znamienicie, że nigdy winna wygasnąć we mnie nie może tak wielkich dobrodziejstw *gratitudo*... Przyjmowałeś W. kr. Mość łaskawie wierne ku sobie usługi i godnym rozumiał mię konfidencyi i tak wielkich dobroczynności. Jako w tak wielką niełaskę wpadłem, że któregoś *elevasti*, *allidis*, którego *creasti*, *annihilas*, i którego niedawno uczyniłeś widokiem łaski, teraz *exemplum* wystawiasz gniewu i niełaski: dlaczego, ani wiem, ani *scrutavi* śmiem“.. „Proszę W. kr. Mości, p o k o r n i e d o n ó g u p a d a j ą c, *non intres in iudicium cum servo! Opus manuum tuorum* jestem; uczyń W. kr. Mość sobie ze mnie, jako Pan ze sługi

cześnie przez swoich agentów sypał marszałek pieniądzem między szlachtę, nakłaniając ją do zerwania sejmu (bo jego to niezawodnie dziełem była protestacya Żaboklickiego, jak nie mniéj trzech posłów z 10 grudnia), że targował się ze świadkami, którzy przeciw niemu zeznawali, i jednemu z nich Bartkowskiemu wciskał do rąk pięćdziesiąt, drugiemu trzydzieści tysięcy franków, aby ich zniewolić do cofnięcia zeznań (1).

Jeżeli na królu nie robiły już wrażenia spóźnione zaklęcia Lubomirskiego, to teraz staje się, (rzecz niespodziewana!), iż najzaciętsza przeciwniczka pozwanego, królowa mięknie i łagodnieje w gniewie. Nie wiadomo, czy nalegania przyjaciół marszałka, czy list jego do Jana Kazimierza, czy wreszcie instancya żony, Lubomirskiéj (bo i ta podobno, nasłana przez męża, miała błagać królowę o litość (2)), ale najprawdopodobniéj obawy przed niefortunném zakończeniem sądu lub przed skutkami za surowego wyroku sprawiły, że Marya Ludwika zaczęła się wahać i skłaniać, więcéj niż kiedy, do zgody. Przestała lekceważyć propozycye pośredników, dawała posłuch ich przedstawieniom i zastanawiała się na seryo, czy nie lepiéj będzie załatwić sprawę pokojowo, czy nie wystarczy odjąć marszałkowi hetmaństwo koronne, aby go poniżyć i osłabić (3).

Ten zwrot w usposobieniu królowéj, który był zapewne reakcyą po długiem wysileniu i uciążliwéj pracy i powstał w chwili znużenia i osłabienia fizycznego, zaniepokoił wielce bardziéj wytrwałych i upartych przeciwników Lubomirskiego. W obawie niemiłych następstw téj niespodzianéj zmiany, uradziło to skrajne stronnictwo nasłać królowéj de Lumbres'a, aby wpłynął skutecznie na umysł jéj chwilowo przygnębiony, który potrzebował od czasu do czasu pobudki, aby nie popaść w odrętwienie. Poseł francuski wysilił całą swą wymowę, aby wykazać całą konieczność konsekwentnego postępowania do końca w raz rozpoczętém i do połowy doprowadzoném dziele. Jeśli już miała być mowa o ustępstwach, to nie trzeba

---

albo Król z poddanego, jako *creator* z kreatury sprawiedliwość... W tym tylko winnym (mię) uznaj, żem nieszczęśliwy· bo nic innego—Boga na świadectwo biorę—do siebie występku nie znając, jeślim nieostrożnie, jako człowiek, uraził w czém W. kr. Mość, Dobrodzieja mego, tedy unižoną prośbą *prostratus ad genua* W. kr. Mości (proszę), chciéj darować *errorem*, a ze szczodrobliwością, którą słyniesz na świat cały i mnie téż racz przyjąć *supplicem* do łaski swéj pańskiéj!"...

(1) T. Luk. XII, k. 188: De Lumbres à Louis XIV, Vars. 11 Décem. 1664.

(2) Przyjmujemy tę wiadomość tylko z zastrzeżeniem, bo ją podają tylko: Relationes historicae (Frankfurt 1665, Półrocznik I-szy, str. 55).

(3) T. Luk. XII, k. 181: De Lumbres à Louis XIV, Vars. 4 Decem. 1664.

było pozywać przed sąd marszałka; bo teraz, kiedy już ten proces głośnym się stał w rzeczypospolitéj, nie tylko nie wystarczy takie odjęcie cząstki władzy przez odebranie tego lub owego urzędu, lecz owszem, rozjątrzy marszałka i pobudzi do tém większéj względem dworu zawiści; ma bowiem Lubomirski już taką naturą, że obrazy nigdy nie przebacza. Jakiekolwiek chciałoby się poczynić ustępstwa, nie będzie on takowych uważać za łaskę, bo zawsze pozostanie mu wstyd, że ciążył na nim zarzut zbrodni stanu, że sprawa jego wlokła się po sądach, że tylko żebraniną wywinął się od kary śmierci. Udowadniał de Lumbres nawet przykładami z historyi powszechnéj i z niedalekiéj przeszłości, że trzeba się strzec oskarzać tych, którzy są potężni i skłonni do buntu, jeśli się ich zgubić nie może.. Królowa odpowiedziała mu na to, że wszystkie te względy zawsze miała przed oczyma: nie zmieniła ona też zamiaru doprowadzenia marszałka do ostateezności, ale się obawia, czy dowody przeciw niemu będą dostateczne i czy upadek Lubomirskiego nie wywoła współczucia wśród szlachty i nie stanie się powodem wojny domowéj. Poseł dodawał jéj otuchy, że tak źle nie będzie: dowodził, że sędziowie znajdują oskarżenie uzasadnioném, że wszyscy zresztą są tronowi przychylni, a nienawistni marszałkowi. Przypominał, że nigdy nie nadarzy się lepsza sposobność przywrócenia powagi władzy królewskiéj: a jeśli jéj się obecnie ujść pozwoli niepowrotnie, dwór popadnie w większą jeszcze, niż dotąd, pogardę wśród szlachty. Płonne są obawy przed wojną domową. Właśnie wyrok potępiający wyzuje Lubomirskiego z wszelkich środków do dalszych intryg i działań rewolucyjnych. Pozbawiony urzędów, czci i majątku nie będzie on miał ani możności, ani nawet chęci przedsiębrania zuchwałych zamachów: a cesarz i elektor widząc go tak bezsilnym i ogołoconym z wpływu i władzy, przestaną u niego szukać pomocy i udzielać mu onéj nawzajem. A zresztą, choćby nawet po wyroku przymierze dworów zagranicznych z Lubomirskim daléj trwało, to już sama ufność w pomoc króla francuskiego powinna królowę uwolnić od złych przeczuć i obaw.

Przedstawienia de Lumbres'a wskórały ostatecznie tyle, że królowa oświadczyła, iż polegając na Francyi, nie odstąpi od pracy nad zgubą marszałka, chyba jeśli ją do tego skłoni niedostateczność dowodów przeciw pozwanemu lub téż żądanie samychże przyjaciół korony (1).

---

(1) T. Luk. XII, k. 182—3. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 4 Décem. 1664.

III.

Propozycya instygatora.

Kiedy tak historya ugody między obiema partyami ciągle na jedném prawie pozostaje miejscu dzięki czujności de Lumbres'a, to sądy tymczasem nad pozwanym magnatem postępują naprzód raźnie i stanowczo.

7-go grudnia odbyła się tajemna rada senatu, na któréj odczytywano dokumenta przeciw Lubomirskiemu zebrane (1). Po kilkudniowéj zwłoce, dnia 9-go grudnia sprawa sama zostaje poraz drugi wywołana w izbie sądowéj (2). Ze strony pozwanego występuje tym razem syn Stanisław i pierwszy o głos uprasza. Dostawszy nań przyzwolenie, pośpiesza on do stopni tronu, zamierzając stamtąd przemówić do króla, zapewne dla większego efektu. Ale kanclerz zawraca go z drogi chłodną uwagą, że nie tam miejsce dla mówców (3). Z ławy więc obrońców począł starosta spiski „z żalem i łzami zalany rzecz żałośną, że zasługi ojca jego nadspodziewanie taką odbierają nagrodę, — ażali jednak niewinność zwycięży...." (4). Mowę swoję zakończył prośbą, aby mu przydano obrońców.—Odbyła się nad tém żądaniem narada. Uchwalono przyzwolić i mianowano patronami Stanisława Zestelińskiego i Andrzeja Mniszcha (ostatni miał być biegłym, starym prawnikiem, ale nie dosłyszał na oba uszy) (5).

Po załatwieniu tych czynności przedwstępnych przystępuje Jan Tański, instygator w. kor. do propozycyi, t. j. do zapowiedzianego w pozwie bliższego wyłożenia i rozwinięcia pojedynczych punktów oskarżenia (6). Wskazawszy w krótkich słowach na główne punkta pozwu, oświadcza on przedewszystkiém, że oskarżenie opierać bę-

---

(1) Dyar. więk. k. 91.

(2) Relacye z tego posiedzenia znajdują się głównie w druku: Processus iudic. str. 10—47, i T. Luk. XII, k. 184. De Lumbres à Louis XIV, Vars. 11 Décembre 1664.

(3) Gaz. de France: De Warsovie, le 18 Decembre. 1664.

(4) Dyar. więk. k. 91.

(5) Koch. Ann. Pol. Clim. III, str. 58. Na ten temat napisał jakiś dowcipniś warszawski, obecny zapewne na sejmie, wierszyk, który zaczyna się od słów (już wyżéj część z niego przytoczono):

„Dziwne cuda się w Polsce pod sejm porobiły:
Ślepy razem z *kaleką* mężnego ubili,
Hetman zasię bez wojska wyjechał z Korony...."

(Rym i rytm nie tęgi! *Ślepy* to chyba Zesteliński? *kaleka*—Mniszech, a hetman—Lubomirski).

(6) Mowę instygatora streszczamy poniżéj wedle autentycznego jéj wydania czy przekładu w druku: Proc. iudic. str. 11—46.

dzie głównie na konstytucyi Zygmunta III z r. 1588 o zbrodni zdrady i obrazy majestatu, jakotéż na uchwale sejmu z roku 1662, gdzie to wszyscy senatorowie i posłowie „w swojém i całéj Rzptéj imieniu ślubowali J. Kr. Mci jednozgodnie i niezmiennie na swoje sumienie i zobowiązali się mocą sejmowéj powagi, że w żadném niebezpieczeństwie króla swego nie opuszczą, że dla honoru jego życie i mienie swoje poświęcić będą gotowi, że wspierać jéj nie przestaną z niezachwianą uległością, wiarą i nieskazitelną cnotą“.... Przyrzeczenie to wzmocniły następnie zgromadzone stany uroczystą przysięgą.—Zamierza więc wykazać oskarżyciel, że przeciw tym konstytucyom i zobowiązaniom wykroczył Lubomirski i w tym celu rozbiera działalność jego jako ministra rzpltéj i wysokiego dygnitarza wojskowego. Zarówno jako starosta krakowski i marszałek w. koronny, jak i jako hetman polny, nie spełniał oskarżony obowiązków swoich jak należało, a co więcéj, władzy swéj wielokrotnie nadużywał. Jako starosta i dowódca zamku krakowskiego uzurpował sobie bezprawnie, wbrew konstytucyom z roku 1576 i 1587, przywiléj stróżowania skarbca królewskiego, z którego powodu nawet do zatargu przyszło między nim a wojewodą sieradzkim. Skarbiec został przezeń obsadzony strażą z wojsk zaciężnych wybraną, kiedy ustawy Korony opiekę nad klejnotami królewskiemi powierzają jedynie senatorom. Lecz o to mniejsza. Zaszczycony tak wysokiemi godnościami, jak marszałkostwo w. i hetmaństwo polne, jakże użył téj wielkiéj władzy, powierzonéj sobie dzięki zaufaniu królewskiemu? Marszałek winien być stróżem i obrońcą praw: jemu przed innymi należało przestrzegać, aby konstytucye państwa, postanowienia sejmu i króla wykonywano ściśle i sumiennie; hetmana pierwszym obowiązkiem czuwać nad posłuszeństwem i wiernością wojska. Tymczasem Lubomirski widział we władzy swojéj jedynie środek do wichrzenia w rzpltéj i nie wahał się, łamiąc wszelkie zobowiązania i przysięgi, godzić na dobro ojczyzny, majestat prawa i tronu.—I tutaj następuje długi i rozwlekły wywód, którego celem wykazanie, że nikt inny, tylko marszałek był sprawcą konfederacyi wojskowéj, że jego dziełem wszystkie szkody i nieszczęścia, którym rzeczpospolita podlegała w ostatniém trzechleciu. Lubomirski był wedle oskarżyciela twórcą związku. Kiedy Wilczkowski w nieobecności hetmanów udał się był do niego (r. 1661) z zapytaniem, gdzie wojsko wracające z wyprawy moskiewskiéj umieścić rozkaże, miał mu odpowiedzieć marszałek, że „teraz nie o leżach radzić, lecz raczéj troskać się trzeba o wymuszenie żołdów wojskowych.“ Rada ta tak podziałała na armię, że wysłano od niéj natychmiast deputatów do króla z wypowiedzeniem posłuszeństwa, dopóki sumy, należące się za służbę, opłacone

nie zostaną. Fakt ten stwierdził Stanisław Jordan, towarzysz jednéj z chorągwi związkowych pisemném zeznaniem, które przed sądem zarazem odczytane zostało. Dawszy raz konfederacyi zawiązek, nie przestawał odtąd szczególnéj i nieustannéj nad nią rozciągać opieki. Na radę generalną wojskową pod Szczercem wysłał solenne poselstwo z życzeniami pomyślności, wówczas też wyjawił związkowym tajemnicę rady królewskiéj, na któréj roztrząsano, jakimby sposobem niektóre oddziały skłonić do odstępstwa od konfederacyi i wciągnąć do udziału w wyprawie moskiewskiéj. Tém doniesieniem podbechtał wojsko do tego stopnia przeciw dworowi, że odtąd wszystkie do niego zwrócone poselstwa i propozycye żadnego nie odnosiły skutku. Dokonawszy tego czynu zdrady, Lubomirski nie myślał nawet kryć się ze swoim postępkiem: owszem, że tak było w istocie, sam to wyznał i potwierdził zuchwale na konferencyi delegatów wojska z senatem, która wnet potém odbyła się w Warszawie. A kiedy po ukończeniu wyprawy moskiewskiéj król w pierwszych miesiącach r. 1662 zwołał sejm celem zaspokojenia żądań wojskowych, marszałek przez jednego ze swoich stronników przeparł w radzie związkowéj artykuły, które zobowiązywały posłów od armii do bezwzględnego wymuszenia wszystkich pretensyi, a w razie, gdyby celu nie osiągnęli, do zerwania sejmu. Wówczas to wprowadził Lubomirski w armii jakby czwarty stan do rzeczypospolitéj. Posłowie konfederacyi wpadają do izby poselskiéj i zrywając dalsze układy między obozem a dworem, rzucają się z obelgami na majestat królewski. Wojsko wdziera się do miasta, obsadza ulice, zawraca z drogi senatorów i posłów i różnych innych gwałtów się dopuszcza. Jakże wobec tego zachowywał się marszałek? Jest faktem, że w bezustannych przez ten czas pozostawał stosunkach z posłami od wojska, codziennie z nimi się znosił i porozumiewał.

Aby zażegnać burzę i uspokoić rokoszującą armię, zbiera się komisya we Lwowie. Król i senat wszystkiemi siłami naprowadzają żywioły wrogie do pokoju i zgody. Lecz cała praca idzie w niwecz, bo równocześnie druga jakby komisya anarchistów obraduje w Łańcucie za przewodem Lubomirskiego. Chorąży przemyski siedm razy odbywa podróż z Łańcuta do Lwowa z posłannictwem od marszałka. I w jakimże celu? Rozumie się, aby skłonić wojsko do wytrwania przy związku, aby szerzeniem fałszywych wieści jątrzyć wzajemną nienawiść, aby traktatom komisyi przeszkadzać i bruździć. Dlatego to słał marszałek tajemne listy i manifesty do wojska. Jeśli ich treść nie była zbrodnicza, to czemuż wyprawiał je osobno, pokryjomo, a nie razem z pismami króla? Jeżeli pragnął zgody i pokoju, czemuż nie był obecny na zjeździe we Lwowie? Dlaczegoż działał podstęp-

nie i skrycie, a nie jawnie, otwarcie, jak na pierwszego urzędnika Korony przystało? Oczywiście, bo mu zależało więcéj na utrzymaniu konfederacyi, będącéj dlań środkiem do wichrzenia, niż na całości, ładzie i zgodzie w rzpltéj. Chciał on przyśpieszyć interregnum, ba, nawet mieć je jeszcze za życia Jana Kazimierza, w ambicyi swojéj końca rządów króla nie mogąc się doczekać. To był główny motyw jego rad i działań: w tym celu szerzył on fałszywe wieści o bliskim przyjeździe Kondeusza, o tém, że już nawet koronę dla niego wywieziono z Krakowa i o prześladowaniach, zasadzkach, jakie na niego rzekomo zastawiał nienawistny dwór koronny. Że takie były istotne zamiary Lubomirskiego, stwierdzają akta i dokumenty konfederacyi, jak nie mniéj świadectwa samychże przywódców i członków byłego związku.

Tu nastąpiło odczytanie pięciu piśmiennych zeznań, które zarazem i ustnemi uzupełnione zostają.

Samuel Świderski, były marszałek konfederacyi i Krzysztof Oszczepalski, kierownik kancelaryi związkowéj podają najprzód szczegóły o owém poselstwie od Lubomirskiego do koła związkowego w Szczercu. Między towarzyszami związku (utrzymują oni następnie) już w czasie jego tworzenia się zdarzało się słyszéć takie głosy, jak np.: „Dopóki nie wybierzemy marszałka protektorem, tak długo w Polsce niczego dobrego nie można będzie dokonać!“ Piestrzecki, agent Lubomirskiego, przyjeżdżał umyślnie do obozu z bezimiennym niby listem, który puścił w obieg między wojsko. W liście tym przestrzega marszałek, iż król wyprawił do hordy i do kozaków Prażmowskiego, aby ich sprowadził przeciw konfederatom. Dzięki zabiegom i intrygom rozmaitych przekupnych służalców doszło do tego, że Lubomirski faktycznie został obrany protektorem wojska; inni przydani mu zostali do boku tylko dla formy. Biejkowski, jeden z wysłańców marszałka, agitował między armią, skłaniając umysły do planu elekcyi na króla Rakoczego: Lubomirski miał pod rządami ostatniego piastować godność wicekróla.

Zeznanie Stanisława Jordana, rotmistrza w związkowém wojsku zgadza się po większéj części z poprzedniemi: dodaje on do nich jednak jeszcze kilka ważnych szczegółów. Po utworzeniu konfederacyi wezwał go był Lubomirski wraz z kilkoma innymi poufnymi towarzyszami do Dąbrowy. Tutaj dawał im w ciągu dłuższéj, czterogodzinnéj konferencyi wskazówki do dalszego postępowania wojska. Kładł nacisk na to, aby i dywizyą Czarnieckiego postarano się skłonić do odstępstwa od króla. Wówczas téż miał Lubomirski wiele mówić o potrzebie zarządzenia interregnum (czyli inaczéj o zrzuceniu króla z tronu) i wyjawić się nawet dość wyraźnie z ambitném pragnieniem korony dla siebie.

Hieronim Ołtarzowski, towarzysz w chorągwi chorążego rawskiego, podaje, że najskrajniejszym żywiołem w wojsku były oddziały, należące do Lubomirskiego. Nawet kiedy w wojsku nastała widoczna skłonność do zgody, ludzie marszałka nie dopuszczali do pokojowych układów, poduszczając innych towarzyszów do nowych buntów. „Kto pragnie zgody, ten żąda niewoli!“—mówili. Stwierdza też Ołtarzowski, że Lubomirski właśnie przez swoich agentów, Piestrzeckiego, Biejkowskiego i Chynka rozsiewał niepokojące wieści i ostrzeżenia, jakoby książe Kondeusz stał już z wojskiem pod Puckiem i wmawiał w żołnierzy przekonanie, że nie ma innego środka dla położenia tamy postępom stronnictwa francuskiego, jak aby wojsko wytrwało w związku, a on jego protektorem został wybrany.

Następuje krótkie zeznanie Cychrowskiego, zgodne co do treści z tém, co już Oltarzowski i Jordan podali. Szereg tych świadków zamyka Bartnicki.

Dostarcza on najpierw kilka szczegółów co do intryg Lubomirskiego w armii litewskiéj. Jemu właśnie i kilku innym towarzyszom polecił był marszałek zabiegać około przysporzenia i tam zwolenników związku. Pod Jaworowem, kiedy Lubomirski i świadek znajdowali się w kościele, kilku poufnych pierwszego zrobiło nagle alarm w obozie. Uderzyli oni w trąby i zagrali hasło bojowe, wzywając wojsko do wyjścia w pole w porządku wojennym. Świadek wyszedłszy z kościoła, zapytał Biejkowskiego: „Co się dzieje? skąd ten alarm?“ A tamten odpowiedział: „Król z wojskiem zamierza się na nas!“ „Cóż to? czyż z królem walczyć będziemy?“ oburzył się Bartnicki. „Gotowiśmy walczyć i odpowiadać!“ brzmiała odpowiedź.— W téj chwili wybiegł i marszałek z kościoła i zwróciwszy się do Bartnickiego, zażądał wyjaśnienia, skąd to zamieszanie w obozie. A gdy zapytany odparł, że nie wié, miał się Lubomirski w te słowa odezwać: „Może Tatarzy z królem nam grożą? Bo bądźcie pewni, że wnet oni przybędą! Mój Białogłowski widział ich na własne oczy, kiedy z podjazdem wracał wysłany na zwiady!“ — Rozmawiał też Lubomirski ze świadkiem o wielu innych rzeczach. Kiedy ostatni wyraził ubolewanie, że wojsko do tego już się posiąga, iż o nowym myśli królu, miał wówczas odrzec marszałek: „Więc ten projekt tobie się nie podoba? A jednak, kto tak radził, dobrze radził! Bo gdyby przyszło do tego, to wówczas przyszlibyście do poznania dopiero, jak strasznymi jesteście, jak często zapytywano by was o to, co się wam nie podoba: słowem, osiągnęlibyście wszystko, czegobyście tylko żądać chcieli. Więc rady téj nie ganię: dobra ona była!“ Skończywszy to zeznanie, wyjawia wreszcie Bartnicki rzecz jednę wielkiéj wagi. Strona pozwana, pojmując całą szkodliwość i doniosłość jego świadectwa,

usiłowała obietnicą sumy 50,000 złotych skłonić go do odwołania wszystkiego, co dał na piśmie i oświadczenia, iż jest ono nieprawdziwe i nieważne, bo zostało gwałtem wymuszone. (Mówiliśmy o tém już wyżéj).

Te świadectwa, zdaniem instygatora, wystarczają już same, aby dowieść, że nikt inny, tylko marszałek był twórcą i opiekunem konfederacyi.

Lecz na tém nie koniec. Kiedy po zerwaniu ugody wolborskiéj, król dalsze czynił starania około usunięcia związku, przyszło na radzie senatu do uchwały, aby do wiernych tronowi chorągwi przyłączyć garstkę Tatarów tak dla większego bezpieczeństwa korony, jak i dla łatwiejszego uspokojenia rokoszu. Lubomirski sam na ten środek się zgodził. A mimo to zaraz po radzie rozpuścił list bezimienny między żołnierzami z ostrzeżeniem, że król sprowadza przeciw wojsku Kozaków i Tatarów. Niedługo potém doniesiono królowi, że lewe skrzydło wojska litewskiego żywi zamiar odłączenia się od konfederacyi i spełni go niezawodnie, byleby je wsparto odpowiednią sumą pieniężną. Nad tą propozycyą odbyła się tajna rada senatu. Zapytany o zdanie Lubomirski, odłożył swoję odpowiedź do dnia następnego, wymawiając się katarem; przyrzekł zarazem, że gdyby przyjść nie mógł, przyśle swoje zdanie na piśmie. I zredagował rzeczywiście rzeczone pismo; ale nim je przedłożył radzie, kopie takowego puścił wprzód wobieg w obozie konfederackim: tym sposobem zdradził tajemnice sekretnych obrad senatorskich.

Za te tak jasno dowiedzione dobre chęci i przychylność wynagrodziło wojsko marszałka, obrawszy go swoim protektorem. Nim rzecz ta do skutku przyszła, była ona przygotowana już na czas dłuższy naprzód przez poufnych stronników Lubomirskiego. W armii pojawiały się nawet plany zamachu otwartego na króla. Stwierdza to w zeznaniu swojém ks. Stefan Lipski. W klasztorze jego zakonu miała się właśnie odbyć narada rokoszan. Dawały się tam słyszéć takie zdania, jak, że „trzeba, zacząwszy od króla, kanclerzów i podskarbiego, wszystkich powycinać.“ „Inaczéj wówczas będzie w Polsce!“ mówiono. Wspomniał ktoś, jak to sobie w Anglii poradził naród z niemiłym despotą. „Sądziliśmy — odezwał się na to drugi — że król nasz większą uczciwością się odznacza; lecz wyśledziliśmy jego podstępy i mamy przeciw niemu cięższe zarzuty, niż tamci przeciw angielskiemu królowi!“ — Na wiadomość o tych zuchwałych knowaniach zwołał król radę senatu. Tu stawiano wniosek, żeby zaskarżyć spiskowców przed sądem konfederacyi. Jeden Lubomirski sprzeciwił się temu i dzięki jego zaciętemu oporowi uszła płazem zbrodnia, któréj ten protektor związku nie wahał się bronić publicznie.

Tymczasem do króla dochodziły coraz ważniejsze doniesienia. Otrzymał on między innemi pismo „pewnéj godnéj i uczciwéj osoby,“ która go przestrzegała, że marszałek zbroi się na swoim zamku i 600 włóczni już ma w pogotowiu. Kiedy ostatniemu ktoś zrobił uwagę, że to będzie za mało, miał on odpowiedziéć, „że znajdzie się w jego dobrach tyle drzew przydatnych na włócznie i tyle żelaza, że z niego nie tylko ostrza dadzą się sporządzić, ale i taka siekiera, jaką królowi w Anglii ścięto głowę.“

Odtąd téż wichrzy Lubomirski jawnie i otwarcie. Armia skonfederowanych ściągała się pod Jaworów. Protektor nie wahał się udać do ich obozu: widocznie sam już gotował się im przewodzić. Zachowywał się wobec wojsk królewskich zupełnie jak nieprzyjaciel. Wysyłał szpiegów, gromadził nowe zaciągi, szykował chorągwie, jakby do boju.

Stało się jednak tak szczęśliwie, dzięki staraniom wiernych królowi ludzi, że przyszła wreszcie do skutku zgoda i związek się rozeszedł. Zapanowała radość na dworze, ale marszałek drwił z nich sobie. „Cieszcie się panowie — mówił — ja zaś za was tymczasem coś innego wymyślę!“ I rzeczywiście wymyślił coś innego. Bo oto, kiedy wnet po zawarciu ugody król wyruszył z małą garstką na wyprawę moskiewską w nadziei, że wojsko byłego związku do niego się przyłączy, pokazało się, że tylko część niewielka poszła za nim, a to z powodu, że rozeszła się pogłoska o nowym przez marszałka zamierzonym rokoszu. Większość żołnierstwa odpadła wówczas znowu od króla i pozostała nieczynna. Ale Lubomirski i na tém nie poprzestał. Przez emisaryuszów swoich usiłował podburzyć i wierną piechotę do odstępstwa. Wysyłał na Ukrainę i Litwę mnichów, aby rozruchy i niepokoje wywoływali w tyłach armii królewskiéj. Jeden z tych ostatnich, Chojecki, ujęty wyznał na torturach, że razem z trzydziestu innymi dał się użyć pozwanemu za narzędzie w téj sprawie. Drugi, ks. Żmijewski, który z podobną misyą jak Chojecki, na Litwę jeździł, wykrył dobrowolnie tajne intrygi Lubomirskiego wpośród armii. (Instrukcyą, jaką miał ten zakonnik od marszałka, podaliśmy już wyżéj w przekładzie) (1).

To są główne fakta, które, wedle instygatora, noszą na sobie znamiona zbrodni stanu.

Głównym celem tych wszystkich działań było nie co innego (wedle tegoż oskarżyciela) jak sprawa elekcyi, nie téj, na którą Lubomirski tyle wyrzeka, chociaż pierwéj tak gorliwie jéj bronił, lecz elekcyi bezprawnéj i zbrodniczéj, bo opartéj na tajemnéj zmowie

(1) Patrz część I-sza, rozdział 5.

z zagranicznemi dworami. Wiadome to bowiem, że Lubomirski często się porozumiewał z dwoma posłami obcych monarchów. A ponieważ równocześnie sprzyjał ruchawce wojska, że wspierał zamieszki i rozruchy wewnętrzne, więc niezawodnie zmierzało to wszystko ku temu, aby przyśpieszyć bezkrólewie. Czynił to albo ze względu na własną osobę (jak to zeznaje Jordan), albo ze względu na Rakoczego, pod którym miał być wicekrólem (wedle Świderskiego i Oszczepalskiego), albo wreszcie w myśli, że przerobi rzeczpospolitę na państwo z rządem arystokratycznym i bez elekcyi na króla nią zawładnie (jak podaje anonim). Instygator jest pewny i przekonany, że to ostatnie zdanie jest najbliższe prawdy: Lubomirski pragnął stanąć na czele Korony i Litwy, jako protektor, na wzór może owego angielskiego. Dlatego to wykraczał po za zakres swéj władzy, opiekę nad insygniami królewskiemi sobie uzurpował, uniwersały i manifesty w imieniu swojém wydawał, narady nad sprawami rzpltéj w domu swoim odbywał, infamisom dawał schronienie, związkowi wojskowemu sprzyjał, o łaski i względy zagranicznych książąt się ubiegał. Na poparcie tego ostatniego twierdzenia odczytuje list Marcina Oborskiego, starosty sochaczewskiego, pisany do króla, w którym starosta wyjawia, że w imieniu Lubomirskiego proponował mu jeden z jego poufnych, czyby nie chciał wziąć udziału w przygotowaniach do zaciągów wojska na pomoc cesarzowi. Dowiedział się wtedy, że zaciąg miał się składać z 15,000 ludzi. Przeznaczono dlań stanowisko na Szląsku. Wszystko to odbywać się miało na podstawie układów Lubomirskiego z dworem austryackim, w których cesarz zobowiązał się w zamian za jazdę wspomóc marszałka sukursem piechoty dla wzmocnienia ponownego związku.

Kończąc wywód oskarżenia, wraca instygator do owych konstytucyi, na które u wstępu się powołał: przypomina ich treść raz jeszcze i w krótkości zbiera wszystkie zarzuty.

„Niechby nawet zamilkł urząd Instygatora i jego delatora—dodaje wreszcie— sama ojczyzna zamieszana i w wojny zawikłana woła, wołają łzy ubogich, wyciśnięte gwałtami konfederatów z krwi ostatkiem, wołają ołtarze Boga próżne i opuszczone z powodu spustoszenia dóbr kościoła w większéj części świętych — sprawiedliwości od J. Kr. Mci, jako zastępcy Bożego na ziemi ustanowionego, aby nie uszło bezkarnie takie wszelkich więzów prawnych starganie, z którego tyle nieszczęść spłynęło“.....

Przeciw czemu kto wykracza, przez toż samo niech karę ponosi.

Lubomirski zobowiązał się nie opuszczać króla w żadném niebezpieczeństwie, wspierać go i osłaniać przy każdéj okazyi— i zobo-

wiązał się do tego słowem danėm publicznie, zakładem *honoru*. Zasłużył zatém, złamawszy to uroczyste przyrzeczenie, na utratę czci i dobréj sławy. Zobowiązał się *życie* poświęcić za króla; tymczasem godzi na jego zgubę. Niech więc sam życie położy! Zobowiązał się służyć ojczyźnie *wszystkiém, dostatkami i całém mieniem*. Użył ich na szkodę rzeczypospolitéj: niechże je teraz także utraci! Człowiek ten musi ponieść karę nie tylko dla tego, że zawinił, lecz i na odstraszający przykład, aby nikt inny nie próbował w ślady jego wstępować. „Bo tylko w ten sposób — kończy uroczyście oskarżyciel — zachować będzie można równowagę między słusznością, sprawiedliwością a równością, jeśli się wdrożyć zdoła równe dla praw uszanowanie tak w potężnych, jak i w maluczkich. W ten sposób wzmoże się i spotęguje ów najdawniejszy i najtrwalszy związek monarchy z Rzeczpospolitą, powierzoną jego rządom od Boga. W ten sposób nastanie i zakwitnie pokój wewnętrzny w Rzeczypospolitéj w iście boskich przepisach królestwa zalecony“..... .....„W ten sposób wreszcie tron królewski utrwalon będzie nie tylko na czas szczęśliwych rządów J. Kr. Mci, lecz i za późnych jego następców — na wieki!“

Ostatnie słowa wypowiedział mówca z widocznėm już natężeniem, „bo ustawał w siłach i kończył prawie ochrypłym głosem“ (1). Pierwsza godzina minęła, kiedy rozpoczął swoją propozycyą, nim doszedł kresu, noc już zapadła. Mowa trwała przeszło pięć godzin (2).

Po nim zabrał jeszcze głos instygator w. litewski Zembrzycki. Ponieważ niektóre zeznania mówiły o jakowychś wieściach, które marszałek miał roznosić na Litwie o zamiarze króla zaprowadzenia dziedziczności tronu w w. ks. litewskiém, przeto żądał mówca, aby wezwać oskarżonego do objaśnienia, skąd te wieści zaczerpnął, a jeśli jasnego tłómaczenia nie da, aby mu wytoczyć także proces o oszczerstwo i potwarze (3).

Ostatni przemówił obrońca Zesteliński. Podnosząc ważność sprawy i ogrom poczynionych klientowi jego zarzutów, uprasza on, aby mu zakomunikowano wszystkie dokumenty, na których się opierał oskarżyciel, do rozpatrzenia, celem przygotowania obrony.

Instygator sprzeciwił się temu stanowczo, oświadczając, że w sprawach o zbrodnie stanu prawo nie dozwala na wydawanie aktów dowodowych osobom prywatnym: na to złożone one zostały w sądzie, w publicznéj instytucyi, aby je przeglądano i badano pu-

---

(1) Dyar. więk. k. 92.

(2) Dyar. więk. u s. — Gaz. de France, de Warsovie, 15 Decem. 1664.

(3) Dyar. więk. u. s.—T. Luk XII, k. 184. De Lumbres à Louis XIV. Varsovie, 11 Décembre 1664.

blicznie. Tém mniéj uważa on za potrzebne robić ustępstw i ułatwień stronie pozwanéj w tym wypadku, jako rozporządzającéj aż dwoma obrońcami.

Komisya sądowa orzekła po naradzie, że za szczególną łaską króla dopuszczeni zostaną obrońcy do rozpatrzenia dokumentów, ale muszą się z tém załatwić w lokalu urzędowym, a mianowicie w samejże kancelaryi królewskiéj. Wyznaczono zarazem na ten cel wedle zwyczaju prawnego trzy dni czasu (1).

(1) Proc. iud. str. 46 - 7. — T. Luk. XII, etc. u. s.

(d. n.) *Wiktor Czermak.*





TOWARZYSTWA POPIERANIA PRZEMYSŁU I HANDLU

WE FRANCYI.

W każdéj pracy przemysłowéj odróżnić można dwa odrębne momenty: pierwszy polega na samym procesie fabrykacyi; drugi — na wyszukaniu rynków zbytu dla wytworzonego towaru. Co raz to uciążliwsza walka o byt, wyrażająca się tutaj w gonitwie za klientem, zniewala producentów do grupowania się w towarzystwa wzajemnéj pomocy dla odnajdywania nowych ujść odbytu. Teoretycznym celem tych towarzystw jest, zapoznanie stowarzyszonych wytwórców z potrzebami spożywców bez współudziału komisantów, gdyż dziś wiele na tém zależy produkującemu, ażeby konsument otrzymywał jego towar, obarczony możliwie najmniejszemi kosztami sprzedaży. Z podanych jednak poniżéj szczegółów przekonamy się, że ów komisant, czując, iż grunt z pod nóg mu się usuwa, a łaknąc zawsze łatwego chleba pośrednictwa, umiał zapanować nad sytuacyą i przez swój współudział w rzeczonych towarzystwach nadał im charakter odnośnie do niego samego wprost przeciwny pierwotnemu ich założeniu.

W walce o klienta rozróżnialiśmy do niedawna dwa prądy: z jednéj strony staranie o doskonałość wyrobu, z drugiéj o jego taniość. Pierwszy z tych prądów uosabia się przez przemysł francuski—drugi jest hasłem przemysłu niemieckiego. Dzieje lat ostatnich wskazały nam, które hasło jest dziś bardziéj na czasie: gdy przemysł niemiecki wypierając powoli towar francuski z rynków niższéj cywilizacyi, zapanował samowładnie nad potrzebami mas—towar francuski widzi przed sobą coraz to zmniejszające się szeregi swych zwolenników. Demokratyczna zasada produkcyi niemieckiéj nie tylko że robi zwycięską konkurencyą towarowi francuskiemu na rynkach zagranicznych, ale nawet wypiera powoli ten towar z samych-że rynków francuskich!

Zaniepokojona opinia publiczna we Francyi znalazła echo w parlamencie. Sesya sejmowa w roku 1884 rozpoczęła się wyborem komisyi „czterdziestu czterech," mającéj na celu zapoznać ciała prawodawcze tego kraju z przyczyną przesilenia, jakie przechodzi jego przemysł. Powód nie był trudny do odnalezienia—wskazywała go statystyka: jest nim stopniowe zmniejszanie się zapotrzebowania na towar francuski, wynikające ze zbyt wygórowanych cen i niedostatecznego obznajmienia się wytwórców francuskich z wymaganiami rynku międzynarodowego.

Pomijam na razie środki zaradcze, jakie zaproponowała komisya „czterdziestu czterech" odnośnie do pierwszego punktu, to jest do ceny towaru, jako wykraczające po za zakres niniejszego artykułu. W kwestyi nas obchodzącéj komisya zażądała od rządu, by się zajął utworzeniem instytucyi, specyalnie obsługującéj potrzeby wytwórcy francuskiego w wyszukiwaniu rynków zbytu dla jego towaru. Natchniony przykładem narodów współzawodniczących z francuskim i przy czynnym współudziale izby handlowéj paryskiéj, oraz innych ciał kompetentnych, rząd w osobie ówczesnego ministra handlu, Herissona, dekretem z dnia 23 stycznia 1885 roku powołał do życia „Towarzystwo popierania francuskiego handlu wywozowego" (Société d'Encouragement pour le Commerce français d'Exportation). Równocześnie więc z powstawaniem u nas filii petersburskiego towarzystwa popierania przemysłu i handlu budził się analogiczny ruch w społeczeństwie francuskiém...

Nie należy jednak przez to rozumiéć, żeby przemysł francuski był pozbawiony po tę epokę podobnych urządzeń, ale wszystkie one miały przeważnie na celu proste informowanie producentów pozostawiając ich wyłącznie własnym silom, w korzystaniu z dostarczonych wskazówek, gdyż nie będąc instytucyami handlowemi, nie miały prawa zawierać umów handlowych, ani w swojém imieniu, ani w imieniu osób trzecich, a tém samém nie mogły pośredniczyć pomiędzy producentami a konsumentami.

W szeregu tych instytucyi pierwsze miejsce tak wiekiem, jak i zasługą należy się Towarzystwu popierania przemysłu krajowego (Société d'Encouragement pour l'industrie nationale). Towarzystwo to, założone w 1801 roku, cieszyło się przez cały czas istnienia poparciem ze strony rządu. W liście jego dobrodziejów figurują imiona Napoleona I-go, Karola X-go, Ludwika Filipa, Napoleona III i Thiersa. Instytucya ta ma na celu popieranie postępu we wszystkich gałęziach przemysłu francuskiego.

a) W tym celu naznacza nagrody pieniężne i wydaje medale wynalazcom;

b) dokonywa doświadczeń niezbędnych do ocenienia przedstawionych jéj wynalazków;

c) nagradza odznaczających się wychowańców szkół fachowych;

d) jeżeli tego zachodzi potrzeba, dopomaga wynalazcom w otrzymaniu patentu;

e) nagradza pieniężnie i wydaje specyalne medale robotnikom i kontrmetrom za wzorowe prowadzenie i odznaczenie się w pracy;

f) jeżeli wiek, albo pozycya towarzyska tego wymagają, przychodzi z pomocą pienieżną tym wynalazcom, których prace poprzednio przez towarzystwo za użyteczne były uznane;

g) wydaje miesięcznik redagowany przez sekretarzy towarzystwa, dający sprawozdanie z posiedzeń i decyzyi towarzystwa.

Członkowie towarzystwa wnoszą wkładkę 36 franków na rok; członkami dożywotnimi są wnoszący jednorazowo 500 franków; członkowie wieczyści wnoszą jednorazowo sumę 1000 franków—nazwiska tych ostatnich figurują na liście dobrodziejów towarzystwa.

Instytucya ta rozporządza dziś znacznym kapitałem, powstałym głównie z zapisów i donacyi. O funduszach i żywotności towarzystwa możemy sądzić z tego szczegółu, że w przewidywaniach na rok 1886 oprócz 12.000 franków wielkiéj nagrody towarzystwa, przyznawanéj co trzy lata za najbardziéj zasługujący na uwagę, z przedstawionych towarzystwu w ubiegłém trzyleciu wynalazek, figuruje jeszcze suma 70.000 franków, wpisana w budżecie wydatków na rok 1886 jako suma nagród za ogłoszone przez towarzystwo 40 konkursów (1).

W 1873 roku Towarzystwo Geograficzne przystąpiło do utworzenia sekcyi, poświęcającéj się specyalnie geografii handlowéj.

Sekcya ta przy czynnym współudziale 88 syndykatów paryskich szybko się rozwinęła i już w trzecim roku swego powstania liczyła tak wielką liczbę uczestników, że jéj założyciele wnieśli podanie do Dyrekcyi Towarzystwa Geograficznego o oddzielenie biur i zbiorów sekcyi handlowéj i utworzenie z niéj samodzielnéj instytucyi. Projekt ten został przychylnie przyjęty tak przez Towarzystwo Geogr., jak i przez syndykaty handlowe. Towarzystwo Geograficzne odzyskiwało przeto swobodę miejsca, gdyż dla dwóch towarzystw piękny pałac przy bulwarze Saint-Germain stał się za szczupły, a zarazem pozbawiało się kuli u nogi, gdyż dla téj instytucyi, mającéj na widoku przedewszystkiém cele naukowe, wszelkie zagadnienia handlowe muszą być obce. Handel zaś, reprezentowany przez syndy-

(1) Annuaire de la société d'Encouragement pour l'année 1885.

katy, otrzymywał nową instytucyą, obsługującą wyłącznie ego interesy.

Pamiętnik Towarzystwa Geograficznego Handlowego, wydany w roku 1883, jako w dziesięcioletnią rocznicę powstania téj instytucyi, wyraża się o jéj zadaniach w sposób następujący: „Towarzystwo Geograficzne Handlowe powstało z uznania potrzeby wyciągnięcia materyalnych korzyści z odkryć i badań (eksploracyi) dokonywanych, lub tylko publikowanych przez Towarzystwo Geograficzne, jak również z prac podróżników francuskich i zagranicznych. Instytucya ta ma na celu poprzéć usiłowania badaczy i dopomódz im do bezpośredniego znoszenia się z kupcami i przemysłowcami Francyi, zaznajamiać kraj ze sposobami wchodzenia w stosunki handlowe z zagranicą, wreszcie, dać impuls tak zrozumianéj nauce geografii handlowéj."

O celach i środkach towarzystwa pouczają nas jego statuty (1), które podaję w dosłownem tłómaczeniu.

Artykuł 1. *a*) Towarzystwo ma na celu popieranie przedsięwzięć przemysłowych francuskich na całéj kuli ziemskiéj;

b) rozpowszechnia wiadomości, wchodzące w zakres geografii handlowéj;

c) prowokuje (urządza?) i popiera takie podróże, które mają na celu otwarcie nowych rynków zbytu dla towaru francuskiego;

d) bada środki komunikacyi;

e) zaznajamia kraj z bogactwami naturalnemi ziem niedostatecznie znanych;

f) zajmuje się wszystkiemi kwestyami, odnoszącemi się do kolonizacyi i emigracyi;

g) prowadzi korespondencye i wchodzi w stosunki z instytucyami naukowemi, domami handlowemi i przemysłowemi: ale

h) nie wchodzi w żadne dyskusye nad przedmiotami wykraczającemi po za zakres czynności określonych statutami i nie uczestniczy w żadném przedsiębiorstwie.

Artykuł 2. Towarzystwo to składa się:

a) Z członków zwyczajnych, mających prawo głosowania.

b) Z członków korespondentów, mających głos doradczy.

Cudzoziemcy są przyjmowani na równi z krajowcami.

Artykuł 3. Ażeby zostać członkiem stowarzyszenia, trzeba być przyjętym przez ogólne zgromadzenie.

Artykuł 4. Członek zwyczajny towarzystwa wnosi składkę 12 franków na rok. Oprócz tego, za otrzymany dyplom na członka towarzystwa wnosi jednorazowo ośm franków.

(1) Société de Géographie Commerciale de Paris.—Statuts.

Artykuł 5. Członek korespondent nie płaci składki rocznéj, ale wnosi opłatę za dyplom.

Towarzystwo urządza każdomiesięcznie odczyt, na który rozsyła bilety wejścia członkom i wszystkim tym, którzy porobili zawczasu podanie o miejsce. Wejścia są bezpłatne; odczyty możliwie urozmaicone. Program ich składa się ze sprawozdania sekretarza z ruchu w świecie geografii handlowéj i z czynności miesięcznych towarzystwa; z krótkiego odczytu z teoryi handlu, albo ze sprawozdania z ruchu bibliograficznego francuskiego i zagranicznego, czy wreszcie z odczytania listu pisanego do towarzystwa przez którego z eksploratorów i z odczytu wypowiedzianego bądź przez którego z podróżników francuskich, bądź przez bawiącego chwilowo w Paryżu przedstawiciela jakiéj kolonii francuskiéj za granicą.

Oprócz posiedzeń miesięcznych są jeszcze posiedzenia tygodniowe. Towarzystwo posiada bardzo bogatą bibliotekę, składającą się z dzieł specyalnych, ale mogą z niéj korzystać jedynie członkowie towarzystwa. Towarzystwo ma również swój własny organ: *Bulletin de la Société de Géographie Commerciale de Paris.*

Mówiąc o usiłowaniach społeczeństwa francuskiego, mających na celu popieranie handlu i przemysłu krajowego, nie mogę nie wspomniéć choć pobieżnie o konsulatach. Zaszczyt utworzenia konsulatów jako instytucyi państwowych przypada całkowicie Francyi. Pierwszy Colbert w roku 1669 w swoim *Mémoire au Roi* podniósł myśl nadania godności urzędników państwowych kupcom, lub ich agentom, zamieszkującym odległe kraje Wschodu. W kilka lat potém dekret królewski ustalił na drodze prawnéj tę instytucyą, która posłużyła za wzór dla wszystkich innych narodów.

W sto lat potém zostały wprowadzone pierwsze zmiany, uznane przez praktykę za niezbędne. Tak zmodyfikowany kodeks służył interesom Francyi po rok 1833, w którym to roku ówczesny minister spraw zagranicznych, książe de Broglie, zastosował instytucyą konsulatu do nowych wymagań prawa cywilnego (1).

Konsul francuski jest urzędnikiem państwowym i prawo zabrania mu prowadzenia interesów na własny rachunek. Uprzywilejowana pozycya konsula wśród kolonii francuskich za granicą nadaje mu atrybucye, z których korzystając dla własnych widoków, mógłby zaniedbać interesy kraju. Tém się tłómaczy liczebna mniejszość konsulatów francuskich w obec cyfry konsulatów angielskich i niemieckich, w których to krajach rząd daje chętnie tytuł i prawa konsula

(1) Guide pratique des consulats. Clercq-Vallat.

każdemu poddanemu angielskiemu, lub niemieckiemu we wszystkich miejscowościach, gdzie utrzymywanie takiego urzędnika środkami wyłącznie państwowemi nie opłacałoby się.

Konsul francuski wówczas tylko ma prawo występować w imieniu osób trzecich, jeżeli na skutek prośby podanéj do ministra, ministeryum spraw zagranicznych poleci mu drogą urządową zająć się daną sprawą. Wszelkie bezpośrednie znoszenie się z konsulem pozostaje zawsze bez skutku. Komisya „czterdziestu czterech" zwróciła uwagę rządu francuskiego na brak zupełny artykułu prawa, regulującego współudział konsula francuskiego w ruchu handlowym nowoczesnym. Wobec ciągłego rozwoju międzynarodowych stosunków handlowych, obowiązki konsulów są dziś bardziéj złożone i czynią z konsulatów niemieckich, a po części i angielskich urzędowe źródła informacyi o stosunkach ekonomicznych danego kraju. Chcąc wyzyskać instytucyą, na któréj wzorowały się inne społeczeństwa, które jednak idąc za wymaganiami czasu, umiały wyciągnąć z kopii daleko wyższą korzyść, aniżeli Francya z własnego pomysłu, komisya „czterdziestu czterech" opracowała projekt izb handlowych za granicą. Miały się one tworzyć z członków kolonii francuskiéj danego miejsca, pod urzędowém przewodnictwem konsula, dla ochrony własnych interesów i dla utrzymania stałych stosunków z krajem. Izby handlowe zagranicą mogły by się stać nieoszacowanemi źródłami informacyi o potrzebach miejscowości, w których istnieją, ale czy to z braku inicyatywy, czy z innych jakich powodów, oprócz trzech miast w Europie i kilku miejscowości południowéj Ameryki inne konsulaty nie dały jeszcze znaku życia.

Jedynym dodatnim rezultatem ruchu, wywołanego przez komisyą „czterdziestu czterech," było baczniejsze zwrócenie uwagi na raporty konsulów drukowane w *Bulletin Consulaire français*, których treść poczęła prasa podawać do wiadomości ogółu i komentować starannie.

A teraz powróćmy do świeżo powołanego do życia „Towarzystwa popierania francuskiego handlu wywozowego," które, jak to już wspomnieliśmy na początku, ma zapełnić braki instytucyi dawniejszych pod względem praktycznego pośredniczenia pomiędzy przemysłowcami francuskimi, a kupcami i konsumentami zagranicznymi.

Towarzystwo to, równie jak wszystkie poprzednie, nie ma kapitału zakładowego. Kapitałem obrotowym towarzystwa są składki wnoszone przez członków. Oprócz tego osobny paragraf statutów upoważnia towarzystwo do przyjmowania wszelkich darów i zapisów, a na chlubę Francyi trzeba przyznać, że donacye stanowią bar-

dzo poważną rubrykę dochodu wszystkich towarzystw, mających na celu interesy wspólne społeczeństwa francuskiego. Członkowie zwyczajni towarzystwa popierania handlu wywozowego francuskiego wnoszą do kasy towarzystwa bądź sto franków rocznéj składki, bądź jednorazowo sumę tysiąca franków. W ostatnim wypadku mają prawo do tytułu członka założyciela. Oprócz tych dwóch kategoryi istnieją jeszcze członkowie nadzwyczajni, wnoszący nie mniéj od dwudziestu franków na rok. Towarzystwo to, istniejące zaledwie kilka miesięcy, nie publikowało jeszcze żadnego sprawozdania. Z samych zaś statutów trudno przesądzać o obecnym i przyszłym programie pracy towarzystwa, gdyż dodzisiejszy jego zakres działalności nie może stanowić całości zadania towarzystwa. Podług dzisiejszéj tymczasowéj ustawy, towarzystwo stawia sobie jeden tylko cel wyraźnie określony, a mianowicie: ułatwianie odpowiednio uzdolnionéj młodzieży francuskiéj, umieszczanie się w domach handlowych za granicą i w koloniach Francyi, ażeby przez to obznajmić przyszłe pokolenie kupców francuskich z obyczajami i wymaganiami rynków zagranicznych. W tym celu towarzystwo poleca ich swym korespondentom i przedstawicielom rządu francuskiego za granicą, a w razie potrzeby, udziela im zapomogi pieniężne, które korzystający z nich zobowiązują się zwrócić, gdy im na to środki pozwolą.

Towarzystwo, uważając powyższy program nie jako ostateczny cel, lecz jako jeden tylko ze środków dla dopięcia swych usiłowań nie przestało zajmować się rozszerzeniem zakresu swéj działalności. Z tego powodu izby handlowe, syndykaty przemysłowców i handlujących, jak również pojedyńczy publicyści-ekonomiści zarzucili towarzystwo radami i projektami, mającemi na celu ułatwić towarzystwu wybór środków dla doprowadzenia do skutku zadania, wskazanego w tytule towarzystwa.

W celu zbadania przedstawionych sobie projektów, towarzystwo wydelegowało z grona członków specyalną komisyą. Rezultatem pracy téj komisyi był raport, zdany na posiedzeniu z dnia 16-go maja i ze względu na ważność poruszanych kwestyi, opublikowany następnie kosztem towarzystwa (1). Zdający sprawę (2) w imieniu komisyi, dzieli na trzy działy przedstawione projekty.

Do pierwszego należą te, które z różnicą tylko szczegółów domagają się od towarzystwa urządzenia stałéj wystawy wyrobów ze wszystkich działów przemysłu francuskiego. Projekt ten, jak mó-

---

(1) Rapport au sujet de diverts projets de syndicats commerciaux et industriels en vue des affaires d'exportation. — (2) Julien Hayem.

wi raport, opiera się na powodzeniu, jakiém się cieszą muzea przemysłowe prowincyonalne, ale przewyższa je tém, że projekt ma na celu dobro ogólne przemysłu Francyi, gdy zadaniem muzeów przemysłowych jest popieranie przemysłu jednéj tylko prowincyi. Wreszcie projekt ten nie odznacza się nowością, gdyż jest kopią sztutgardzkiego *Musterlager*. Zdaniem raportu, użyteczność jego znacznie by się zwiększyła, gdyby takie wystawy mogły być urządzane za granicą w głównych punktach handlu międzynarodowego.

Drugi projekt wymaga od towarzystwa, by się zajęło utworzeniem biura komisowego, mającego na celu zaznajamianie przemysłowców z potrzebami rynków zagranicznych. W tym celu będą wysyłani odpowiednio uzdolnieni komiwojażerowie, opatrzeni w najbardziéj szczegółowe instrukcye nie tylko o kraju, który mają zwiedzić, ale i o kupcach, z którymi się mają znieść. Innemi słowy, projekt ten ma na celu wysełanie za granicę komiwojażerów na wspólny koszt wielu fabrykantów, ażeby przez to przyczynić się do rozszerzenia za granicą zbytu wyrobów fabrycznych francuskich, jakotéż przez zmniejszenie się wydatków ułatwić drobnéj produkcyi korzystanie z usług komiwojażerów. Projektowane więc biuro ma byc pośrednikiem między fabrykantem francuskim, a konsumentem zagranicznym. W tym celu biuro będzie komunikować fabrykantom zamówienia otrzymane przez komiwojażerów, którym nie będzie wolno znosić się z fabrykantem bez pośrednictwa biura. Towar będzie wysyłany na miejsce przeznaczenia staraniem biura. W wypadku zaś wyrażonego życzenia przez fabrykanta, ażeby mógł się znieść bezpośrednio z swym klientem zagranicznym, biuro ma prawo wymagać od niego kopii faktury, ażeby utrzymać rachunek należnego mu komisowego. Komisowe to ma być możliwie najniższe, a pobierane będzie jedynie na pokrycie kosztów utrzymania biura. Tym sposobem projektowana instytucya będzie wykonywać polecenia stowarzyszonych bez żadnego dla siebie zysku, a zmniejszone przez to koszta sprzedaży, zniżając cenę towaru francuskiego, uprzystępnią, według projektodawcy, jego nabycie nawet na takich rynkach, gdzie dotychczas wygórowana jego cena nie dozwala mu wytrzymać konkurencyi.

Trzeci wreszcie projekt celem swoim zbliża się do poprzedniego, ale różni się z nim w środkach. Autor tego projektu proponuje towarzystwu urządzić agencye zagranicą, które miałyby prawo nie tylko zawierać tranzakcye przy pomocy próbek, ale i sprzedawać bezpośrednio sam towar, trzymany w odpowiednio urządzonych magazynach. Chcący korzystać z usług rzeczonych agencyi, zobowiążą się do dostarczenia towaru najmniéj na sumę 30000 franków. Wy-

bór agencyi będzie pozostawiony właścicielowi, a towar będzie ulokowany w magazynie wskazanéj przez niego agencyi. Koszta sprzedaży mają wynosić 2% wartości towaru według oszacowania wysyłającego i 3% komisowego od sprzedanego towaru. Agenci towarzystwa będą zawierać umowy sprzedaży według normy, oznaczonéj przez wysyłającego fabrykanta i na jego wyłączne ryzyko. Rola towarzystwa ograniczać się będzie do ponoszenia ze wspólnego wszystkim stowarzyszonym funduszu kosztów na utrzymanie agencyi, kontrolowanie za pomocą buchalteryi operacyi agentów i wysyłania inspektorów dla rewidowania kasy i ksiąg agencyi. Towarzystwo, według projektodawcy, nie powinno prowadzić interesów na własny rachunek, a jeżeli okaże się jaki zysk w końcu roku, to ten winien być użyty na cel ogólny towarzystwa popierania handlu wywozowego. Agencye te będą administrowane przez oddzielną radę zarządzającą, składającą się w połowie ze stowarzyszonych, a w połowie ze znakomitszych członków izby handlowéj, syndykatów i innych ciał kompetentnych, a których współudział w zarządzie winien być bezpłatny.

Raport komisyi jest nieprzychylny projektowi. Zdaniem jego, nie może być mowy o tranzakcyach handlowych w stowarzyszeniu, które samo nie szuka żadnego zysku, ani nie chce być odpowiedzialném za straty ponoszone przez oddzielnych stowarzyszonych. Jakto! — mówi raport — stowarzyszeni mieliby wysyłać znaczne partye towaru agentom od nich niezależnym, a stanowiącym część składową towarzystwa, którego pomyślność nie zależy od interesów robionych przez pojedyńczych stowarzyszonych! Z punktu widzenia ściśle kupieckiego, czyż może zawierzyć stowarzyszony 30000 franków towaru agentowi towarzystwa, które ma być administrowane przez ludzi, nie uczestniczących w jego przedsiębiorstwie? Projekt ten — kończy raport — może się podobać teoretykom, ale ludzie praktyki w imię aksyomatu handlowego: *là où il n'y a pas d'intéret, il n'y a pas d'action* (1), podobny projekt muszą uważać za utopią. Przyznawszy następnie, że łatwiéj jest krytykować i burzyć aniżeli samemu co stworzyć, przechodzi raport komisyi do własnych uwag nad rolą, jaką powinno jego zdaniem odegrać towarzystwo popierania handlu wywozowego francuskiego w obec kwestyi podniesionych przez jego korespondentów.

Przedewszystkiém zapytuje się, kto powinien zająć się organizacyą, czy to stałych wystaw przemysłu francuskiego, czy spółek w celu wysyłania komiwojażerów na koszt wspólny, czy wreszcie

(1) Gdzie niema zysku — niema działalności.

agencyi zagranicznych? A na to odpowiada, że to nie przemysłowcy-fabrykanci. ale kupcy-komisanci powinni się zająć wcieleniem tych projektów, gdyż ci ostatni z saméj natury swego zajęcia są odpowiednio przygotowani, by rozwinąć tę myśl i dać projektowi znaczenie praktyczne.

Według sprawozdania komisyi, fabrykant winien mieć jedynie na uwadze udoskonalanie wyrobu i możliwie najtańsze jego produkowanie a pozostawić staraniom komisanta wyszukanie zbytu dla wytworzonego towaru (1). Interes fabrykanta jest ściśle związany z interesem komisanta, a potrzebując wzajemnych usług, mogą i powinni oni się zgodzić. Jeżeli chodzi o kraj i rynek dostatecznie znany, komisant daje fabrykantowi klienta i ułatwia mu stosunki kredytowe. Jeżeli chodzi o rynek, gdzie towar danego kraju nie jest jeszcze znany, komisant ponosi nieraz bardzo poważne wydatki na swoje ryzyko, a w celu wspólnego z fabrykantem zarobku. Potrzeba więc, by komisanci, zrozumiawszy swój własny interes, umieli ująć w rękę ster ruchu, mający na celu dać przemysłowi francuskiemu nowe rynki zbytu. Jeżeli komisanci potrafią pokierować tym ruchem, a raport wyraża nadzieję, że społeczeństwo francuskie pozostawi swobodę działania ich korporacyi w téj palącéj dla ogółu francuskiego kwestyi, to oni sami głównie na tém zarobią.

Odnośnie do roli towarzystwa wobec usiłowań społeczeństwa francuskiego w celu rozszerzenia rynków zbytu dla wyrobu francuskiego, raport komisyi jest zdania, że towarzystwo nie powinno uczestniczyć bezpośrednio w żadném przedsięwzięciu. Współudział towarzystwa winien ograniczać się do roli protektora, nie ryzykującego własnych środków. Za najskuteczniejszy środek dla osiągnięcia zamierzonego celu podaje raport spółki komisantów (2), pośredniczących w handlu jednym i tym samym towarem, a łączących się w celu równomiernego podziału kosztów. Inicyatywę urządzenia rzeczonych spółek winno wziąć na siebie towarzystwo. Raport komisyi radzi mu zwrócić się początkowo do wielkich domów handlowych Paryża i miast portowych Francyi i, zgrupowawszy je odnośnie do ich specyalności w spółki, złożone z 10, 15 lub 20 domów handlowych, ułatwiać im zadanie pracy informacyami, jako też wszelkiemi innemi środkami, leżącemi w możności towarzystwa. Współudział wielu interesowanych zmniejszy proporcyonalnie koszta

(1) Dla jaśniejszego zrozumienia rzeczy dodaję, że większość członków towarzystwa składa się z kupców-komisantów. Działo się to więc w familii.

(2) Syndicats libres d'exportation.

pojedyńczych członków, a w razie udania się projektu, za przykładem większych domów pójdą ich śladem domy drugorzędne. W przeciągu względnie niedługiego czasu Francya zostanie pokrytą siecią takich spółek, szukających gorliwie konsumentów na całéj powierzchni kuli ziemskiéj. Tym sposobem—opiewa raport komisyi—zamiast oczekiwać nabywcy za kantorem, kupiec francuski będzie go szukać w jego własnym domu, a ze współzawodnikami zagranicznymi walczyć wyższością wyrobu.

Józef Winnicki.





DEBIUTY NOWELISTÓW.

III.

Wila Zyndram Kościałkowska: W zmroku. Warsz. 1885.—Gabryela Snieżko-Zapolska: Akwarelle. Warsz. 1885. — Helena Obertyńska: Co lepiéj. Warsz. 1885. — Wanda z Dowgiałłów Trzcińska: Jurek. Krak. 1885.—Włodzimierz Zagórski: Pamiętniki starego parasola. Lwów 1884; Wilcze plemię. Warsz. 1885.—Wincenty Rapacki: Grzechy królewskie. Warsz. 1885.—Michał Wołowski: Cyganiątko; Jasne i ciemne obrazki. Warsz. 1885. — Ant. Józ. Sęk: Sługa boży, Bawmy się w żołnierzy, Franek Żołnierzak. Kraków, 1885.

Gdybyśmy mogli wierzyć zdaniu naszych dziennikarskich krytyków, toby nam w ostatnim roku przybyło aż dwie realistki czy téż dwoje realistów w powieściopisarstwie. Na rozmaite tony i w różnorodnym nastroju wołano: „Małaszka“ to utwór naturalistyczny! „Jurek“ to wcielony realizm! Określnikami temi w rozmaitych kombinacyach szafowano tak obficie, że kto się nie chciał na zarzut nieświadomości w rzeczach sztuki narazić, musiał potakiwać....

A jednak, jeśli się zważy, z jakich to motywów wypłynął sąd tych śmiało wyrokujących krytyków, na jakich to scenach oparli go oni; to się dopiero przyjdzie zdumiewać nad płytkością myśli i nad ignorancyą wyrokodawców. Ci panowie jak tylko zobaczą nagie ciało, jak tylko posłyszą grubsze wyrazy, jak tylko odczytają sceny jaskrawsze czy brutalniejsze, nie pytają się wcale, czy to ciało jest malowane z natury, czy wyrazy odpowiadają usposobieniu, stopniowi ukształcenia i danéj sytuacyi, czy te sceny wypływają nieodwołalnie z zetknięcia się takich a takich osób w pewnym określonym czasie i miejscu, a więc przy takich lub innych warunkach nastroju, zwikłania interesów, uczuć i t. d.; dla nich wystarcza zupełnie nagość, grubiaństwo, jaskrawość i brutalność, ażeby wydać okrzyk: realizm!—mniejsza o to, czy w znaczeniu pochwalném czy potępiającém.... Im ani na myśl zapewne nie przychodzi, że można być rea-

listą w sztuce, nie użyć ani razu brutalnego słowa, nie namalować ani razu pornograficznéj sytuacyi, nie podrażnić widokiem wstrętnych przedmiotów — oczywiście jeżeli tego charakter osób obranych lub wątek obrabiany nie wymagają. I naodwrót nie pomyślą, że można gromadzić sceny pełne jarmarcznego wrzasku, nieubranych kobiet, nagich łon, błota i śmieci, a pomimo to tkwić raczéj w przestarzałym melodramatyzmie niż kroczyć po drogach prawdziwego, istotnego realizmu. W sprawie bowiem metody tworzenia, nie o to idzie, co się przedstawia, ale w jaki sposób, czy zgodnie z prawdą charakterów, miejsca, czasu i wszystkich tych okoliczności, które na formy uzewnętrznienia uczuć, myśli i ruchów człowieka wpływają — czy też nie.

Do takiéj powierzchowności i niedołęstwa zeszła nasza dziennikarska krytyka, że ten przegląd nowych debiutów powieściopisarskich poprzedzić musiałem przypomnieniem najprostszych i najgrubszych rysów metody realistycznéj, ażeby w następującym tu rozbiorze nie zatrzymywać się nad zbijaniem zapatrywań, które krytyka owa rozpowszechniła.

Przyrost sił nowelistycznych nie jest wielki i nie przedstawia żadnego talentu wielkiego; niektórzy nawet z debiutantów nie owładnęli jeszcze stylem i językiem w tym stopniu, ażeby do liczby poprawnych pisarzów policzeni być mogli. Pewna powszedniość a niekiedy jałowość pomysłów przykrém przejmuje uczuciem, brak studyów z natury, a natomiast posługiwanie się tém, co się słyszało lub czytało, czyli innemi słowy zależność od sposobu widzenia i sądzenia innych zbyt często się napotyka, ażebyśmy mogli zaznaczyć radośnie istotny rozwój naszego powieściopisarstwa. Jednakże, nie można znów grzeszyć zbytecznem czarnowidztwem. Pomysły, jeżeli ogółem biorąc nie posiadają zalety oryginalności, to nie są po większéj części pozbawione zacnych i rozumnych dążności, a w ich wykonaniu znać staranie o zadosyć uczynienie głównym wymaganiom prawdopodobieństwa, rozsądku i gramatyki. Niewątpliwie, pochwała to bardzo skromna; nikogo uczuciem dumy przejąć nie może; ale gdy zważymy, że mogłaby być mowa o bezmyślności, przewrotności i nieudolności, to należy i taką się zadowolnić.

Największym zapasem obserwacyi wyróżnia się z pomiędzy przeszłorocznych debiutantów i debiutantek Wila Zyndram Kościałkowska. Nazwisko jéj nie obcém jest czytelnikom *Ateneum*, którzy mieli sposobność zapoznania się z jéj studyum o Ignacym Chodźce. Umysł to jasny, lubiący przeważnie zastanawiać się nad smutnemi lub bolesnemi stronami życia towarzyskiego, rodzinnego lub społecznego wogóle, w spostrzeżeniach swoich rządzi się przeważnie

rozsądkiem, który pragnie zbadać nie tylko samo zjawisko, ale i jego przyczyny zarówno bliższe jak dalsze, a stąd umysł ten chętniéj przebywa w dziedzinie refleksyi, aniżeli w sferze plastycznego obrazowania. Styl jéj jest staranny, a nawet wykwintny, unikający wyrażeń powszednich, ale zarazem stroniący od tych, które poprostu wypowiadają myśl lub uczucie, które bezpośrednio określają znaczenie, wartość czy cechę znamienną ludzi i przedmiotów; stąd wydaje się niejednokrotnie wyszukanym, naciąganym, a przy powtarzaniu jednakowego sposobu tworzenia frazesów — manierowanym. Siły, coby porwała z sobą, blasku, coby aż oślepiał, nie szukajmy w jéj pismach, ale rozumne spostrzeżenia znajdziemy tam nieraz, a uczucia szlachetne, spółczuciem dla biednych i nieszczęśliwych, pogardą dla nikczemnych uwydatniają się wszędzie. Tryb tworzenia przyswoiła sobie *przedmiotowy* i szczęśliwie, prawie bez zarzutu umie się nim posługiwać. Jako autorka, nigdzie nie występuje sama od siebie z temi nieznośnemi już dzisiaj tyradami, co na podobieństwo parabazy w komedyi starogreckiéj mają tłómaczyć naiwnym czy niedomyślnym czytelnikom, jak sam twórca zapatruje się na swoje twory, na osoby przez siebie przedstawione, na wypadki do artystycznego życia powołane. Unika też tych niezręcznych wiązadeł wypadków, zapowiadając, że oto przenosimy się tam i tam, mamy uczestniczyć w takich a takich rozmowach lub zdarzeniach. Ta właściwość bardzo już podstarzałéj metody powieściopisarskiéj, właściwość, którą z przeszłorocznych debiutantek najwięcéj grzeszy p Helena Obertyńska, została przez p. Kościałkowską zarzucona zupełnie. Autorka woli, żeby same przez nią stworzone osoby przemawiały za siebie, żeby się określały swojemi czynami, słowami, myślami i uczuciami, żeby wypadki i ich widownie przesuwały się przed oczyma wyobraźni czytelnika upowodowane tkwiącą w nich samych przyczynowością. Gdy taki tryb tworzenia umiejętnie jest utrzymany, doznajemy artystycznego złudzenia, iż istotnie patrzymy na osoby, rzeczy i zjawiska, iż przysłuchujemy się ich mowie bezpośrednio, nie zaś za pośrednictwem autora.

Dwa są oddziały opowiadań i obrazków zawartych w zbiorku p. Kościałkowskiéj, zatytułowanym „W półcieniu"; najprzód opowiadania lekarza, a powtóre szkice i nowele już w formie zupełnie przedmiotowo-bezosobowéj skreślone.

W pierwszych osoba opowiadająca warunkuje nie tylko formę relacyi, ale zarazem i treść jéj; lekarz, lubo styka się z najróżniejszemi położeniami, przeważnie wszakże przebywa przy łóżku chorych; stąd i te 4 obrazki, których wątek poznajemy z ust jego, zapełnione są chorobami wszelkiego rodzaju a przedewszystkiém kaszlem. Za-

czynając od „Anielki“, córki pijaka-hecarza, która udawaniem królowéj Saby zabawiać musi publiczność małego miasteczka, podczas gdy jéj braciszek zasłabł śmiertelnie po łamanych sztukach i umiera, aż do „Zgranego“, który pomimo lepszych popędów w duszy zmarnował życie lekkomyślnie w najpospolitszych zabawach i rozrywkach, widzimy tu chorych fizycznie i moralnie, dogorywających z resztkami sił żywotnych i ze strzępkami sumienia. Są-to studya patologiczne dokonywane wprawdzie nie na chłodno, bo z udziałem mniejszéj lub większéj dawki uczuciowości, ale z tym względnym spokojem, jaki wytwarza się w człowieku, który wiele nieszczęść w życiu już obserwował i przebył i który wié, że bóle jednostek przedstawiane przez niego są tylko drobną kropelką w olbrzymiém morzu cierpień ogólnych. Studya te,ześrodkowane około łoża boleści, faktycznie mały bardzo zakres spostrzeżeń obejmują, ale myślowo otwierają dalekie widnokręgi dla tych, co z faktów pojedyńczych umieją snuć wątek rozmyślań zagarniających całe ich grupy. Jednostajność— nie przedmiotów i stosunków — ale nastroju, w którym one są oglądane, nuży tu umysł w wielu miejscach, przeciwną jest więc zamiarowi artystycznemu, lecz rozwadze materyał do rozmyślania poddaje zawsze.

Zaprawiwszy styl swój na „opowiadaniach lekarza“, p. Kościałkowska niełatwo go się pozbywała w tych nowelach i obrazkach, które już sama od siebie przedmiotowo czytelnikom przedstawiała. Ten sam szary koloryt, taż staranność o wykwintne wysłowienie, taż dbałość o zaokrąglenie okresów — a w dodatku i też smutne obrazy złamanego życia, zawiedzionych nadziei. W opowiadaniu zatytułowaném: „Rozeszli się“ są dzieje dwojga dusz jakby dla siebie stworzonych, które dlatego tylko w czasie właściwym nie znalazły siebie, iż jedna miała pozory arystokratyczno-próżniaczego życia, a druga w pracy powszedniéj, ciężkiéj, ustawicznéj widziała konieczność naszéj ziemskiéj pielgrzymki. Znalazły się te dusze dopiero późniéj, gdy jedna z nich już obowiązki rodzinne na siebie przyjęła. Romantyczne pojęcie znaczenia miłości i romantycznie przedstawiona kolizya, stanowią pewien dysonans w ogólnym nastroju poglądów autorki. W „Strofie prozą“ są odmalowane marzenia schorowanego o przyjaźni między kobietą a mężczyzną, rozwiane naturalném lgnięciem najszlachetniejszéj nawet niewiasty do zdrowia i dzielności. W „Elegii“ raz jeden widzimy błysk sarkazmu ponurego. Umarła kobieta, czczona i kochana. Znękany małżonek zbliża się do zmarłéj, ażeby zdjąć medalion, w którym zwykle nosiła jego portrecik. Ręka jego spotyka tu rękę przyjaciela, który oświadcza, że tam już od miesiąca inny, *jego* portret się znajduje. Medalion ma przejść

w posiadanie tego, czyj portret się znajdzie: odmykają go, znajdują portret nie męża, nie przyjaciela, lecz młodego lekarza, który chorą w ostatnich tygodniach leczył.... Niespodziane to nawet dla czytelnika odkrycie nie budzi uśmiechu, lecz zgrzyt zębów.

Dwa obrazki poświęciła p. Kościałkowska losom zwierząt: psa („Kruczek“) i konia („Wietrzyk“). Miała w tym rodzaju świetnego poprzednika w p. Dygasińskim, ale nie poszła za jego przykładem; wolała brać wzory z dawniejszych prób w tym kierunku. Wiele tu jest wprawdzie trafnych spostrzeżeń, wiele scenek wprost z obserwacyi wziętych, a więc prawdziwych, ale też wiele zupełnie podmiotowych i przypadkowych uwag, zależnych od chwilowego usposobienia autorki, zwłaszcza w motywowaniu i tłómaczeniu nietylko czynności, ale uczuć i myśli zwierząt. Wskutek takiego traktowania życia umysłowego zwierząt zakradło się dużo sentymentalności do tych obrazków, tém bardziéj, że p. Kościałkowska nie samo tylko odtworzenie smutnego losu wybranych przez siebie zwierząt miała na widoku, lecz także, podobnie jak w bajce, zastosowanie go do losu wielu rodzin, które w tych samych czasach i w tych samych okolicach żyły co i Kruczek lub Wietrzyk. Zdaniem mojém, było to rzeczą zbyteczną; samo życie zwierząt może zainteresować ludzi, choćby bez żadnych do życia ludzkiego aluzyj.

I p. Gabryela Śnieżko-Zapolska lubuje się w obrazkach smutków, rozczarowań, zawodów i bólów, ale czyni to z ożywieniem i brawurą słowa, mało dbając o poprawność i wykwintność, byleby tylko pewny stopień dosadności zdobyła. Choć temata przez nią poruszane, wszystkie prawie bez wyjątku kręcą się w odwiecznéj sferze miłości, choć autorka nie ma właściwie nic nowego do powiedzenia w tym względzie, choć powtarza myśli i sytuacye niemal oklepane; czyni to jednak za pośrednictwem tak urozmaiconéj formy, że zwykły czytelnik nie uczuwa nawet jednostajności i nie spostrzega oklepanek. A nie tylko zwykły czytelnik, lecz także i krytycy, którzy nie zadają sobie pracy namysłu, ulegli temu urokowi obfitéj frazeologii, napozór świeżéj, bo ciągle się zmieniającéj. Co więcéj, okrzyknęli autorkę za „naturalistkę“, torującą jakoby nowe, nieznane dotychczas u nas drogi nowelistyce. Powód ku temu dała mianowicie powieść z życia ludu rusińskiego p. n. „Małaszka“. Ile jest prawdy, a raczéj nieprawdy w takiém orzeczeniu, łatwo się przekonać z zarysu treści i z kilku szczegółów okrzyczanéj powiastki.

Ładna dziewucha wiejska, tęga i zdrowa, od najwcześniejszéj młodości wzdychała do bogatych strojów, lubowała się w rozmyślaniach o cudnym pałacu, o pięknym, bladym paniczu. Zalotna i zaczepna, zmysłowa i przebiegła, dość wcześnie wyszła za mąż, ażeby

mogła być już poprzednio łupem chuci lubieżnych, ale właśnie po zamążpójściu rozwija się w niéj popęd próżności i szczególnego łaknienia uścisku panicza. Mąż jéj tęskny grajek—stangret u bogatych hrabstwa, kochający zapamiętale obojętną dla siebie żonę, jest dla Małaszki tylko środkiem zbliżenia się do pałacu, patrzenia na panicza i ciągnięcia go od suchotniczéj narzeczonéj do siebie. Doczekawszy się zaspokojenia żądzy spoczęcia w objęciach tużurkowego panicza, kiedy ten się ożenił, Małaszka potrafiła się dostać na mamkę do jego domu, a strojona i ochraniana, kokieteryą prostą, ale niemniéj ze względu na zepsuty gust hrabiego skuteczną, zmusza go do zgięcia przed nią kolana — na chwilę. Ale to, co było u lekkomyślnego pana domu, mającego żonę chorowitą, chwilową zachcianką tylko, o któréj łatwo mu było zapomniéć, u Małaszki zamieniło się na pewną swojego czaru namiętność. Razu pewnego idąc na schadzkę, wlała w usta dziecka sporo wódki, ażeby spało; na schadzkę jednak pan nie przybył; dziecko umarło, Małaszkę wypędzono. Gdy przybyła do chaty, zastała owego tęsknego grajka, męża swego, obłąkanym; zdawało mu się, że zmarłe jego dziecko wciąż jeszcze żyje; krzątał się koło niego, śpiewał mu, prał pieluszki i t. d. Gdy się chata zapaliła, a w niéj gorzał ten biedny obłąkany, Małaszka wbiegła do izby—nie dla ratowania męża, ale po jedwabną spódnicę, pamiątkę lepszych czasów; nie wyszła już stamtąd, w izbie znaleziono dwa zwęglone trupy.

Te zgruba tu podane zarysy treści nie mają w sobie nic nieprawdopodobnego; przedstawiają one charakter i wypadki a raczéj nagromadzenie wypadków dość wyjątkowe, ale możliwe, a więc i przez powieściopisarza na uwzględnienie zasługujące. Gdyby te zarysy wypełnione były w sposób prawdziwie realistyczny, mogłaby „Małaszka“ przedstawiać nawet pewien żywszy interes psychologiczny. U p. Zapolskiéj wszakże wykonanie świadczy, iż autorka nie obserwowała sama charakterów, które przedstawiła, ani wypadków, które opowiedziała; tak dalece nie umie odpowiednio upowodować postępowania jednych a rozwoju drugich; czytelnik musi autorce wierzyć na słowo, że tak było, ale w samém opowiadaniu nie znajduje dostatecznych motywów, coby go zmusiły do przekonania, że tak a nie inaczéj odbyć się musiało. P. Zapolska najpewniéj słyszała tylko od kogoś o losach Małaszki, a kontury rzeczy zasłyszanych dopełniła własną wyobraźnią, przejętą najróżnorodniejszemi pomysłami czytanemi w romansach. Najbardziéj przekonywającym dowodem, świadczącym przeciw przypuszczeniu własnéj obserwacyi opowiedzianych przez p. Zapolską zdarzeń, jest ten język niby rusiński, w którym kilka wyrażeń i urywek z pieśni we-

selnéj podaje. Gdyby autorka z własnéj, dłuższéj obserwacyi znała życie rusińskie, nie byłaby tak krzyczącego popełniła błędu, żeby wyrażenia i pieśni wielkorosyjskie podawała jako typowe wśród Rusinów. Tylko mała albo żadna znajomość mowy rusińskiéj wśród naszych literatów sprawiła, że wyjątkowo jedynie recenzenci zwrócili uwagę na tę niedorzeczność, nie umiejąc ocenić doniosłości, jaką ona ma ze względu na ocenę właściwych cech twórczości p. Zapolskiéj. Już ta nieznajomość języka, którym bohaterka p. Zapolskiéj mówiła, dostateczną-by była do stanowczego odrzucenia nazwy „naturalistki," za jaką autorkę podano.

Atoli nie brak i innych powodów do nienarzucania p. Zapolskiéj metody, któréj wcale nie zna. Opisywanie scen lubieżnych i nagich nie jest jeszcze kwalifikacyą na zwolennika naturalizmu. Autorka „Małaszki" nie tylko realistką nie jest, ale owszem bardzo często okazuje skłonność do melodramatu. Czémże bowiem jest, jeżeli nie sceną melodramatyczną, przez setki romansopisarzy nader staréj szkoły aż do ośmieszenia wyzyskiwaną, opowiadanie o „figurze," na któréj twarz Chrystusa przybiera rozmaite wyrazy stosownie do żądania autorki? (str. 204, 205). Czémże, jeżeli nie wyjątkiem z melodramatycznéj powieści, jest ustęp taki: „W listopadzie podobno anioł śmierci schodzi na ziemię i zabiera z sobą dusze biednych suchotników, którzy drżą, kaszląc za zbliżeniem się wilgotnéj szaréj sukni anioła... Niektóre dusze pozostają jeszcze w tych wątłych zniszczonych ciałach do przyszłéj jesieni. Mroźny anioł sądzi, że nie dość cierpiały, a może daje się ubłagać kochającéj matce lub łzom narzeczonego" itd. (str. 211). Czémże jest jeżeli nie zużytym melodramatycznym frazesem zdanie: „Kołyska ta była straszna swą próżnią, *czerniła* się wśród téj izby, jak wyrzut sumienia *pośród ciemnéj nocy*" (str. 282). Wystarczy chyba tych próbek, ażeby okazać, jak daleką jest p. Zapolska nie tylko od naturalizmu, ale nawet wprost od jasnego, trzeźwego sposobu przedstawiania scen wziętych z obserwacyi lub téż wypowiadania myśli. Autorka „Małaszki" czytała widać dużo powieści i romansów bez żadnego wyboru i bez żadnéj rozwagi krytycznéj; w żywéj wyobraźni utkwiło wiele pierwiastków powieściopisarskich najsprzeczniejszych nieraz z sobą; a ta właściwość umysłu odbić się oczywiście musiała i w jéj utworach. Jest w nich podostatkiem frazesów, sporo myśli już dobrze przeżutych a obserwacyi—bardzo mało.

Oprócz „Małaszki" jedna jest tylko powiastka właściwa w zbiorku p. n. „Akwarelle"; podobno pierwsza-to chronologicznie praca p. Zapolskiéj: „Jeden dzień z życia róży." Opowiada tu autorka jak kochanka z dworku szlacheckiego, poczciwa, serdeczna, naiwna dała

odjeżdżającemu narzeczonemu, birbantowi szukającemu posagu, różę, by tenże patrząc na nią, myślał o lubéj przez czas nieobecności; jak następnie różę tę birbant rzucił na balkon marzącéj o nim, zdenerwowanéj, słabowitéj księżniczki, którą gwoli pieniędzy wydano za wstrętnego jéj bankiera, jak daléj bankier też różę pochwyciwszy i włożywszy w jéj zwoje kolczyki brylantowe, zaniósł swojéj cyrkówce i jak ją od téjże cyrkówki odebrał birbant i wpiąwszy w „butonierę“ wrócił do stęsknionéj szlachcianeczki, nie domyślającéj się wcale wędrówek kwiatu przez siebie na znak miłości darowanego lubemu. Chociaż pomysł ten nie odznaczał się świeżością, jako pierwsza próbka talentu zasługiwał i zasługuje na pochlebne uznanie.

Inne utwory są-to właściwie rozmyślania nowelistyczne, wyglądające jak ćwiczenia na zadany temat, gdyż właściwością ich najwydatniejszą jest amplifikacya; co dałoby się zawrzéć w kilku czy kilkunastu zwięzłych zdaniach, to obrobione tu na kilku lub kilkunastu stronicach. Takiém jest „studyum“ p. n. „On“ (tj. mężczyzna), takiemi gadaninki: p. n. „Nakoniec sami“, „Moja mała,“ „Kocham cię.“ Obrazków z życia potocznego, wykonanych słabo, ale mających tę przynajmniéj zaletę, iż budzą spółczucie dla klas pracujących, upośledzonych, jest dwa: „Pierwszy pocałunek“ i „Bukiet kamelii.“ Bardzo już często nadużyty motyw o dziecku, które opuszczone przez matkę lubiącą zabawę, łzą powstrzymuje ją od upadku moralnego, znajdujemy w opowiadaniu p. n. „Łza.“ Nakoniec dość zręcznie napisaną satyrą i to satyrą na kobiety i na czczość marzeń ludzkich jest rozmyślanie p. n. „Gdybyś ożyła.“ Artysta tak się pokochał w posągu kobiety, dziele rzeźby greckiéj, nabytém za drogie bo ciężko zarobione pieniądze, że w chwili rozmarzenia zapragnął, iżby posąg ten ożył, gdyż zdawało mu się, że ta kobieta z marmuru będzie prawdziwym ideałem piękna i rozumu, wolnym od tych skaz próżności, jakiemi zeszpecone są kobiety spółczesne. I oto posąg zstępuje ze swego piedestału, przemawia głosem ludzkim, ale zarazem od pierwszego słowa zdradza, we właściwy stosunkom starogreckim sposób ujęte, życzenia dotyczące się uczesania, ubioru, wygód mieszkania, zabaw i rozrywek; obłuda widniała dla bystrego oka z najczulszych nawet zapewnień o przywiązaniu i miłości. Artysta jak szalony rzucił się na stojącą przed nim kobietę, chwycił ją za chłodne ramiona, obalił na ziemię, przygniótł pierś kolanem ręką szukając gardła, aby „kurczowym“ ruchem wypędzić z ciała życie, które go zabijało... Wtém przebudził się; w mroczném półświetle stał jak dawniéj biały posąg greckiéj dziewczyny, jaśniejący czystością linij wśród zieleni kwiatów. Przerażony jeszcze snem strasznym, błagalnie złożył ręce i wyszeptał prośbę: „Nie budź się! śpij, jedyna!“

Język p. Zapolskiéj jest wogóle dość poprawny, ale niewolny bynajmniéj tu i owdzie od rażących błędów, zwłaszcza w użyciu słów czynnych z przeczeniem, po których kładzie biernik zamiast dopełniacza, oraz w zastosowaniu wyrazu bezokolicznego czasowników; pisze np. śmierć *zdała się zakląć* tysiące obietnic i przysiąg... (zamiast zdawało się, że zaklęła).

Pod względem językowym jeszcze więcéj poprawek wymagałaby powiastka p. Heleny Obertyńskiéj p. n. „Co lepiéj," w bardzo wielu miejscach rusycyzmami zeszpecona. A szkoda, bo jakkolwiek autorce nie można jeszcze obecnie przyznać talentu powieściopisarskiego, książka jéj jednak jako utwór publicystyczny zasługuje na polecenie rozwadze jak największéj liczby czytelników. P. Obertyńska w formie powieściowéj roztrząsa pytanie: co lepiéj, czy wychowywać córki według przestarzałéj rutyny kształcąc w nich t. z. talenta towarzyskie, ażeby następnie nie mając co robić z nudów tonęły w zabawach światowych, zatracały poczucie moralne i obywatelskie, czy też kształcić je w naukach specyalnych, ażeby zawsze i w każdém położeniu mogły znaleźć najprzód zajęcie dla umysłu a powtóre zatrudnienie pożyteczne dla najbliższych i dla ogółu. Jako zwolenniczka postępowego poglądu na zadanie kobiety w społeczeństwie, p. Obertyńska rozstrzyga pytanie to w toku opowiadania oczywiście na stronę swéj bohaterki, wykwalifikowanéj w Bernie doktorki medycyny. Ażeby jaknajskuteczniéj przeciwdziałać uprzedzeniom większości względem kobiet, pragnących pozyskać wykształcenie specyalne, autorka wystawia naturalnie nader ujmująco zarówno charakter Lucyny, jak czas jéj studyów i postępowanie jéj po powrocie do domu. Nie wyróżnia się ona od otaczających żadną ekscentrycznością, ani zaniedbanym ubiorem, ani dziwacznemi nałogami, ani stronieniem od zabaw, ani zarozumiałością wobec mniéj ukształconych. Stara się natomiast wykazać na każdym kroku pożyteczność zdobytéj wiedzy przez leczenie chorych, założenie szpitala wiejskiego a wreszcie i szkoły. Moralności przestrzega jaknajściśléj już to z powodu wdrożenia zasad etycznych w postępowanie codzienne już to ze względu, iż najmniejsze uchybienie względem przyjętych zwyczajów zagroziłoby powodzeniu idei, któréj jest przedstawicielką. Tak nakreślona postać ma wszelkie cechy osobistości nie wziętéj z obserwacyi, lecz idealnie wymarzonéj, a to tém bardziéj że Lucynie powodzi się we wszystkiém. Jednakże pomimo niezaprzeczonego charakteru dydaktyczności, jaki autorka nadała utworowi swoemu, niepodobna twierdzić, iżby bohaterka była papierową jedynie doskonałością; a wrażenie pewnego stopnia rzeczywistości, jaki się wynosi z przeczytania książki, wywołała p. Obertyńska głównie tém.

że bohaterkę swoję umieściła wśród otoczenia, które z natury swojéj nie mogło wywoływać strasznie mądrych i długich dyskusyj, lecz wymagało krótkich, jasno sformułowanych i poprostu wypowiedzianych zdań i uwag. To uwzględnienie strony praktycznéj w życiu jednostki, która się wykształceniem wyniosła ponad poziom powszedniości, jest niewątpliwą zaletą książki ze stanowiska artystycznego a jeszcze bardziéj—publicystycznego. Lucyna nic a nic nie pozuje, a zapatrywanie swe na znaczenie nauki dla kobiet streszcza w słowach jasnych i mogących być najlepiéj zrozumianemi przez ludzi praktycznych: „Co tracę na uniwersyteckim dyplomie? Trochę czasu skradzionego strojom i rozrywkom na rzecz nauki. Nauka zato zrobi mię miłą towarzyszką wykształconego człowieka, którego obiorę za męża; oszczędzi wstydu przed dzieckiem zadającém poważne naukowe pytanie; w razie, gdyby mi nędza wypowiedziała walkę, stanie się bronią w méj ręce, wreszcie dostarczy mi rozrywki podczas chwil wypoczynku, gdybym jako gospodyni zmuszoną była zająć się domem i jego sprawami; w każdym razie będzie mi pomocą—przeszkodą nigdy. Lecz to są rzeczy tyczące się mego osobistego ja, ale poza tym obrębem ile nauka moja przynieść może pożytku!..“ Obok wystawienia Lucyny w sposób wielce przemawiający do przekonania nieuprzedzonych, nie zaniedbała autorka użyć i innych środków, któreby ideę wyższego wykształcenia poprzéć mogły skutecznie w myśli ogółu. Do takich środków liczę przedewszystkiém wprowadzenie księdza Zaręby, poczciwego i rozsądnego staruszka, który nie na wyklinaniu popędów i dążeń postępowych, nie na mechaniczném wypełnianiu obrządków religijnych, ale na wzmaganiu dążności do światła, na wdrażaniu zasad moralnych w życie powołanie religii i stanu kapłańskiego w naszych czasach zasadza. Do takich téż środków zaliczyć można odmalowanie rówieśniczki Lucyny, wychowanéj podawnemu, ani złéj ani dobréj, ani zbyt czułéj ani zbyt obojętnéj, która lubi się bawić, mało czytać, jeszcze mniéj myśléć. Utrzymanie się w takich umiarkowanych granicach przy kreśleniu postaci kontrastującéj z główną nie może wywołać zarzutu, iż przeciwniczka naumyślnie gorzéj przedstawioną została; takich bowiem dziewcząt jak Czesia można wskazać całe tłumy. Natomiast nie uważam za stosowne wprowadzenie księdza drugiego, który przy bezmyślności, zdzierstwie dokonywaném na wiernych, lubi występować donośnie przeciwko zarazie nowych poglądów; niekoniecznie bowiem wyznawanie pewnych nam niemiłych zasad musi się łączyć z upośledzeniem moralném. Gdyby autorka przedstawiła była całą galeryą księży, to wówczas i ks. Kotkiewicz mógłby zająć właściwe w niéj miejsce; w opowiadaniu zaś p. Obertyńskiéj, postawiony obok

ks. Zaręby tylko, zanadto jaskrawo wydatnieje i może łatwo w niektórych umysłach sprawić inny skutek, niż ten, jaki autorka sobie zamierzyła.

Dwa przeciwne sobie światy—pracy i marnotrawstwa—przedstawia także—p. Wanda z Dowgiałłów Trzcińska, jak głosi tytuł powieści „Jurek“—a bezimienny na teraz mężczyzna—jak donoszą reporterzy. I ten utwór,—czyjkolwiek on jest—ma być, według zdania krytyków dziennikarskich, wykwitem metody realistycznéj, a w rzeczywistości jest w mniejszéj części wskrzeszonym „Panem Podstolim,“ a w większéj—luźnie zestawionemi okazami lekkomyślnego życia, malowanemi jaskrawo, ale bez żadnéj metody, gdyż realizm miesza się jak w „Małaszce“ z dobrze podstarzałą melodramatycznością, a kompozycya nie posiada najmniejszéj spójności. Istotnie pierwsza księga odbija stanowczo od wszystkich następnych. Możnaby powiedzieć, że jak Massalski napisał niegdyś swój romans „administracyjny“ o synu pana Podstolego, tak autor „Jurka“ postanowił przedstawić jego wnuka, działającego wśród rdzennie zmienionych stosunków wiejskich. Stanisław Zaborowski, obecnie prezes dyrekcyi Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, odziedziczywszy dwa folwarki obdłużone, w ciągu trzydziestoletniéj pracy zepchnął wszystkie ciężary, spłacił brata, a nadto dokupił sąsiedni przeszło stuwłókowy majątek, który ongi do jego przodków należał. Zdobywszy tę podstawę materyalną, rozwinął na niéj prezes zacną i rozumną działalność obywatela, szeroko pojmującego swoje zadanie społeczne, starał się wszelkiemi siłami związać rozprzęgające się węzły pomiędzy dworem a chatą. Jako filantrop na swój sposób, nie myślał po śmierci dopiero przekazywać sum na cele dobroczynne, ale wydawał je za życia celem wykształcenia wieśniaków w rozmaitych zawodach z obowiązkiem wracania do wsi rodzinnéj i pracowania tu w obranym fachu. Już tym sposobem wykształcił ogrodnika Ziembę, który przemysł ten we wsi rodzinnéj rozwinął szeroko i znacznego na nim dorabiał się przychodu; Marka zaś Olszaka zamierzał prezes na przyszłego dyrektora przędzalni wykierować. Na nieszczęście ciężka choroba położyła kres jego osobistéj działalności. Długo walczył z sobą, komu zapisać ma znaczny swój majątek. Po młodszym bracie, który dział swój stracił, zostało dwu synów: Zygmunt i Jerzy. Obadwaj byli żonaci i dzietni; obadwaj—domniemani spadkobiercy prezesa. Starszy, inżynier kolei żelaznéj, człowiek bardzo poważny podobny był do swéj matki z domu Załężanki i okrągłemi rysami twarzy nic a nic nie przypominał Zaborowskich. Prezes uwielbiał go, szanował, ale nie miał serca do zamkniętego w sobie, niezbyt ruchawego potomka Załężanki. Jurek o ściągłéj twarzy, małym orlim no-

sie przedstawiał typ rodowy Zaborowskich, a lubo był lekkomyślnym pustakiem, goniącym za zabawami, niegospodarnym, pożyczającym od żydów, ale że był przytém miły, serdeczny, wesoły, że wyglądał jak kopia portretów rodzinnych, prezes lubił go całém sercem, usprawiedliwiał wobec własnego sumienia wybryki jego, powiadając, że z czasem wyszumi się, że głowa weźmie górę nad fantazyą i zrobi z Jurka porządnego człowieka i obywatela. Schorowany prezes miał chwile ciężkiéj niepewności, staczał walkę z sobą samym, roztrząsał skrupulatnie zalety Zygmunta i Jurka; niekiedy zdawało się, że rozum nieubłagany przeważy sympatye osobiste i rodowe; ale ostatnia chwila wykazała siłę rodowych nałogów; prezes zostawił gotowiznę Zygmuntowi, a Jerzemu—majątek.

Ze śmiercią, czy raczéj z pogrzebem prezesa wprowadza nas autor w całkiem odmienną dziedzinę życia, rozwijając następstwa lekkomyślnego, słabego charakteru bohatera. O ile dotychczas akcya roztaczała się bardzo powoli, ustępując miejsca refleksyom albo wprost dydaktyce (traktat o ogrodownictwie), o tyle teraz wypadki autor szkicuje gorączkowo, zbyt często zapominając ich umotywowania, analizę psychologiczną prawie zupełnie pomijając. O Zygmuncie przypomina sobie autor dopiero przy końcu książki; zajmuje się wyłącznie tylko losami Jurka.

W towarzystwie dwu szczwanych pieczeniarzy, Alberta i Hiacynta, którzy wobec ogólnego przygnębienia, umieli się stać niezbędnymi przy urządzaniu pogrzebu prezesa, Jerzy, który chwilowo poważniejszemi myślami był przejęty i pragnął prowadzić daléj dzieło swego stryja, niebawem zapomina o radach przekazanych jego testamentem. Markowi Olszakowi nie posyła zasiłku pieniężnego dla ukończenia nauk; w jednéj chwili zacietrzewienia przegrywa całą gotowiznę, sprzedaje przyszłoroczne zbiory, zapożycza się, urządza bale, niby-to w myśli przyciągnięcia ku sobie szlachty, nie utrzymuje stosunków z zamożniejszymi a rozumnymi sąsiadami, którzy niechętnie patrzą na jego marnotrawstwo i to podejrzane towarzystwo, jakie się w jego domu zbierać zaczyna; bałamuci narzeczoną Ziemby Julię, wdaje się w miłostki z panną Reginą, która nie chce utracić swego dziewictwa w brudnym zajeździe małomiasteczkowym, ale gotowa je poświęcić w przepysznie urządzonéj sypialni dworu zatorowskiego. Obrazy bachanalij przemykają się szybko jedne za drugiemi. Jerzy coraz mniéj jest wybredny w wyborze towarzystwa, sprasza do siebie wszelkiego rodzaju szubrawstwo, gra i pije zapamiętale. Żona Stefania, poczciwa i potulna, wśród jednéj z orgij takich, opuszcza dom, udając się do matki swojéj; a wówczas rozpoczynają się w pałacu zatorowskim sceny wstrętne i obrzydliwe. Regina, w części

wskutek wpływów gorącego temperamentu, w części przez wyrachowanie daje się powodować pułkownikowéj, rajfurce szlacheckiego światka, i oczekuje Jerzego w sypialni jego żony. Jerzy, który widział trupa Julii, popchniętéj do samobójstwa urągliwém jego słowem, spija się dla zalania wyrzutów sumienia, traci przytomność, upada i leży wśród rzygawiska bufetowego. Podniesiony przez pułkownikową, złożony został w bibliotece, gdzie szereg malowanych przodków przemawia (właściwie niewiadomo do kogo, czy do Jerzego—bydlęcia, który w takim stanie nic wiedzieć, nic rozumieć, nic marzyć nie mógł, czy do wstrętnéj rajfurki, która z przodkami tymi nic wspólnego nie miała) słowami wspomnień lepszéj przeszłości, a „głosy w przestrzeni“—słowem szyderstwa ze znikczemniałych potomków. Sentencyą: „błogosławieni podobni mrówkom i pszczołom... a żyjący na wzór koników polnych i trutniów niech będą przeklęci, przeklęci, przeklęci!!!“—kończy się powieść a raczéj pamflet o barwach jaskrawych, mogący mieć znaczenie publicystyczne jako przestroga dla pustych głów ziemian młodych, których niedawne klęski nie zdołały nauczyć pracowitości i oszczędności. Artystyczne znaczenie utworu jest niewielkie; autor włada stylem poprawnym, żywym, ale dalekim od piękna, umie rzucać grube zarysy, ale nie posiada tajemnicy cieniowania, trywialność gburowatą poczytuje widocznie za siłę, a kreślenie scen obrzydliwych utożsamia z realizmem. Ponieważ jednak łatwiéj jest coś zrobić w przyszłości mając temperament bujny niż ubogi w soki, można przypuszczać, że po „Jurku“ nastąpią utwory, które usprawiedliwią zawczesne pochwały, jakich doznał obecnie ze strony pewnéj części krytyki. Tylko musi sobie autor wytknąć lepiéj drogę, po któréj ma kroczyć, musi zważać więcéj na zadanie artystyczne odpowiedniego rozdziału świateł i cieni, uwzględnienia różnorodnych składników życia nie zaś tylko pewnych ujemnych; musi większą baczność zwrócić na umotywowanie następstwa wypadków tak, iżby czytelnik bez objaśnień autorskich sam rozumiał, że inaczéj odbyć się one nie mogły, gdy takie a takie warunki je wywołały; musi dbać wreszcie o układ, ażeby dzieło jego nie było tylko zbiorem luźnych szkiców.

Takich samych Jurków, słabych, bez charakteru, lubi wystawiać, tylko w sposób mniéj jaskrawy, Włodzimierz Zagórski, pisarz od wielu już lat, bo od r. 1865 walczący grotem satyry przeciw rutynie i zacofaniu, który jednak, o ile mnie wiadomo, większe utwory powieściowe dopiero w ostatnich dwu latach ogłaszać zaczął. Główną widownią jego działalności była Galicya, a mianowicie Lwów, gdzie pod pseudonimem Chochlika pisywał do „Szczutka“, a potém

sam redagował humorystyczne „Różowe domino." Atoli obok satyry zajmował się on i innemi rodzajami poezyi, a urywki z filozoficznego poematu „Król Salomon“ wykazały niepospolity talent obrazowania poglądów nowożytnych za pośrednictwem „mowy bogów.“ Gdy się zwrócił do powieściopisarstwa, dowiódł, że i obserwacya, zwłaszcza pewnych objawów życia miejskiego, stanowi jednę z dodatnich stron jego talentu. „Pamiętniki starego parasola,“ ogłoszone we Lwowie 1884 r. pomimo wadliwości ogólnéj formy, wynikłéj ze starego już konceptu, który autorowi nie zapewnił najmniejszéj korzyści artystycznéj lub myślowéj, a uwikłał go w szereg nieprawdopodobieństw, są niewątpliwie wynikiem niejednokrotnéj obserwacyi i przedstawiają jeżeli nie nowe zupełnie charaktery i powikłania, to odsłaniają przynajmniéj nową ich stronę. Istotnie kto się przedrze przez zarośla przedmowy i wstępów, które w intencyi autora miały bawić, a w rzeczywistości nużą i nudzą, ten wyjdzie na widownię dającéj możność przyjrzenia się życiu pozłacanéj młodzieży odrysowanemu nie według zwykłego i dobrze już zużytego szablonu, ale według osobistych świeżych spostrzeżeń satyryka-opowiadacza. Pan Zagórski nigdzie się nie unosi i nie piorunuje, a jakkolwiek ma w zapasie sąd ostry o lichocie moralnéj towarzystwa, które się uważa za najpiękniejszy kwiat w ogrodzie społecznym, zawsze tylko chce być wiernym malarzem zabaw, orgij, konceptów i głupstw tego kółka. Charakterystyka rozmów tu prowadzonych może jest najtrafniejsza ze wszystkich, jakie w naszéj powieściowéj literaturze kiedykolwiek podano; a sprawdzają ją wszystkie odezwania się i cały sposób zachowania się tych pojedyńczych osobistości, jakie wybrał autor do szczegółowszego obrobienia. „Jak z worka—powiada p. Zagórski opisując młodzież zebraną w loży teatralnéj, hałasującą głośno bez względu najmniejszego na przedstawianą sztukę—tak się zaczęły sypać nieciekawe nowinki, skandaliczne plotki i wstrętne kalumnie. A wszystko to opowiadaném było bez najmniejszéj werwy, bez życia, bez dowcipu, bez szczypty nawet owéj złośliwości, która obmowę jako-tako jeszcze strawną uczynić może dla wybredniejszego żołądka. To, co właściwą istotę i ozdobę życia ludzkiego stanowi, nie znalazło oczywiście wyrazu w téj brudnéj powodzi. Nic, oprócz błahostek, szumowin i najgrubszych zwierzęcych instynktów! Tylko głupia miłość brudu i skandalu, lekceważenie czci kobiecéj, pogarda dla pracy i cichéj zasługi, a bałwochwalcza cześć dla powodzenia,—ale cześć połączona z pewną przymieszką zazdrości, podejrzliwości i niechęci, jednėm słowem owa cześć, jaką murzyn otacza swojego fetysza, uderzając przed nim czołem dlatego, *bo* (!) nie śmie go błotem obrzucić. Opowiadano sobie o jakimś tłustym baronie, który upiw-

szy się na obiedzie, danym przez pewnego jenerała dla kilku członków Kasyna, rozczulił się tak dalece, że zaczął ściskać kelnera. Szydzono z hrabi Witolda, który złożył dwa tysiące guldenów na założenie czytelni dla ludu, a zachwycano się sprytem barona Augusta, który w swoim majątku wymurował kasarnię dla żołnierzy i w ten sposób za jednym zachodem ubije prawdopodobnie dwie muchy, bo i dochody swe z propinacyi znacznie podniesie i w dodatku order jeszcze za to dostanie. Zastanawiano się nad grubemi łydkami nowego stangreta pani X., nad czarnemi oczyma murzynka hrabiny Y. i nad faworytalnym pińczem staréj szambelanowéj Z. A wszystko to przeplatano komentarzami *sui generis*, podejrzeniami i skandalicznemi plotkami, — rozważając przytém z wielką ścisłością i powagą, ile szampana i koniaku wypić można bez szwanku dla zdrowia i przytomności umysłu? jak długie faworyty może nosić stangret, którego się w kamasze ubiera? czy skóra murzynów nie wydziela z siebie jakiegoś brudzącego tłuszczu? i czy oddając karty wizytowe, zaginać należy róg ich z prawéj czy téż z lewéj strony?..“ (str. 83, 84). Zgodnie z tą charakterystyką odtwarza autor sceny ogródkowe z szansonistką Amandą, awanturę z niemi połączenie, wystąpienie specyalne Amandy dla kółka wielbicieli, kolacyą „z kobietkami“, okpiwanie małoletniego syna przez zbankrutowanego ojca i tym podobne obrazy z życia hulaszczego, w tém zabarwieniu pewnie po raz pierwszy w beletrystyce naszéj pojawiające się. Sylwetka wielkoświatowéj zalotnicy Piesi kończy szereg obrazków złączonych opowiadaniem o losach słabego, ale w gruncie dobrego chłopca, który przez brak charakteru i przez próżność uchodzenia za złotego młodzieńca daje się wyzyskiwać materyalnie i moralnie tym, co już się wyćwiczyli w szkole wielkiego świata. Alfred Rabaliński ulega łatwo wpływom zarówno dobrym jak złym; gdy jest na wsi, gotów prowadzić życie najprzykładniejsze, gotów uczyć chłopskie dzieci dla miłości pięknych oczu kuzynki; ale jak tylko dostanie się do towarzystwa lekkomyślnego, wskutek braku odwagi przekonań, a raczéj słabego ich ugruntowania, zapomina o postanowieniach dobrych i grzęźnie w kałuży moralnéj coraz głębiéj.

Toż samo życie na żart, w pewnéj części przez téż same osoby reprezentowane znajdujemy w drugiéj powieści p. Zagórskiego, w „Wilczém plemieniu“. Bohater i bohaterka jéj noszą wprawdzie inne nazwiska. ale Bronisław Żymirski jest w gruncie rzeczy Alfredem Rabalińskim, a Aurelia Niegodzka to właściwie znana już nam Piesia. Z jednéj strony charakter miękki, woskowy, dający się rozmaicie, dowolnie urabiać, w połączeniu z żądzą używania i błyszczenia, z popędem do szulerki, z fałszywym wstydem i nieporadnością,

a z drugiéj—wypróbowana w salonowéj rozmowie, w wyzyskiwaniu słabości mężczyzn, panująca nad sobą, zręcznie grać umiejąca wszelkie role kobieta, która zapragnęła opanować „surowy materyał“ i przerobić go na powolne narzędzie swych planów. Aurelia wysunięta tu została na plan pierwszy; charakter jéj odmalował autor biegle i konsekwentnie; gorzéj się natomiast udał Bronisław, zwłaszcza gdy go zestawimy z Alfredem Rabalińskim. Alfred jest postacią wybornie pomyślaną i doskonale w ciągu akcyi przeprowadzoną; Bronisław w myśli autora zapewne nie powinien był być kopią jego i dlatego dano mu parę właściwości, z których trzeba było tu i owdzie się tłómaczyć, gdyż czytelnik nie mógł zrozumiéć, dlaczego Bronisław tak a nie inaczéj postąpił; stąd wogóle biorąc mniéj on jest prawdopodobnym, aniżeli Alfred. Niektóre osoby wspomniane mimochodem w „Pamiętnikach starego parasola“, jak Muszka Zawirska, Belka Niedrzycka, odgrywają większą rolę w „Wilczém plemieniu“ i to nie bez powodzenia. Malowidło życia poświęconego zabawom, a przytém obrazek wieczorów arystokratycznych, na których obłuda maskę pobożności przybiera, aby po za nią tém cyniczniéj najgrawać się z rzeczy dla ludzkości najważniejszych — oto najlepsze sceny w „Wilczém plemieniu“; natomiast sceny, w których autor przenosi nas na wieś, należą do tych, które pewną stereotypowością zrażają, nie dając nowego pożywienia wyobraźni. I tu wszakże wyróżnić potrzeba udatnie skreśloną postać młodziutkiego marzyciela, Olesia, który pod wpływem poezyi urobił sobie w 17 roku życia własny świat idealny. Kuszenie tego dziecka rozmarzonego przez rozwydrzoną Aurelię policzyć można do lepszych części książki p. Zagórskiego, ponieważ w jego opisaniu odczuwa się dużo pierwiastku obserwacyjnego.—Poddane tu rozbiorowi dwie powieści, trochę jednostajnemi żywiołami zaludnione, mogłyby dać zbyt jednostronne pojęcie o twórczości p. Zagórskiego; zwrócić więc winienem uwagę czytelników na to, że w innych swoich nowelach, drukowanych w czasopismach, zwraca się autor do sfer całkiem odmiennych, że dla przykładu wspomnę tylko o pomieszczonym w *Ateneum* „Iwasiu.“

P. Wincenty Rapacki, znany dobrze z wielu utworów dramatycznych, sprobował obecnie sił swoich i w powieści historycznéj p. n. „Grzechy królewskie.“ Czas akcyi swego opowiadania wybrał być może pod wpływem utworów H. Sienkiewicza i starał się je niejako dopełnić. Powieść „Ogniem i mieczem“ przepełniona była scenami wojennemi; p. Rapacki zapragnął na tle zawieruchy wojennéj nakreślić obrazki z życia powszedniego, chciał wskazać, że obok wielkich spraw, obok mordów i pożogi istnieje przecież ciągle sfera

zwykłych, codziennych między ludźmi stosunków, że życie społeczeństwa rozważać można nie tylko w świetle strasznych lub wzniosłych wypadków dziejowych, ale także równocześnie w świetle interesów drobnych, jednostkowych czy rodzinnych. Myśl ta nie była bynajmniéj złą; owszem, z obrazowego jéj przedstawienia mógł powstać utwór i zajmujący i nauczający; w wykonaniu atoli p. Rapackiego nie otrzymała tych zalet w pożądanym stopniu. Najgłówniejszą może tego przyczyną był bardzo nieszczęśliwy wybór formy. P. Rapacki całą swą powieść podaje jako „opowiadanie Jmć Pana Krzysztofa Scypiona, dworzanina Jego Kr. Mości.“ Wiadomo, jak takie przedzierzgnięcie się w osobę z bliższego nam bądź-co-bądź czasu krępowało już Kaczkowskiego, kiedy występował w roli Marcina Nieczui; wiadomo, że podobneż usiłowanie Władysława Łozińskiego jako Narwoja udawało się tylko w drobnych obrazkach. Szkoda, że autor „Grzechów królewskich“ nie skorzystał z nauki, jaką nam wszystkim dały próby tych powieściopisarzy; że zamiast z mozołem, a niezawsze ze skutkiem, naginać się do pojęć i sposobu pisania jakiegoś tam dworzanina z XVII wieku, nie przemawiał sam od siebie, a raczéj w formie przedmiotowéj, jak to zrobił Sienkiewicz, który także sprobowawszy w opowiadaniu Zdanoborskiego maskowania się niewdzięcznego, wolał go się zrzec w większych swoich powieściach historycznych. Gdyby p. Rapacki trzymał się był metody przedmiotowéj, możebyśmy otrzymali coś bardziéj zajmującego, coś bardziéj jednolitego, zogniskowanego, aniżeli te prawie po kronikarsku czy pamiętnikowo skreślone zapiski pana Krzysztofa Scypiona, który nas ani swoją osobą, ani swoimi czynami, ani swoimi poglądami, ani sposobem opowiadania zainteresować nie potrafił, gdyż widzi niewiele i niegłęboko, a mówi nie-charakterystycznie ani zajmująco.

Po kronikarsku dowiadujemy się o wielkich zamiarach Władysława IV podjęcia wojny z Turcyą, o spełznięciu ich wskutek oporu możnowładców i zadomowionéj szlachty, o wybuchu buntu Chmielnickiego i głównych jego fazach, o śmierci Władysława, elekcyi i pierwszych latach rządów Jana Kazimierza, o rozmaitych przygodach, wypadkach i przypadkach życia dworskiego i ziemiańskiego, o miłostkach, zajęciach i zabawach wielu jednostek i rodzin. Nic znamiennego w dodatniém lub ujemném znaczeniu nie spotykamy w większéj części opowiadania— i ta szara jego barwa jest największą jego wadą. Bohaterem jest poboczny syn królewski, znany pod nazwiskiem Szymona Bzowskiego, a następnie, gdy stanął na czele ludu buntującego się przeciwko szlachcie i opanował Czorsztyn, pod imieniem Kostki Napierskiego. Historyą jego zewnętrzną i we-

wnętrzną rozwija autor zgodnie z tém, co nam dzieje o nim przekazały, usiłując tylko ze swéj strony wyjaśnić wiązanie się z Chmielnickim, za pomocą przypuszczenia, iż dusza Bzowskiego, gorąca, namiętna a szlachetna uczuła się głęboko draśniętą i pokrzywdzoną tém urągliwém lekceważeniem, jakie mu zaczęto okazywać po śmierci Władysława IV. Gdyby ten dramat wewnętrzny był przedstawiony z większą subtelnością i z większém zogniskowaniem, mógłby był nadać opowiadaniu cechę wybitną. Jakoż istotnie staje się bohater zajmującym wtedy dopiero, gdy w nim ostateczny przełom nastąpił, gdy się zdecydował stanąć na czele ludu. Ale dzieje się to dopiero przy końcu książki. Sceny ludowe. postaci podżegaczy, obrona Czorsztyna, ujęcie Napierskiego, ostatnie jego chwile są jeżeli nie świetnie, to w każdym razie bardzo dobrze i zajmująco opisane. Ta część powieści wynagradza do pewnego stopnia nudy poprzednich. Romansowa strona powieści nie jest bardzo wydatną i słusznie podobno; ani bowiem miłość w wiekach dawniejszych nie miała tego znaczenia, jaką jéj w literaturze nadała poezya romantyczna, ani też nie mamy dosyć dokumentów, iżby ją odpowiednio do ducha owego wieku odtworzyć. Postać energicznéj dziewczyny, wychowanéj i zahartowanéj na stepach, a miłującéj bohatera dopóty, póki jawnéj względem kraju zdrady nie okazał, następnie zaś pomagającéj do jego ujęcia, lecz zarazem starającéj się o jego ułaskawienie, pomyślana jest dobrze i modelowana według tych wzorów, jakie dr. Rolle w „Niewiastach kresowych“ nakreślił. Satyryczna myśl autora, wskazująca, jak duchy dzielne giną, a liche i płaszczące się dostępują zaszczytów i za dzielnych obrońców kraju podać się umieją, nie została dostatecznie oświetloną, a powodem tego—kronikarski sposób przedstawienia rzeczy. Wogóle można powiedzieć, że pomysłów dobrych autorowi nie brak, ale rozwinięcie ich jest słabe.

Tęż cechę twórczości, tylko co do wykonania jeszcze w niższym stopniu noszą na sobie nowele i powieści Michała Wołowskiego. Że mu pomysłów nie brak, dowodem sama obfitość opowiadań zebranych pod ogólnym napisem „Jasne i ciemne obrazki.“ Jest ich tu 12; każdy taki obrazek ma treść własną, odrębną; treść ta nieraz bywa małoznaczącą, ale w każdym razie musiała być pomyślaną, musiała się zjawić jako wynik aktu twórczego. Czy wszędzie akt ten był istotnie twórczym a nie odtwarzającym tylko, napewno twierdzić nie można, zwłaszcza gdy jeden mianowicie obrazek obudza poważną pod tym względem wątpliwość. Mówię tu o opowiadaniu p. n. „Przyszedł Węgier“, które przy pierwszém ukazaniu się swojém w czasopiśmie pozyskało dla autora poklask. Otóż pomysł tego opowiadania jest tak podobnym do ustępu jednego w powieści T. T. Jeża

p. t. „Pani Komisarzowa“, że trudno się obronić myśli, iżby p. Wołowski nie miał się zasilić u swego znakomitego poprzednika. Sytuacya i tu i tam takaż; miejsce tylko akcyi inne i rozwiązanie trochę odmienne. Co zaś najbardziéj nasuwa podejrzenie o zasileniu się p. Wołowskiego u Jeża, to przemiana słówka *lem*, widocznie p. Wołowskiemu nieznanego, na *sem*, które najpocieszniéj wziął za równoznaczne... Jak ten obrazek, tak i parę innych („Marsz Rakoczego,“ „Czemu,“ „Piosenka“) przenika uczucie patryotyczne i czyni je wielce sympatycznemi, ale wykonanie ich nie zadawalnia wymagań estetycznych. Ma ono jednę tylko zaletę, żywość, ale nie odznacza się ani poprawnością, ani tém bardziéj barwnością czy malowniczością. W kompozycyi i stylu nie zadaje sobie trudu niewybredny autor; ufny w obfitość swéj swady, pisze bylejak; czasami uda mu się nieźle, czasami całkiem licho jak np. w ramotkach zatytułowanych: „Z notatek jednodniowego delegata,“ „Co sobie opowiadają dęby na Bielanach.“

Wady, wydające się niezbyt rażącemi w drobnych utworach, wydatnieją i jaskrawemi się stają w obszerniejszych, gdzie z powodu większego powikłania osnowy konieczność dobrze obmyślanego planu staje się natarczywszą i gdzie analiza psychologiczna lub też plastyka przedstawienia wystawia na próbę ognia talent powieściopisarza. P. Wołowski napisał między innemi, w czasopismach ogłoszonemi, opowiadanie obszerniejsze, osobno wydrukowane, p. n. „Cyganiątko.“ Jest-to entuzyastyczna historya Maryni, robiącéj prawdziwe cuda, przemieniającéj ludzi, reformującéj okolicę, walczącéj dzielnie, ratującéj bliźnich, podnoszącéj gospodarstwo itd. itd. Wszystkie te cuda opowiedziane są tak, jak to sobie u nas opowiadano przed reformą powieściopisarstwa, dokonaną przez Kraszewskiego, tj. bez należytego umotywowania, bez naocznego przekonywania czytelnika, że tak być mogło. Na wszystkie wątpliwości co do znaczenia i rozwoju charakteru osób nie mamy w powieści nic poza gołosłownem zapewnieniem autora. P. Wołowski stara się nagromadzić jaknajwięcéj wypadków w swéj powieści, nie myśląc ani o ich grupowaniu ani o ich artystycznem przedstawieniu; gorączkowo śpieszy z zaznaczeniem, że były, aby do nowych przeskoczyć. Gdy się zmęczy, przystaje na chwilę i opowiada, czém zostały osoby przezeń wprowadzone do osnowy powieści; a że nie posiada zdolności zwięzłéj charakterystyki ani plastycznego obrazowania, opowiadanie zamienia się w gadaninę, w któréj jeden wyraz prawie nie trzyma się drugiego. W pośpiechu twórczym tak dalece zaniedbał sposób wyrażenia myśli, że niekiedy wydaje się, iż autor albo nie myślał wcale o tém, co pisze, albo nie rozumiał wyrazów, których użył. Oto przykład logi-

ki: Gustaw i Alfred Stolińscy byli to bracia zupełnie do siebie niepodobni ani fizycznie, ani moralnie; p. Wołowski powiada, że „stanowili *ze sobą* zupełny kontrast, a kontrast ten w fizyonomiach, w powierzchowności był i *odbiciem dróg, po jakich ci ludzie kroczyć mieli*“ (str. 45). Chyba pierwszemu p. Wołowskiemu udało się odnaleźć na twarzach ludzkich *odbicie* tego, czego jeszcze na nich być nie mogło, bo dopiero w przyszłości znaleźć się na nich miało. Albo znów opowiadając o pobojowisku, p. Wołowski bez zająknienia pisze dosłownie: „Gdyby *który z malarzy* chciał kiedy utworzyć *genialne płótno* w rodzaju kartonów Grotgerowskich, *potrzebowałby tylko popatrzéć* na te twarze wykrzywione bólem i cierpieniami, na różnorodny ich charakter i odmienny wyraz, manifestujący się na każdéj *odmiennym układem mięśni* i *odmiennem ich skrzywieniem*“ (str. 71). Jak widzimy, autor bardzo łatwym sposobem tworzyłby genialnych artystów. Albo weźmy pod uwagę określenie pojęć według właściwéj autorowi logiki. Powiada on że bohaterka plan cały ratowania zrujnowanéj rodziny miała gotowy w głowie, i dodaje... „prostym on był, a polegał na zdobyciu jaknajwiększych środków i zapewnieniu dla rodziny kawałka chleba“ (str. 76). Widocznie autor nie odróżnia celu od planu, który do osiągnięcia tego celu prowadzi. Gdy autor sili się na obrazowość, powstaje coś tak zabawnego, że pomimo grozy odtworzonego położenia trudno się wstrzymać od śmiechu. Oto próbka: „Pole zasłane było trupami,—tu i owdzie *wyciągnięta ręka* do góry z zaciśniętą pięścią *grozić się zdawała* niebu i ludziom, za *zmarnowanie życia swego właściciela*“ (str. 68). Lepszych frazesów i w Rinaldo Rinaldinim znaleść trudno. A jaki język i jaki styl! „Ja to *rozumiéć umiem*“ (str. 90)—powiada bohaterka, cudowna Marynia, która widocznie téj jednéj nie ma doskonałości, że się po polsku wyrażać dobrze nie potrafi. „Zaręczam cię“ (str. 58) mówią inni, którzy różnéj składni rządu do tego samegoż słowa stosować się mogącéj, względnie do jego znaczenia, nie pojmują. „Gustaw *to* co mówił *to* myślał; była *to* z gruntu natura uczciwa“—opowiada sam autor (str. 56), a gdyby tak był napisał przed laty w ćwiczeniu szkolném, miałby za swoje; dzisiaj drukuje i są redakcye, które... podobnych błędów nie poprawiają. Nie wypisuję całéj listy wyrażeń świadczących o nieuwzględnieniu najprostszych wymagań gramatyki i stylu, gdyż musiałbym ze dwie stronice nią wypełnić; ale w imię téj mowy poniewieranéj, nad którą frazeologicznie unosić się umiemy, niech mi wolno będzie zawołać do autorów i redaktorów drukujących takie ramoty: Panowie! zanim zaczniecie nauczać spółziomków, co i jak mają myśléć i czuć, zadajcie sobie pracę wystudyowania gramatyki i sty-

listyki języka ojczystego, bo na nic się nie zdadzą wasze patryotyczne przestrogi, jeśli wy sami słuchać ich nie zechcecie.

Téj odezwy nie mogę wystosować do młodego pisarza, pod pseudonimem Ant. Józ. Sęka, tworzącego nowelki czy opowiadania, pomieszczane zwykle w „Przeglądzie literackim i artystycznym“, i ogłaszane w oddzielnych książeczkach. Znam ich trzy. „Sługa boży“ — to przedstawiciel grupy księży-samolubów, którzy tuczeniem ciała zajęci, obojętnie spoglądają na smutki, bóle, cierpienia i klęski jednostek lub narodu; jeżeli coś im nie przynosi korzyści materyalnéj, to ich nic nie obchodzi; prowadząc życie wygodne, unikają trosk wszelkich, a więc i spółczucia dla bliźnich; chorego do swéj izby nie przyjmą, bo mieliby kłopot, bo zatruliby sobie spokój domowy; na potrzeby ogółu nie poświęcą ani grosza, chociaż z tego ogółu mają całkowite swe utrzymanie. W naszém powieściopisarstwie, aż zanadto szanującém „suknię“ kapłańską, rzadko się spotykają takie postaci jak ksiądz Walenty, lubo w rzeczywistości znajdują się one, a dawniéj, w wieku XVIII, nawet przez samychże księży, jak np. przez Naruszewicza, surowéj chłoście satyry bywały poddawane. Nie myślę bynajmniéj zachęcać do tworzenia takich figur, ale nie widzę téż w tém złego, że się tu i owdzie ukażą. Druga powiastka Sęka p. n. „Bawmy się w żołnierzy“ przedstawia potomków hetmańskich rozpustujących na łonie Fryn nowożytnych wtedy, gdy ich spółziomkowie krew za kraj przelewali, potomków rycerskiego plemienia, tchórzących wobec saméj zapowiedzi walki i czmychających potajemnie od tychże Fryn, gdy niebezpieczeństwo nad marném ich życiem zawisło. W trzeciém wreszcie opowiadaniu: „Franek Żołnierzak“ znajdujemy krótką historyą sieroty, syna kucharki dla czeladzi, którego państwo z dworu wzięli w swą opiekę, ażeby go wykierować „na ludzi“, a obróciwszy na stajennego, późniéj na lokaja, nie dali żadnéj nauki, żadnych zasad moralnych, przyzwyczaili do próżniactwa i zmarnowali.

Jak zwykle w młodzieńczych utworach, tak i w nowelach Sęka górującym żywiołem jest tendencya, gwoli któréj wszystkie wypadki i wszystkie charaktery się naginają. Tym sposobem powstaje jednostronne przedstawienie ludzi, bo tylko ze względu na dane położenie, nie zaś wogóle: poznajemy ich usposobienie i charakter w stosunku do założenia, które autor przeprowadzić zamierzył, a nie możemy ich poznać do gruntu, jakimi są niezależnie od pewnéj zgóry określonéj sytuacyi. Żywioł obserwacyjny gra małą rolkę w dotychczasowych pracach Sęka; autor więcéj pisze na podstawie tego, co czytał i słyszał, niż z własnych spostrzeżeń. Z tego powodu i plastyka jest bardzo zaniedbana, chociaż zdolności do niéj Sękowi, zda-

je się, nie brak. Styl jego jest ożywiony, czasami zbytecznie konceptami trochę szkolnemi przeładowany. Ant. Józ. Sęk okazuje pewną skłonność do tak zwanéj u nas humorystyki; bodaj czy się nie myli co do właściwości swego uzdolnienia; przynajmniéj z tych próbek „humoru“, jakie w trzech jego opowiadaniach znajdujemy, trudno wywnioskować znaczniejszy jego u autora zasób. Raczéj w prostém przedstawieniu rzeczy, w charakterystycznéj rozmowie, w zwięzłém kreśleniu postaci i wypadków widzielibyśmy dodatnie przymioty jego talentu. Zresztą próbki, jakie dotąd ogłosił, są zbyt jeszcze drobne, ażeby można było coś bardziéj stanowczego w téj mierze powiedziéć; jak na teraz, zaznaczywszy treść i sposób jéj obrobienia w nowelach Sęka, poprzestaniemy na uwadze, że pisze językiem czystym i stylem poprawnym, a to w dzisiejszych czasach wiele już znaczy.

P. Chmielowski.





DOSTOJNICY LITEWSCY.

J. Wolff: Senatorowie i Dygnitarze wielkiego księstwa Litewskiego (1386—1795). Kraków, 1885, 8⁰, VIII, 354.

Książka, któréj tytuł dopiero cośmy wypisali, zjawiła się na początku roku zeszłego i w krótkim stosunkowo czasie doczekała kilku obszerniejszych ocen. Po naszéj pobieżnéj notatce (1), ukazały się krytyki, napisane przez osoby specyalnie oznajomione z kwestyą, opracowaną przez p. Wolffa. Pierwszą krytyką była rzecz p. A. Bonieckiego (2), który specyalnie pracował nad urzędnikami litewskimi; z kolei wystąpił p. Kirkor (3), znany badacz przeszłości litewskiéj, nareszcie temu wydawnictwu poświęcił obszerny artykuł p. Radzimiński (4), wydawca „Kniaziów i szlachty na Rusi", któremu przedmiot poszukiwań p. Wolffa był bardzo blizki. O wzmiankach dorywczych przemilczamy. Oceny specyalistów mogą świadczyć o interesie, jaki wzbudziło wydawnictwo p. W. I słusznie wszyscy jednogłośnie przyznają mu wielkie znaczenie, sprawiedliwie pracę p. W. nazywają trudem benedyktyńskim. Powodowani ważnością przedmiotu, podejmujemy powtórnie nasz głos, oczywiście nie w celu roztaczania na prawo i lewo pochwał wydawcy, na które niezaprzeczenie zasłużył. Tych, przypuszczamy, wymagać on od nas nie będzie, choćby dla tego, że sama praca jego jest mu najlepszą pochwałą. Zresztą my, cośmy nigdy specyalnie nie badali dziejów Litwy, co uważać siebie możemy za profanów w téj rzeczy, w obec tak specyalnéj pracy i tak uczonych krytyków, nie czulibyśmy się w prawie na rozrzucanie pochwał. Występujemy tu poniekąd z obowiązku naukowego, w obec faktu, że los postawił nas blizko głównego źródła dzieła p. W. i dał nam do rąk materyał dopełniający i pro-

(1) „Kraj" petersburski r. 1885, luty. N. 7.— (2) Bibl. Warsz. 1885, maj. (3) Przegl. Powszechny 1885, czerwiec.—(4) Przegl. Polski 1885, sierpień.

stujący niektóre fakta, podane przez autora. Nigdyśmy nie pracowali nad ułożeniem listy urzędników litewskich, ztąd więc nasze noty mają cechę dorywczą, przypadkową Ze względu na charakter pisma, w którém umieściliśmy pierwotnie nasze uwagi, musieliśmy ograniczyć ich ilość, rachując się z miejscem nam udzieloném. Obecnie podajemy je ponownie wraz z dodatkami, jakie zebraliśmy przez te kilka miesięcy. Sprostowanie nasze poprzedzamy krótkiemi uwagami o formalnéj stronie wydawnictwa—o sposobie wykładu i o źródłach, na podstawie których książka ułożoną została.

Wydawnictwo p. W. ma na celu dać dokładny i zupełny spis urzędników litewskich i zapełnić ten brak, jaki się dotąd czuć dawał. Dotychczasowe prace były albo niepełne, albo niedokładne. P. W. pierwszy pojął tę myśl obszerniéj i zrobił próbę na większą skalę, ograniczywszy jednak swe zadanie do urzędników ogólno-litewskich (ale nie ziemskich i powiatowych)—senatorów, ministrów i dygnitarzy. Do pierwszéj kategoryi odniósł autor wojewodów, kasztelanów i starostów żmudzkich; do drugiéj weszli hetmani, marszałkowie, kanclerze, podkanclerzowie i podskarbiowie; trzecią obejmują: chorążowie wielcy i nadworni, cześnicy, generałowie artyleryi, gen. inspektorowie, instygatorowie, koniuszowie, krajczowie, kuchmistrzowie, łowczowie, miecznicy, mierniczowie, oboźni, pisarze, piwniczowie, podczaszowie, podkomorzowie, podkoniuszowie, podstolowie, referendarze, sekretarze wielcy, stolnikowie, strażnicy, wojscy. Z tego już przeglądu widzimy, że wykaz dygnitarzy ułożył p. W. w porządku alfabetycznym, to samo zrobił i z ministrami, gdzie w każdym poddziale lista postępuje w porządku alfabetycznym województw i kasztelanii. System ten możemy uznać za bardzo szczęśliwy ze względów praktycznych, jakie musi mieć na uwadze wydawca dzieła które może przyjąć charakter czysto informacyjny. Należało jednak ułatwić jeszcze więcéj odszukanie pożądanego oddziału przez drukowanie u góry stron nazw urzędów, jakie one w sobie zawierają. Zamiast drukowania u góry przez 100 niemal stron „wojewodowie," wydawca powinien by drukować—„w. brzescy" itp. Nakładu by to nie powiększyło, a ułatwienie byłoby znaczne. Niedogodność ta daje się uczuwać szczególniéj w dziale dygnitarzy, których jest kilkanaście tytułów, a wydawca od str. 197 aż do końca dzieła do str. 327 drukuje u góry stron wyraz „dygnitarze," zamiast poszczególnić, jacy tam są. Pomieściwszy u góry tytuł, wydawca nie będzie potrzebował przy każdym urzędniku za każdym razem powtarzać, na jaki urząd nastąpiła jego nominacya.

W układaniu szeregu oddzielnych urzędników p. W. trzymał się porządku ściśle chronologicznego. Przy każdym urzędniku dawał

wskazówki, jakie ta osoba zajmowała stanowisko w chwili objęcia urzędu, po kim następowała i dokąd się usuwała z tego stanowiska (naturalnie, o ile na to pozwalały materyały). Taki sposób wykładu uznajemy za zupełnie wystarczający w dziele tak specyalnem. Nie zgadzamy się z tymi, którzy wymagają od wydawcy, aby podawał szczegóły obszerniejsze o każdéj osobistości, jakoto wskazywał herby, urzędy, jakie obejmowała podczas głównego swego zajęcia itp. Niezawodnie byłoby to ciekawém, ale wymagałoby pracy przewyższającéj siły pojedyńczéj osoby a nawet i środki pod względem odnalezienia należytych źródeł. Jeżeli by p. Wolff zechciał np. wyjaśniać, że Andrzej Michajłowicz Sanguszko, który w chwili objęcia starostwa łuckiego w r. 1542 był tylko marszałkiem, w r. 1555 spotyka się jako klucznik, horodniczy i mostowniczy łucki, to musiałby doprowadzić dokładność jeszcze daléj, a mianowicie określić datę objęcia tych nowych urzędów. Rzecz to zbyt trudna, nieraz niemożebna do wykonania, a prowadząca do szeregu błędów, których poprawić byłoby niepodobna. Wolimy więc *non multa sed multum.*

Już i w tym zakresie praca p. W. wymagała od autora, obok znajomości rzeczy i specyalnego przygotowania, nadzwyczajnéj ścisłości i drobiazgowości. Gdzie rzecz z liczbami, tam najmniejsza nawet pomyłka zecerska nieraz odejmuje zupełną wartość najżmudniejszéj pracy. Tu jednak pracę mechaniczną musiała poprzedzić praca krytyczna, ocena źródeł, umiejętność wyboru ich i korzystania z zawartych w nich wskazówek, a źródła u p. W. były najrozmaitszego rodzaju i wartości. Najważniejszém i najpewniejszém źródłem były akta współczesne, ogłoszone lub nieogłoszone. Te ostatnie należało jeszcze wydostać z archiwów. P. Wolff, jako mieszkaniec Petersburga, skorzystał z téj sposobności do odnalezienia współczesnych kopii przywilejów na nominacye, które zapisywano do ksiąg Metryki litewskiéj, znajdującéj się obecnie w Petersburgu przy Senacie (1), i które mogą zastąpić oryginalne przywileje. Naturalnie, że to jest najwiarogodniejsze źródło, lecz i z niém trzeba umiéć obchodzić się. Oto przykład świeży. Wytrawny znawca dyplomatów p. Radzimiński, w swych uwagach o wydaniu p. W., zarzuca mu niedokładność. „Wdą połockim, mówi p. R., według p. Wolffa, Jan Hlebowicz został mianowany 10 listopada 1532. Akty J. i Zap. Rosyi opierając na ks. zap. 15, f. 98 Metryki, podają nam tę nominacyą o rok wcześniéj, bo na 11 listopada 1531 roku. Jeżeli data przytoczona przez

(1) Bliższe szczegóły o Metryce podaje „Gwiazda" Petersburska za rok 1884 w artykule: Biblioteki i Archiwa petersburgskie, luźne notatki S. Ptaszyckiego str. 108 i nst.

p. Wolffa jest prawdziwą, to czemu to nie zostało omówioném? Rzecz ta wyjaśnia się przez zbadanie dokumentu. We wskazanym przez p. R. dokumencie rzeczywiście mamy rok 1531, lecz indykt jest szósty, a ten rozpoczynał się od września roku 1532. Zachodziłaby wątpliwość, co prawdziwe, rok czy indykt. Rozejrzenie się w księdze każe wnioskować, że rok mylny. W danym jednak wypadku rozwiązuje kwestyą ta okoliczność, że dokument został zapisany powtórnie w ks. 17, na co p. W. wskazał, a tam podany rok dobry— 1532. P. Wolff (a może zecer) tu się pomylił, podawszy 10 listop. zam. 20, jak to jest w księdze. Przy korzystaniu z akt metryki p. W. niezawsze potrafił ustrzedz się błędu. Część omyłek można odnieść na karb zecera, jak ta, którąśmy dopiero co przytoczyli, lecz są i takie, które trudniéj złożyć na tego kozła ofiarnego, jak np. styczeń zam. czerwca, czerwiec zam. marca i t. p. błędy, które wskażemy niżéj. Najgłówniejszym brakiem wydawnictwa p. W. niezupełne wyeksploatowanie akt metrycznych. Nie robiąc w tym celu nigdy umyślnych poszukiwań, znaleźliśmy jednak szereg przywilejów na nominacye, które p. W. były nieznane. Jesteśmy przekonani, że ponowne przejrzenie systematyczne Metryki da znacznie więcéj dat pewnych i usunie wiele przypuszczeń, opartych na wskazówkach drugorzędnych. Naturalnie, że na podstawie jednéj Metryki niepodobna zapełnić dat wszystkich.

Kto zna losy Metryki, łatwo zrozumie, że wszystkich nominacyi odnaleść w jéj aktach niepodobna, choćby dla tego, że nie wszystkie księgi się dochowały. Należy więc udać się do źródeł drugorzędnych. Tu na planie pierwszym okazały się wydawnictwa aktów z innych archiwów, które mogą mieć wartość pierwszorzędną. P. W. korzystał z wydawnictw petersburskich, wileńskich i kijowskich. Niezawsze jednak tak szczęśliwie, jak z Hlebowiczem; czasem p. W. zawierzył wydawcy, sam nie sprawdził i ztąd wynikały znaczne błędy. Zawierzył p. Wolff wydawnictwu „Akty otnosiaszczyjesia k istorii Już. i Zap. Rosyi“ i zrobił z Naca, kasztelana trockiego z roku 1452, Paca (str. 62), przytém nie objaśnił, że cytata M. Lit. Zap. 25, 271 wzięta z drugiéj ręki, lecz powołał się na dokument oryginalny, w którym wyraźnie nazwany Nac (1). Drugi przykład. Jako pierwszy instygator występuje u p. W. Przeliewski Mikołaj w r. 1583 (str. 218), wzięty z „Poselskiéj księgi“, wydanéj w Moskwie przez Pogodina. Rzeczywiście u Pogodina we wskazaném miejscu pod dokumentem z r. 1583 znajdujemy podpis: Mikołay Przeliewsky Instigator Wielkiego Xięstwa Litewskiego. Jednak już wydawca

(1) Błąd ten p. W. poprawił w drugiém swém dziele „Pacowie“.

moskiewski zwrócił uwagę, że to jest kopia i że prawdopodobnie wraz z podpisem powstała w r. 1633. W oryginale stoi nie Przeliewsky lecz Pvzeliewsky. Jest to instygator od r. 1604—1626. Odbył on rewizyą całéj Metryki, poprzekasowywał i zaznaczył wszystkie *vacua* w księgach i na każdéj położył swój podpis.

Do źródeł pierwszorzędnych niezaprzeczenie należą „Vol. Legum“, które jeżeli nie podają daty pewnéj, to zawsze mogą świadczyć o tém, że w pewnym czasie pewna osobistość zajmowała ten lub ów urząd. P. Wolff korzysta z nich bardzo często, lecz niezawsze szczęśliwie. Na podstawie „Vol. Leg.“ IV, 122, podaje pod r. 1647 instygatorem Komorowskiego (str. 219), kiedy ten wcale nim nie był i we wskazaném miejscu nazwany jest podstolim wiłkomirskim. Dla czasów ostatnich wydawca zużytkował materyał, jaki podawały współczesne gazety. ogłaszając urzędowe nominacye. Materyał to był bardzo trudny do odszukania i praca ta musiała być zmudniejszą nieraz od wynalezienia oryginalnego przywileju. W ten sposób zużytkowane zostały kroniki, pamiętniki, dyaryusze, nagrobki i t. p. współczesne lub wiarogodne, jeżeli nie ostatecznie decydujące materyały. Lecz i to nie wystarczyło. P. W. udał się do dzieł pomocniczych, których przejrzał ogromną ilość, tak swojskich, jak i cudzoziemskich. Taki ogrom dzieł pomocniczych zużytkowanych przez wydawcę zmusza nas do wyrażenia żalu z powodu, że poświęciwszy tyle pracy na przewertowanie tego wszystkiego, nie zechciał autor udzielić kilku stron druku na krótką charakterystykę tych dzieł, na pogląd, jaki na nie sam ma, jak również nie wskazał w jaki sposób z nich korzystał. Czytelnik nieraz zdumiewa się znajdując takie kontrasty: Żychliński, Niesiecki, Wójcicki—jako źródła, na których musimy polegać, obok twierdzenia, że u nich mylnie występują tacy a tacy, z takiemi a takiemi tytułami. Zapobiedz temu autor mógłby przez określenie stopnia wiarogodności swych źródeł. Jeszcze więcéj dziwném i niezrozumiałém jest korzystanie dla rzeczy polskich z takich np. wydawnictw, jak „Eur. gen. Handbuch.“ Rozumiemy, gdyby to była ostatnia ucieczka, wtedy niema co mówić. Ale oto przykład, że niezawsze to było potrzebném. W Metryce dochowała się pewna data rezygnacyi Mik. Łopacińskiego z urzędu instygatora, a p. W. wskazuje (str. 219), że w „Eur. gen. Handb.“ wspomniany jeszcze w r. 1760. W Metryce mamy nominacyą Holzschuhera na kasztelanią dorpacką, a p. W. określa ją przybliżenie na podstawie genealogii Holzschuherów Gatterera (str. 103) Zwracamy uwagę na te drobiazgi dla tego, że one tém więcéj rażą, im dzieło ma cechę poważniejszą. Powtarzamy raz jeszcze, ogrom pracy, jaką p. W. zadał sobie, wzbudza w nas podziw, tém więc goręcéj pragnęlibyśmy,

aby ona przyniosła większe rezultaty — komu dano wiele, od tego się jeszcze więcéj wymaga. Zamykając naszą rzecz o źródłach, zwrócimy uwagę na to, że sposób, w jaki wydawca cytuje swe źródła, nie zdaje się nam być dogodnym, zajmują one bardzo wiele miejsca i utrudniają oryentowanie się. P. W. robi to na sposób zwykłych odsyłaczy za numerami. Są strony, na których odsyłacze zajmują więcéj miejsca, aniżeli tekst. Tak np. na str. 202 mamy aż 21 odsyłaczy. Pozwalamy sobie zwrócić uwagę wydawcy, że w nowém wydaniu możnaby wszystko to zmodyfikować. Pozostawiwszy odsyłacze dla rzeczy ważniejszych źródło cytować w tekscie. Naprzyklad: str. 209, cześnicy: Kiszka Krzysztof, dworzanin królewski mian. cześnikiem (wyraz cześnikiem można opuścić, gdyż się samo przez się rozumie, o co rzecz idzie) 14 kw. 1632 po rezygn. Sapiehy (Z. 104, 254), postąpił na wdę Mścisławskiego 18 sierpnia 1636 (Z. 111, 707). Znaki w nawiasach oznaczałyby: Księga Zapisów Metr. Lit. N. 104, f. 254. W ten sposób zmniejszyłoby się druku o 2 wiersze w jednym wypadku i czytelnik miałby przed oczami wskazane źródło, nie potrzebując szukać go pod numerami, których tak wiele nieraz na jednéj stronie, że się od nich ćmi w oczach. Cytowanie za każdym razem wyrazów „Metryka litewska" uważamy stanowczo za zbyteczne, należało w przedmowie raz nazawsze określić sposób skrócenia, choćby taki, jaki my przyjmujemy niżéj w naszych cytatach. To samo odnosi się i do dzieł, na które wydawca częściéj powołuje się, można je oznaczyć kilku literami, a nie powtarzać ciągle cały tytuł.

Na tém ograniczamy nasze uwagi ogólne o wydawnictwie i przechodzimy do szczegółów, które będą miały cechę drobiazgowości, nieraz nawet korektorską. Robimy to z zasady, że w dziełach tego zakresu błąd zecerski równa się błędowi autora i nieraz prowadzi do rezultatów bardzo niepożądanych. Sprostowania nasze dajemy wyłącznie na podstawie akt, pochodzących z „Metryki litewskiéj." W wykładzie naszym staramy się o możliwą zwięzłość, dla czego wprowadzamy szereg uproszczeń i skróceń. Tak, jeśli korzystamy z tegoż dokumentu, co i p. Wolff, nie wskazujemy, lecz tylko poprawiamy jego datę: we wszystkich więc razach, gdzie nie wskazaliśmy źródła, należy rozumiéć, że jest ono to samo, co i u wydawcy. Podając naszę datę, nie zawsze wskazujemy, jaką ona jest u p. W., rozumiejąc przez to, że ma on inną. Tytuły ksiąg metrycznych skracamy według pierwszych liter obecnego podziału, przyczém liczba pierwsza oznacza tom, druga kartę. W wypadkach, kiedy księga ma tylko numeracyą dokumentów dodajemy—*d*. Skróceń używamy następujących: Z.—Księgi Zapisowe, S.—Sądowe, P.—Publiczne, Lustr.—Lustracye, RN.—Rady Nieustającéj, N.—Nowe, Sig.—Sigillata.

Wojewodowie. Brzescy: Masalski mianowany 13 czerwca, nie zaś stycznia; Kuncewicz był wojewodą niezawodnie na początku roku 1664 (Z. 135, 39); Sawicki otrzymał nominacyą przed rokiem 1667, gdyż dnia 23 grudnia 1666 roku podpisał się z tytułem wojewody (Z. 135, 103).

Dorpaccy: Abrahamowicz Jan mian. prezydentem 2 listopada 1589 r. (Z. 79, d. 126). Kurcz mianowany 10 marca, nie zaś 12; Leszczyński 18, a nie 8 marca. Kolenda mian. 3 kwietnia 1651 (L. 22, 168).

Inflancki: Zyberg Józefat rezygnował 23 marca 1775 r.; potwierdza to oryg. rezygnacya z jego podpisem. (N. 89, 83).

Kijowscy: Putiatycz. We wskazaném miejscu (Z. 3, 76) podana data 20 paździer. indyktu 11, to jest roku 1491, nie zaś 1492. Niemirowicz dn. 16 sierpnia 1540 r. nazwany nieboszczykiem (Z. 24, 52), więc nie umarł w r. 1541. Sanguszko Andrzéj był sprawcą wdztwa 3 stycznia 1541 (Z. 24, 95).

Mińscy: Sapieha Mik. mian. 14, nie zaś 25 listopada; Siesicki 16, a nie 14 kwietnia; Sapieha Wł. 4, nie zaś 14 stycznia. Żaba mian. po śmierci Zawiszy 15 listopada 1724 r. (Z. 160, 2099).

Mścisławscy: Korsak Józ. nie żył już 25 czer. 1643 r. Tego dnia otrzymał star. Mścisł., po jego zejściu Janusz Radziwiłł (Z. 114, 246). Sapieha Fryd. otrzymał nominacyą 24 a nie 30 sierpnia 1647.

Parnawscy: Dembiński M. mian. prezydentem 17 kwiet. 1590 r. (Z. 79, d. 132).

Podlascy: Kostewicz według p. W. mian. wdą prawdopodobnie w r. 1517, a spotyka go p. W. poraz pierwszy w r. 1520. W inwentarzu z r. 1730, znajdującym się w Metryce na str. 332*v*. zapisano pod N. 118 „Creatio Palatini Podlachiae“, niezawodnie stosuje się to do Kostewicza.

Smoleńscy: Abrahamowicz Jan mian. wdą 10 lutego 1596 roku (Z. 80, d. 461). Gosiewski nie żył już 2 stycz. 1643 roku (Z. 114, 241). Kierdejowi nominacya była pieczętowaną 5 lipca 1649 roku po Rudominie (Z. 124, 360) *). Jesmann nie umarł w r. 1680, gdyż 20 marca 1685 stawał osobiście przed sądem sejmowym warszawskim (Z. 141, 134).

Troccy: Zabrzeziński Jan żył jeszcze 27 września 1538 (Z. 2, 66), więc nie umarł w 1537. Gasztolt Stan. mian. 5 maja 1542 (Z. 28, 83), jednocześnie Jan Hlebowicz na wdztwo wileńskie. Hlebowicz Jan otrzymał nominacyą 30 marca 1586 roku (Z. 72, 29); Chodkiewicz Aleksander, wda trocki, niesłusznie nazwany podlaskim. W nomi-

---

*) Mniemamy, że Kierdej był wtedy mianowany nie wojewodą, lecz kasztelanem Smoleńskim. — (*Przyp. red.*).

nacyi o tém nie wspomniano, a nawet kategorycznie powiedziano: *in numerum senatorum assumendum duximus* (Z. 85, 330).

Wendeński: Farensbach mian. prezydentem wendeńskim 20 lutego 1588 (Z. 79, d. 21).

Wileńscy: Hlebowicz Jan mian. w piątek czwartego tygodnia po Wielkiejnocy 1542 r. t. j. 5 maja (Z. 28, 81). 20 maja tegoż roku już go spotykamy z tytułem wojewody (Zb.). Chodkiewicz Jan mianowany 28 czerwca, nie zaś 20.

Starostą Żmudzkim Lacki Jan został 14 grudnia 1643 (Z. 114, 311).

Kasztelanowie. Troccy: W r. 1452 kaszt. był Nac, a nie Pac, na co sam p. W. zwrócił uwagę w swém dziele p. t. „Pacowie“ str. 5. Radziwiłł Mikołaj mianowany 3 marca 1586 (Z. 72, 26), nie zaś 1 czerw. Proński mian. 15 stycznia 1591 (Z. 79, d. 198). Do odnalezienia były nominacye Jana Radziwiłła (Z. 91, 145), Marcina Kryszpina (Z. 150, 49), które zresztą tylko stwierdzają daty p. Wolffa.

Wileńscy: Wołowicz Eu. według p. W. mianowany 1 paździer. 1579 r.; w cytowanéj przez niego nominacyi dzień nie oznaczony, skąd więc go p. W. ma? Radziwiłł Krzysztof 10, a nie 1 lutego 1633; Sapieha Mikołaj 8 czerwca, nie zaś lipca; Chodkiewicz Jan 13, a nie 3 kwietnia 1646 r.

Brzescy: Meleszko 12, nie zaś 11 czerwca; Piekarski Krz. mian. w roku 1666. W nominacyi dzień nieoznaczony, prawdopodobnie w końcu grudnia (Z. 132, d. 494). Burzyński Stan. 9 a nie 8 maja; Matuszewicz Marcin 23 listopada, nie zaś 26.

Dorpacki: Holzschuher otrzymał nominacyą po śmierci Lenieka 26 stycznia 1612 r. (Z. 90, 108).

Inflancki: Strutyński 12, a nie 11 lipca 1737 r.

Mińscy: Dorohostajski otrzymał nominacyą 25 paźdz. 1597 r. (Z. 76, 858); Hołowczyński 25 mar., nie zaś 12; Słuszka Aleksander 22, a nie 12 listopada; Rajecki mianowany 5 grudnia 1634 r. (Z. 111, 178): Rusiecki Stef. 25 stycz., nie zaś 15.

Mścisławscy: Wojna Sokoł mianowany 17 lipca a nie czerwca; Meleszko 12, nie zaś 11 czerwca; Łukomski umarł nie w roku 1613, lecz w 1611, wynika to z nominacyi jego następcy Hołowczyńskiego datowanéj 14 listop. 1611, a nie 11 listop. 1613; Drucki-Sokoliński Krzyszt. otrzymał nominacyą 30 stycznia 1623 (S. 87, 145), nie zaś w r. 1622; Bilewicz Tad. 10 a nie 11 października.

Nowogródzki: Nowosielski 6 listopada 1709 roku.

Połocki: Rudomina Krz. mianowany 2 mar. 1644 r. (Z. 114, 691).

Smoleński: Tyszkiewicz Eustachy mian. kasztelanem 10 kwiet. 1589 (Z. 73, 619). Kierdej Eu. mian. 5 lipca 1649 roku (Z. 124, 360).

Wilczek Samuel mianowany 26 czerwca 1665 r. po śmierci Kędzierzawskiego (Z. 135, 57), zatem K. nie mógł umrzeć w r. 1666.

Hetmani: Wiśniowiecki Michał został wielkim h. 26, a nie 27 listop. Chodkiewicz Hr. Al. mian. hetmanem polnym 20 listop. 1561 r. Radziwiłł Krz. mianowany polnym 7 kwietnia 1615 (Z. 91, 373).

Urząd *podkanclerzego* utworzony w roku 1565, nie zaś w 1566, jak o tém poświadcza nominacya Wołowicza Ost., znana p. Wolffowi. Wołowicz Eust. mian. podk. 26 marca 1615 r. (Z. 91, 366). Chreptowicz Jo. mianowany 27 kwietnia 1773 r.

Marszałkowie. Wielcy: Dorohostajski mian. 8 paździer. 1597 r. (Z. 76, 1096); Wiesiołowski Piotr 27 a nie 25 czerwca; Połubiński Al. 11 listopada 1669 r. (Z. 136, d. 207).

Dworscy: Tyszkiewicz Dymitr mian. 20 listop. 1576, nie zaś 22; Masalski Fedor 28 a nie 23 czerwca.

Nadworni: Ilinicz Jurij był już marsz. 7 maja 1518 (Z. 11, 8), więc nie mian. 1519. Sapieha Kaz. mianow. 12 maja 1637 r. a nie 22. Lacki rezygnował w r. 1676 (*), poczém mianowany Radziwiłł Stan. (Z. 139, 134), którego p. Wolff opuścił. Sanguszko K. mian. 20 czer. 1702 r., nie zaś stycznia; Potocki Ignacy 20 grud. 1783 r. a nie listop.

Podskarbiowie. Wielcy: Pac Stef. mianow. 17, nie zaś 24 grudnia 1630 r.; Tryzna M. 30, a nie 13 listopada.

Nadworny: Naruszewicz Krz. mianowany 15 lipca 1615 r., nie zaś kwietnia.

Chorąży nadworny: Słuszka Zygm. mianowany 1 marca 1649 r. (Z. 124, 18). Pakosz K. mian. 12 stycznia 1717.

Cześnicy: Potocki Krz. został cześnikiem 15, a nie 18 marca; Tarło Michał 15, nie zaś 25 września.

Lista *instygatorów* jest całkiém mylnie ułożoną; zamiast ją poprawiać, podajemy w całości według naszych notatek. Nominacyą pierwszą na instygatora odnaleźliśmy pod rokiem 1586. Do tego czasu znajdywaliśmy tylko sporadyczne wzmianki o tych urzędnikach przy spełnianiu przez nich obowiązków urzędowych. W wypadkach, gdzie instygatorowie przed r. 1586 występowali jako osoby prywatne, po większéj części nie używali tego tytułu. Dzielimy więc ich na dwie grupy:

1. Wspominani z tytułem instygatora.

16 sierpnia 1566 r. Melchior Nieciecki mianowany instygatorem dla ziemi podlaskiéj w celu poskromienia nieporządków tam wynikłych (P. 8, 18); 1567 r. Jan Stryżowski (S. 52, 76); 1568—1568 Andrzej Streżecki (S. 53, f. 110, 235); 17 kwietnia 1571 Jan Wilkożent'

(*) W Nr. 7 „Kraju" podany rok 1675. — (*Przyp. red.*).

(S. 52, 360); 1581—1584 Waclaw Łopaciński (Z. 68, 95; S. 61, 197); 1 grudnia 1584 Mikołaj Witkowski (S. 61, 361); 20 marca 1586 Dewczepolski (S. 65, 180); 24 marca 1586 Kamieniecki (Wolff z Aktów Wil. Kom.); 28 marca 1586 r. Malcher Metelski zastępca instygatora (S. 65, 272); 4 sierpnia 1586 Kamieński (przed nominacyą, S. 65, 324).

2. Mianowani:

26 sierp. 1586 Kamieński Malcher, bez wskazania po kim (Z. 73, 161 i Z. 74, 169).

24 kw. 1604 Mikołaj Puzelewski, po zejściu z tego świata Kamieńskiego (Z. 85, 271).

11 marca 1626 r. Wołodkiewicz Chryzostom po zejściu z tego świata Puzelewskiego (Z. 99, 102 i 103). W Metryce dochował się nie tylko przywiléj, ale jurgielt i przysięga Wołodkiewicza. Podczas sprawowania urzędu instygatora był on sekretarzem królewskim, a podsędkiem żmudzkim, jak chce p. Wolff.

21 mar. 1633 Drasławski Jerzy po postąpieniu Wołodkiewicza na podsędkowstwo żmudzkie.

Chrząstowski Stef. Spotykamy go jako instygatora 30 mar. 1648 (S. 119, 44); 1 lutego 1649 podstolstwo żmudzkie ferowane Wł. Bielewiczowi po śmierci Chrząstowskiego (Z. 123, 77). W „Vol. Leg." spotyka się pod rokiem 1638.

Unichowski Krz. P. Wolff kładzie go pomiędzy 1649—1653. Był on instygatorem do roku 1659, w którym umarł.

Orda Wincenty mian. 22 marca 1659 r. po śmierci Unichowskiego (Z. 130, 380).

Zambrzycki Jan znany z nominacyi następcy.

Kurowicz Zabistojski Szym. Kaz. po długiém wakowaniu urzędu wskutek ustąpienia Zambrzyckiego, mian. w lutym 1670 roku (Z. 139, 89).

Romanowicz Dyonizy mian. w roku 1692 (w czerwcu) po śmierci Kurowicza (Z. 146, 447).

Rukiewicz z nominacyi następcy.

Frąckiewicz Jan mian. 25 listopada 1711 po śmierci Rukiewicza (Z. 155, 443).

Królikowski Kaz. mian. 13 lipca 1713 r. po śmierci Frąckiewicza (Z. 157, 58).

Wiszniewski Mich. mian. 16 lutego 1731 r. po dobrowolnéj rezygnacyi Królikowskiego (Z. 162, 718).

25 kw. 1732 Burzyński z Burzyna Stan. po rezygnacyi Wiszniewskiego (Z. 167, 274).

9 maja 1750 Łopaciński Mik. po postąpieniu Burzyńskiego na kasztel. Brzeską (Z. 176, 434).

9 maja 1761 Zienkowicz Andrzej po rezygnacyi Łopacińskiego (Z. 183, 433).

9 grud. 1765 Chmara wice-instygator po ustąpieniu Zienkowicza (Z. 188, 49).

31 mar. 1779 Chrapowicki po Chmarze (P. 24, 179).

6 październ. 1783 Chrapowicki Józef po Eustachym (Now. 136, f. 21 bis).

Wojniłowicz Franc. komisarz cywilno-wojskowy Słonimski mian. 6 czerwca 1792 r. po dobrowolnéj rezygnacyi Józefa Chrapowickiego (P. 34, 1248).

1775 Borzęcki podniesiony z wice-inst. na drugiego instygatora.

29 stycz. 1782 Ślizień Rafał po śmierci Borzęckiego (P. 30, 264).

Mylnie podani przez p. Wolffa: Przeliewski Mik. 1583, którego p. W. znalazł w księdze poselskiéj metryki, wydanéj przez Pogodina i Dubienskiego. Wydawcy mylnie odczytali tekst. W oryginale Pvzeliewski. Jest-to instygator z r. 1604 — 1626. Zaleski Jakób nie był wcale instygatorem. W dokumencie powołanym przez p. W., Zaleski nazwany jenerałem dwornym: „Pozwany Sołtan czerez szlachetnogo Jana Rudowskogo, czerez jenerała naszogo dwornogo Jakuba Zaleskogo, instigatora naszogo i urożonogo Jana Sapiehi.“ Łopaciński W. był instygatorem na lat kilka przed Kamieńskim, nie zaś po nim. Komorowski Sam. nie był instygatorem w r. 1647; w owym czasie urząd ten zajmował Chrząstowski. We wskazanym ustępie „Vol. Leg.“ K. nie jest nazwany instygatorem (1). W nominacyi na obożnego 3 kw. 1654 (Z. 129, 273) K. nazwany tylko star. wiłkomirskim. Prawdopodobnie K. nie był wcale instygatorem.

Listy *wice-instygatorów* p. W. nie układał, tylko wskazał kilku w przypisku. Daty p. W. i tu są niepewne. Nam się zdarzyło znaleźć daty dokładniejsze. Swieżyński mian. 28 marca 1635 r. (Z. 111, 367), po jego śmierci objął ten urząd Szymon Staniewicz 11 czerwca 1650 r. (Z. 124, 320). Do roku 1676 wice-instygatorem był Kurowicz (Z. 139, 89), do 1692 Romanowicz, do 1713 Sidorowicz, a po jego śmierci wice-instygatorya przeszła do rąk Kobeckiego w stycz. 1713 (Z. 157, 19). Chmara pozostawał wice-instyg. do 9 grud. 1765, a po jego podwyższeniu na istygatorstwo, mianowany wice-instygat. An. Borzęcki (Z. 188, 49), który piastował urząd aż do jego zniesienia, poczém postąpił na instygatora.

---

(1) Vol. Leg. IV. 122, 72: Assekuracya o zapłatę piechocie Dyneburskiej.... zapłata onych doszła przy Wnych hetmanach naszych WXL. lub subysttutach ich, y pisarzu polnym WXL. prawu iego nie derogując, y komissarzach urodzonych, Jana M. Stankiewicza, Ciwona Eyragolskiego, pisarza ziemskiego żmudzkiego, Pawła Marcinkowicza sędziego Upitskiego, *Samuela Komorowskiego Podstolego Wilkomirskiego y Instygatora WXL*

Koniuszowie: Piasecki Jakób mianowany nie w r. 1566, lecz 3 listopada 1565 r., a nadto w chwili nominacyi już był starostą gieranońskim (S. 53. 57).

Kuchmistrzowie: Wojna Stan. mianowany 16, nie zaś 6 marca 1640; Piotrowski otrzymał nomin. 22 lutego 1649 r. (Z. 124, 15).

Łowczowie. Po Mikołaju Naruszewiczu mianowany Jan Naruszewicz 20 kw. 1589 r. (Z. 80, 2). Po śmierci Jana Nar. otrzymał nominacyą Krzysztof Nar. 15 paźdz. 1613 (Z. 91, 198). Ztąd wynika, że Jan Nar. nie mógł umrzeć w r. 1616, że Hryhory Wołowicz nie mógł być łowczym w r. 1591. Karol Nar. mian. łowczym 26 nie zaś 23 marca 1624 roku.

Oboźni: Sapieha Tom. mian. 4 lutego 1649 r. (Z. 124, 5*v*.); Wołowicz Jan 1 wrześ. 1692 r. (Z. 146,437). Judycki J. mian. 10 grudnia 1774 r.; Borch Mich. 14, nie zaś 12 stycznia 1781.

Pisarze. Bohusz Bohowitynowicz był pisarzem jeszcze w r. 7 kw. 1526. Pod dokumentem z téj daty mamy podpis: „Bohusz pisał a Kopot' pritom był (Z. 14,179 v). Wojna Ławryn mian, 23 a nie 15 grud. 1566 (Z. 50, 46); Naruszewicz Stan. 19, nie zaś 29 września 1630; Obuchowicz Filip 10 grudnia 1649 (Z. 124, d. 78). Przeździecki Mich. rezygnował 30 grudnia 1777 r. (P. 25, 231). Morawski Ign. 20 grudnia 1783, nie zaś listopada; Tyszkiewicz Win. 12, a nie 8 grudnia 1780; Emanuel Brzostowski był niewątpliwie pisarzem WKsL. (Z. 143, 511 v.); Wielhorski Jerzy mian. pisarzem polnym 4 grudnia 1783 (P. 30, 681). Rzecz o pisarzach należałoby jeszcze raz przerobić, jest to jeden ze słabszych oddziałów.

Podkomorzowie: Dowojna Andrz. jest podkomorzym 23 czerwca 1506 r. (Z. 76, 463).

Referendarze: Isajkowski mian. 30, nie zaś 31 sierpnia 1641. Zawisza Jan 6 maja 1649 r. (Z. 124, 25 v.); pierwszym referendarzem świeckim według p. Wolffa jest Chreptowicz w r. 1594. Chreptowicz mian. referendarzem 29 kw. 1589 r. po postąpieniu Gabriela Wojny na podkanclerstwo (Z. 80, 36); Gosiewski Al. mian. 13, nie zaś 10 sierpnia 1610 r.; Brzozowski Cypr. 11 czerwca 1650 r. (Z. 137, 34).

Sekretarze: Ancuta Michał Hieronim (nie zaś Jerzy) rezygnował 15 listop. 1724 (Z. 160, f. 2100).

Na teraz ograniczamy się na tych dopełnieniach, które z każdym dniem się zwiększają i których, o ile słyszeliśmy, sam p. Wolff ma sporą ilość. Nim jednak skończymy rzecz naszą, musimy zwrócić uwagę na kilka szczegółów podanych przez p. Radzimińskiego.

Najprzód wyrażamy nasz żal, jaki mamy do p. R. z powodu, że wskazując na swoje Archiwum, nie objaśnił jakiego to rodzaju cytuje on dokumenta, czy to są oryginały, czy odpisy, a wtedy—zkąd; to samo stosujemy i do notat p. Rulikowskiego i Archiwum sławuckiego.

W cytatach z Metryki p. R. nie jest dokładny, kilka dat mogliśmy odnaleźć, wielu zaś nie znaleźliśmy. Zresztą p. R nie wskazał według jakiéj numeracyi podaje księgi. Tak np. powołuje się on na ks. 15 f. 246, a tym czasem w téj księdze na k. 238 v. w r. 1596 w czasie przepisania księgi dodano: „Daléj nie było czoho pisati bo sia karty welmi potargali ku koncowi, Olbrachta Drażecki pisał.“ Rozjaśniamy kilka kwestyi wątpliwych dla p. R.: Namiestnikiem nowogrodzkim w r. 1492 był Jurij Pac, jak podaje p. Wolff. Tak rzeczywiście on wyrażony na podpisie. Jan Hlebowiczmianowany 20 list. 1532, nie zaś 11 list. 1531, jak podają Akta J. Z. Ros., o czém mówiliśmy wyżéj. Nominacyi Madalińskiego na województwo Smoleńskie nie mogliśmy wynaleść.

Żaden Wasil Kopot' nie był pisarzem; w dokumentach powołanych przez p, R. (Z. 7. 628, 629, 630) występuje wyraźnie Kopot' Wasilewicz dzierżawca perewolskij (przewalski) 16 list. 1516, a w paźdź. r. 1522 tenże Kopot' dzierżawca perewolski, nazwany marszałkiem, w tytule dokumentu Wasilewicz, a w tekście Waśkowicz (Z. 7. 630). Otóż dokument ten, powołany przez p R., wyjaśniał kwestyą, że Kopot' Waśkowicz i Wasilewicz jest to jedna osobistość i że żaden Wasil Kopot' nie był pisarzem.

Jakób Bobolecki nie był skarbnikiem litewskim. W dokumencie, wskazanym przez p. R., nazwany on „dworianin nasz *s korony* polskoje“ (Z. 8. 115). Kopista p. R. przeczytał zam. „s korony“ „skarbnik,“ ztąd nieporozumienie.

Z powodu wykreślenia przez p. Wolffa z liczby kuchmistrzów Wojciecha Janowicza Kłoczki i zamieszczenia go w liczbie ochmistrzów królowéj Heleny, p. Radzimiński twierdzi, że Wojciech Janowicz i Wojciech Kłoczko są dwie osoby różne, że *ochmistrz nigdy Kłoczką*, a *kuchmistrz Janowiczem nie byli*, że na wiatr dać wiary nie można, by z ochmistrza kuchmistrza, a z Janowicza Kłoczkę zrobił pisarz hospodarski, gdyż niepodobna przypuścić, by nie znał składu rady hospodarskiéj. Rzecz to nadzwyczaj trudna do rozstrzygnięcia z powodu charakteru dokumentów, w których znajdujemy tę osobistość. Zawsze spotykamy go w podpisach skróconych, co utrudnia odczytanie, a w podpisach w owym czasie nie było we zwyczaju dodawać nazwiska, ograniczano się na patrominicum. W powołanym przez p. R. dokumencie, w którym figuruje Wojciech Kłoczko kuch-

mistrz, występuje m. i. Stanisław Janowicz pan Wileński (*sic*); jest to Stanisław Janowicz Kieżgajło pan Trocki. W ten więc sposób mógł i Kłoczko występować bez nazwiska. Po tém omówieniu możemy przystąpić do dat, które rzecz nieco wyświetlą. Przejrzyjmy księgę 5 Zapisów w Metryce. Pod dniem 21 stycznia 1495 r. na przywileju Aleksandra podpisany: „marszałok nasz welikij pan Wojtiech Kłoczko“ (str. 23 v.). Z temi tytułami występuje on aż do 4 sierpnia tegoż roku (f. 42, 45, 46). Pod dniem 10 sierpnia czytamy podpis: „pri tom był ochmistr. utianskij. Wojtiech Kłoczko“ (47); 2 września 1496 r. podpis „pri tom był ochmistr wielikoj kniehin pan Wojtiech Janowicz tiwun szawelskij kowienskij“ (48); 11 lutego tegoż roku „Ochmistr W. Kn. namiestnik utianskij pan Wojtiech Kłoczko“ (55 v.). W potwierdzeniu nadania na Zabrzezie w r. 1630 przytoczono w przekładzie łacińskim nadanie z dnia 16 paźdź. r. 1499, tam w liczbie świadków wymieniono (praesentibus:) „Alberto Kloczko Counensi (Capitaneo) et Magistro Curiae“ (Z. 99, 413). Pod dniem 29 wrześ. 1500 r. (Z. 6, 294) znajdujemy „Potwierżenie panu Wojtku Janowiczu Kłoczku na imienja,“ tak brzmi tytuł dokumentu; w tekście przywileju pisarz opuścił nazwisko Kłoczki i tam on nazwany „ochmistr naszeje wielikoje knehin namiestnik kowienskij pan Wojtko Janowicz.“ Z tytułem kuchmistrza spotkaliśmy Kłoczkę tylko raz w dokumencie, cytowanym przez p. R. i wydrukowanym w Akta Zap. Ros. Dokument ten zapisany do księgi bardzo niedbale, co łatwo zauważyć choćby z przedruku. Oto przykład jeden: kasztelan trocki Stanisław Janowicz (Kieżgajło) nazwany panem wileńskim, więc pisarz nie znał nawet kasztelanów. Co do Kłoczki, jest to pomyłka kopisty, w przywileju zapewne jéj nie było. Przywilej ten dochował się w późniejszéj kopii łacińskiéj, gdzie Albert Kłoczko nazwany Magister Curiae (Z. 25. 21 v.), t. j. ochmistrz. Daty te mogą pozwolić nam na zrobienie przypuszczenia, że Wojciech Kłoczko kuchmistrzem nie był, że Wojciech Janowicz i W. Kłoczko jest to jedna osobistość, i twierdzić stanowczo, że W. Kłoczko namiestnik bielski, kowieński, uciański był nietylko ochmistrzem, lecz i marszałkiem wielkim, o czém i p. Wolff nie wie.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga. Pan Radzimiński zarzuca panu Wolffowi, że mu wcale nieznany stolnik litewski z r. 1587 Aleksander Buński, którego odnalazł p. R. w archiwum swojem. Zauważyliśmy już, że p. R. powołuje się wciąż na dokumenta z archiwum własnego, nie wskazując wcale jakiego to rodzaju dokument, i jeżeli odpis, to zkąd on pochodzi, nie możemy więc ani go sprawdzić, ani na nim polegać. W wypadku obecnym jednak śmiało

możemy twierdzić, że wspomniany przez pana Radzimińskiego Buński, jeżeli nie całą swą egzystencyą, to napewno stolnikowstwo zawdzięcza kopiście pana R. jak Bobolecki skarbnikowstwo. Buński Aleksander powstał z kniazia Aleksandra Prońskiego, który w owym czasie był stolnikiem litewskim.

Jaka więc w pracach podobnego rodzaju musi być ostrożność.

Innych dat, podanych przez pana R. sprawdzić nie mogliśmy z powodu niedokładności wskazówek.

S.... cki.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA

I WRAŻENIA LITERACKIE.

Rostafiński Dr. Józef. Kucmerka (Sium Sisarum) pod względem geograficzno-botanicznym i historyi kultury. (Odb. z Rospr. Akad. Umiej. Wydz. matem.-przyr. T. XII). Kraków 1884, 8⁰, str. 52 i 1 drzeworyt.

Geografia roślin jak każda z nauk przyrodniczych ma wiele ciemnych i niepewnych stron. z tą tylko różnicą, że wątpliwości w innych leżą przeważnie gdzieś daleko po za ogniskiem naszego cywilizacyjnego życia, których zbadanie utrudnione jest przestrzenią miejsca i czasu, gdy tymczasem badając rozmieszczenie roślin napotykamy wiele stosunkowo może najwięcéj znaków zapytania pośród nas w Europie. Gdzie tego przyczyna? Wędrówki roślin różnie sobie tłómaczono, doprowadzając dowolność tę często po za granice naukowego wnioskowania. opierając za wiele na przypadku, a pomijając najczęściéj wpływ ludzkiéj kultury na rozmieszczenie świata roślinnego. Jednym z pierwszych dopiero de Candolle w historyi roślin uprawnych rzucił jasny promień na tę sprawę, rzecz jednak obrobił za mało źródłowo, za nadto ogólnie. Kierunek podjęty przez de Candolle'a mało jednak znalazł naśladowców, botanicy dziś niestety po za granice swéj specyalności rzadko kiedy sięgający, nie chcieli czy nie umieli podnieść téj świetnéj idei i poprowadzić jéj naprzód. Jedynym z botaników, który szerszy zakres niż de Candolle kierunkowi temu nadał — jest prof. Rostafiński. Rozbierając pracę jego o *kucmerce*, zapoznam najlepiéj czytelnika z rodzajem i naukowemi owocami takich studyów.

O *kucmerce* mieliśmy dotychczas mało wiadomości, różne były zdania o jéj ojczyźnie, różnie kreślono jéj wędrówkę po Europie, na jedno się tylko zgodzono, przyznając *kucmerce* dosyć dawną prze-

szłość, miała już bowiem dobrze być znana w Rzymie za czasów Pliniusza. Faktem zaś było to tylko, że bulwy *kucmerki* były pomiędzy XV a XVII wiekiem jarzyną prawie w całéj Europie bardzo lubianą, gdy tymczasem dziś o istnieniu jéj mało co wiedzą nawet sami botanicy. W celu wyjaśnienia tych kwestyi przedewszystkiém postarał się autor o dokładne oznaczenie miejscowości, gdzie dziś jeszcze *kucmerka* w stanie dzikim się znajduje. Już-to korzystając z cytat, już-to porównywując oryginały przyszedł autor do tego przekonania, że *kucmerka* w stanie dzikim żyje od Altaju aż po Wołyń i Podole, przyczém oznaczenie europejskich stanowisk, dla wyjaśnienia całéj sprawy nader ważnych, jest po części zasługą autora. Drugą kwestyą było, zacząwszy od starożytności, wytłómaczenie nazw ludowych i książkowych téj rośliny i oznaczenie na podstawie starych pomników, gdzie i kiedy roślina ta była uprawianą. Najdawniejszą wzmiankę o roślinie podobnéj nazwy *Siser* spotykamy u Pliniusza i Columelli. Poprzedni uczeni byli tak pewni o tożsamości téj rośliny z *kucmerką* (*Sium Sisarum*), że uważali wogóle udowodnienie tego już za zbyteczne. Z innego stanowiska patrzał na to Rostafiński i po bardzo interesujących studyach, prównywując dawne opisy życia, uprawy i przyprawy, przyszedł do tego przekonania, że *Siser* z *kucmerką* nie ma nic wspólnego. Co łatwo udowodnić. Columella opisując jak się *Siser* jako potrawę przyprawia, radzi odrzucić korę a tylko rdzeń spożywać. Nieszczególnie na téj poradzie wyszlibyśmy, gdybyśmy chcieli przepis ten zastosować do *kucmerki*, w któréj właśnie tylko jest jadalną silnie rozwinięta kora, bo rdzeń jest zupełnie nieznaczny, albo tak zdrewniały, iżby go przełknąć nie było można. Co do uprawy zaś saméj rośliny, to radzi ją Columella w kilka tygodni po wysianiu przesadzić, co u *kucmerki* byłoby niemożliwém, bo ona dopiero w sześć tygodni kiełkuje, a wszelkie przesadzanie jest dla niéj po prostu zabójcze. Pliniusz pisze prócz tego, że dla złagodzenia gorzkiego smaku *Siser* musiano dodawać miodu. Co znowu zupełnie nie odpowiada *kucmerce*, bulwy jéj bowiem z natury już są słodkie, dodanie więc miodu byłoby nie tylko niepotrzebném ale nawet dosyć nieprzyjemném, nabrałaby bowiem przezto potrawa jeszcze więcéj mdłego smaku. Opierając się na tak prostych a niezbitych dowodach, zaprzecza Rostafiński po wszystkich książkach od wieków roznoszonym wieściom, jakoby *Siser* i *kucmerka* miały być tą samą rośliną.

Zaprzeczenie to jednak nie zadawalnia jeszcze autora, pozwala więc sobie na małe odejście od przedmiotu i zadaje sobie pytanie, jeżeli *siser* nie jest *kucmerką*, czemże jest wogóle. Aby na to pytanie odpowiedziéć, znowu zagłębia się Rostafiński w starych folia-

łach, znajduje wskazówki skąd tę roślinę do Rzymu przyniesiono, co do jéj uprawy i własności, i tak zwolna, przez porównania, które tu już pominę, dochodzi do bardzo prostego wyniku, że *Siser* jest to *Kolnik* (*Campanula Rapunculus L.*), roślina dziś jeszcze w Niemczech jako przyprawa używana. Wracając do *kucmerki*, zajmuje się autor jéj nazwami u obcych zielnikarzy. Przechodzi daléj jéj uprawę w Polsce, zacząwszy od XIV wieku, popierając rzecz całą licznemi cytatami z *Antibolomenon Benedicti Parthi*, przekładu Piotra de Crescentiis, Marcina Urzędowa i Syreńskiego. Samę zaś polską nazwę *kucmerki* wywodzi trafnie autor z niemieckiego od *Kritzelmore*, co popiera jeszcze dopiskiem Syreńskiego o przyniesieniu téj rośliny do ogrodów krakowskich z Moguncyi. Istnienie *kucmerki* w Polsce, jakkolwiek jakiś czas było bardzo w modzie, jadano ją bowiem i na stole królewskim, nie trwało jak do XVIII-go wieku, późniejsze wzmianki są przeważnie cytatami z dzieł niemieckich, pierwsza nazwa jéj nawet ginie, przechodząc w ustach ludu na zupełnie inną roślinę. Nazwa rosyjska jest zupełnie taką samą jak polska, a zupełnie inną od nazwy tejże saméj (*Sium lancifolium*, wedle Czernajewa i Rostafińskiego, jest tą samą rośliną co *Sium Sisarum*) dziko tam rosnącéj rośliny. Rostafiński słusznie więc przypuszcza, że *kucmerka* jako jarzyna przyszła do Rosyi za pośrednictwem Polski. W Niemczech oprócz wyż wymienionéj nazwy, która jest późniejszego pochodzenia, jest ich jeszcze bardzo wiele, z których jedna (*gerle*) jest wspomnianą już w rękopisie z XII wieku.

Z Niemiec, jak to trafnie Rostafiński z tożsamości nazw wnosi, rozeszla się *kucmerka* po wszystkich ludach germańskiego szczepu; z Anglii zaś w XVII wieku doszła i do Ameryki. Nazwy francuskie *kucmerki* można podzielić na dwie grupy, z których jedna (*girole*, *gironles*) najwyraźniéj jest utworzoną z niemieckiego *girel* (*girol*), druga zaś (*cherou*, *cherouis*) jest — wedle słusznych poglądów autora— przerobioną z *cherophyllum*, którą to nazwę obcéj rośliny przeniesiono mylnie na *kucmerkę*. Nazwy hiszpańskie i portugalskie zaś są czysto pochodzenia francuskiego. Widzimy więc z tego, że uprawa *kucmerki* na całą Europę rozeszła się z Niemiec, gdzie już pomiędzy VIII a XII wiekiem musiała być wprowadzoną. Do Niemiec zaś, sądzi autor, że najprawdopodobniéj musiała się *kucmerka* dostać z Rusi, z którą za Karolingów zostawali Niemcy w dosyć ożywionych stosunkach politycznych i kupieckich. Że dziś na Rusi wyginęła u ludu już i pamięć *kucmerki* jako jarzyny, jest to zjawiskiem dosyć powszechném, w tym wypadku tém łatwiejszém do wytłómaczenia, że tam dziś nowy, obcy kierunek cywilizacyjny po upadku dawnego zapanował.

Pewnikiem jest, że uprawę *kucmerki* zabiło wprowadzenie ziemniaków, równocześnie bowiem wiele jeszcze innych jarzyn uległo w téj nierównéj walce—czy jednak dla *kucmerki* jest jeszcze pewna nadzieja powrotu, mimo całego entuzyazmu autora dla téj potrawy, wątpię bardzo. Uważano *kucmerkę* jako bardzo dobrą przyprawę (rodzaj t. z. sałaty), nie sądzę jednak, aby mimo całéj swéj pożywności, mogła kiedy dojść do takiego znaczenia jak ziemniaki, brak jéj bowiem najważniejszego przymiotu, znamionującego nasze codzienne potrawy, t. j. pewnego obojętnego prawie działania na nasze organy smaku.

Rozprawa Rostafińskiego obok bardzo interesujących wyników podniosła w naukach przyrodniczych silnie nowy kierunek, który po dziś dzień zaledwo dopiero zarysowano. Mając do czynienia ustawicznie z żywą naturą, przyzwyczajony jest przyrodnik patrzéć z pewną nieufnością na te tchnące stęchlizną folianty, z których nie spodziewa się nigdy zdobyć jakiejś nowéj myśli, jakiegoś jaśniejszego promyka rozświecającego tajniki tak bujném życiem tętniącéj przyrody. Rostafiński umie przekonać, że i tam w tych zamarłych słowach starych kompilatorów, pośród zawiłych fantastycznych zapisków, są dla nas ukryte skarby myśli, obrazy upłynionego życia przyrody.

Ign. Szy.

Jarosław Vrchlicki. Duch i świat. Przełożył z czeskiego Miriam. Warszawa. Nakł. T. Paprockiego. Z portretem poety, str. VIII + 154.

Twórczość najpłodniejszego z młodych poetów czeskich, o ile ją z przekładów na język polski poznać mogłem, ma też samę zasadniczą cechę, jaką się odznacza i poezya nasza najnowszego okresu. Jak Asnyk u nas, tak Vrchlický u Czechów jest wirtuozem formy i treści, który pod przygniatającym ciężarem zdania: „wszystko już było“ nie śmie a zapewne i nie może porwać się na stworzenie czegoś nowego, na zapoczątkowanie nowéj epoki poetyckiéj, ale stawszy się mistrzem języka, stylu i wierszowania, ogarnąwszy myślą i uczuciem cały świat kreacyi poetyckich i pomysłów naukowych, staje się wyrazem najróżnorodniejszych nastrojów, najsprzeczniejszych przekonań, najwyszukańszych kształtów. Niedowierzanie i korna wiara, naiwność i wyuzdanie, pesymizm i optymizm, uczuciowość i wiedza, namiętność i refleksyjność zdają się być pokolei żywiołami duszy poety. Może on być zarówno Grekiem jak barbarzyńcą, mnichem średniowiecznym i nowożytnym liberałem, wielbicielem mi-

styki jak i wiedzy pozytywnéj. Jaki jest właściwy nastrój liryka, jakie jego istotne przekonania, jakie rzeczywiste ideały: o tém napewno powiedziéć niepodobna, bo gdy już sądzimy, że uchwyciliśmy ton jego, nagle słyszymy dźwięk odrębny... Zdaje się, że właściwością poety jest to właśnie, żeby umiéć wszystko wyśpiewać, przez wszystkie stopnie i odcienia uczuć i myśli czytelnika przeprowadzić a nie odkryć jednak głębi swéj duszy.

Może to jest wynikiem dążności do uczynienia liryki przedmiotową tak, jak już epikę przedmiotową zrobiono. Nie zastanawiając się tu nad sprzecznością niejaką, która z zestawienia samego dwu pojęć—„liryka przedmiotowa"—widniéć się zdaje, zgodzić się można, iż wystawić sobie poetę jako harfę Eolową, z któréj tony wydobywa przemienny wiatr czy wicher usposobień, nie jest czémś niepodobném lub nawet trudném; ale zauważyć wolno, że taka chwiejna i zmienna indywidualność poetycka, zależna w zupełności od chwilowych, nieustannie przepływających wrażeń, choćby zupełnie świadomie ujmowanych i odtwarzanych, nie zdoła osiągnąć tego wielkiego wpływu na ludzi, jaki wywierają jednostki skupioném, zogniskowaném uczuciem oddziaływające na społeczeństwo. Psychologicznie dają się one pojąć, poetycznie a raczéj artystycznie mogą mieć swe mniejsze lub większe znaczenie, stosownie do stopnia talentu, ale społecznie nie są one takiemi czynnikami postępu, jak talenta samotwórcze.

Talent Vrchlickiego składa się przeważnie z bogatéj, barwnéj fantazyi i z wielostronnéj rozwagi; uczucie ma w czynnościach jego rolę podrzędną. Dlatego téż utwory tego poety zadziwiają prawie zawsze, dają do myślenia bardzo często, uczą niekiedy, ale nie wzruszają nigdy. Blaski wyobraźni tęczowéj olśniewać mogą, lecz ogrzać nie zdołają.

Najupodobańszą, jak się zdaje, krainą poety czeskiego jest Grecya starożytna. Ile razy dotknie się tematu helleńskiego, zawsze wydobędzie na jaśnię jakąś ocenę zajmującą, jakiś miły lub uroczy żywioł myślowy, który czaruje czytelnika bodajby na chwilę tylko. W zbiorku poezyi, który nam podał sposobność do mówienia o talencie Vrhlickiego, w „Duchu i Świecie" znajduje się dziewięć utworów, opartych na motywach greckich i wszystkie dziewięć, jeżeli nie w całości swojéj, to w szczegółach, należą do pieścidełek artystycznych, do arcydzieł wirtuozyi poetyckiéj. Zarówno wesołe i hulaszcze („Śpiew Satyra"), jak poważne i podniosłe („Sarkofag". „Hezyod"), zarówno prostotę, spokój, naiwność malujące („Psyche i Satyr"), jako téż odtwarzające potęgę ujarzmioną a jednak buntowniczą („Centaur"), umie Vrchlický po mistrzowsku traktować. Gdy

Psyche po raz pierwszy opuściwszy złociste sale Olimpu, w dziecinném marzeniu rozpatruje się po świecie, jakaż to prostota i naiwność szczera w jéj myślach!

Wszystko jéj świętém było; ptaszek—cudem,
A pszczółka, która poszukując miodu,
Aż na nenufar na wodzie zbłądziła,
Wydała jéj się w złotych blaskach słońca
Małą iskierką, żywą, płomienistą,
Których deszcz świetny codzień wylatuje
Zpod kół Heliosa, aby o północy
Na stropie niebios zapłonąć gwiazdami.
Bała się zerwać wonny kwiat lotosu,
A kiedy w rzece ujrzała swe liczko,
To z podziwieniem wyciągnęła ręce
I chciała siostrze rzucić się w objęcia.
Lecz na dnie rzeki siostra domniemana
Też ręce wzniosła, też się uśmiechnęła,
A potok szumiał i ptaki śpiewały,
Bór zdala wtórzył im swoją muzyką,
A nad jéj głową leciały bociany....

A kiedy znowuż maluje nam walkę Centaurów, jakaż siła w każdém słowie bez śladu nawet retoryki.

Tylko wciąż słychać, jak cios tam cios ściga,
Jak kamiennemi maczugi, oszczepy,
Rąbią się, młócą, druzgocą czerepy,
Jak rwą odłamy skalne—i na głowy
Wrogom je walą. Oreas w cedrowy
Lasek się skryła, a Nimfa spłoszona—
W sitowie rzeczne. Bój wre. Ten w ramiona
Chwyta platana pień i w przeciwników
Tłumy go ciska; tam śród dzikich krzyków
Upada inny—i wkoło rząd cały
Z sobą pociąga—już z ciał żywych wały;
Pod kopytami ich deszcz iskier wytryska,
Ten tyłem gniecie, ten piersią naciska,
A ryk—jak tysiąc oddalonych gromów....

I sen jednego z Centuarów po skończonéj walce, kiedy mu się inny, nieznany dotąd widnokrąg uczuć tkliwych odkrywa, kiedy mu się wydaje, że słyszy szept miłości w swojém pobliżu; i przebudzenie się, gdy pomyślał o swéj niekształtności, i straszna rozpacz, że z jéj powodu żadna z istot tkliwych do niego rąk nie wyciągnie, i rozpłatanie sobie łba o cedr — wszystko to pięknie, tkliwie lub jędrnie przedstawił poeta, kończąc domniemaniem, że przecież „co Centaur marzył, snem może nie było“, że i dla niego w sercu czyjemś miejsceby się znalazło.

I w innych oddziałach „Ducha i Świata“ znajdują się rzeczy ładne lub rozumne, ale nie mają już one téj świetności, co motywy greckie. Widocznie więcéj pracy musiał dokładać poeta, ażeby się przejąć nastrojem średniowiecznym, lub obrazami „pra-wieku“, a nawet zagadnieniami nowożytnemi, a praca ta pomimo całéj wirtuozyi odbiła się na utworach. Na czele ośmiu legend średniowiecznych postawiłbym „Kłosy biedaków“ dla jéj myśli społecznéj, na czele „Zagadek“ to jest kwestyi świata nowożytnego,—przemowę „Do geniuszów“. Z obrazów „pra-wieku“ żaden mi właściwie nie przemówił do rozumu lub serca, chociaż wszystkie rozbujały wyobraźnię. Zanadto tutaj myśli nowożytnych, zamało prostoty i siły samorodnéj. Kończy się ten oddział utworem p. n. „Myt“, w którym przeprowadzona myśl, iż ludzkość dopóty żyje, póki baśń. Z naszkicowanego powyżéj charakteru poezyi Vrchlickiego zrozumieć nietrudno, że niewiadomo, czy to jest myśl autora wogóle, czy téż przedmiotowo zaznaczone przekonania zwolenników mytu i tradycyi. Uwielbienie dla poezyi, które się naturalnie wszędzie u poety tego przebija, nie może być poczytywane za jednoznaczne z uwielbieniem dla baśni, boć i prawda ma także swoje w niéj znaczenie. A z epilogu, poświęconego „Nieznanym bogom“, widać znowu, że Vrchlický w miłosném zespoleniu się z przyrodą i w pracy szuka bogów ludzkości, a więc tego, co zarówno bodźcem jak czynnikiem jéj życia duchowego było i będzie. Na tém zaznaczeniu wątpliwości, które może bardziéj niż poprzednia charakterystyka uwydatnić zdoła tę artystyczną giętkość, z jaką poeta od jednego pomysłu do drugiego, i od jednego poglądu do drugiego przechodzi, najstosowniéj chyba będzie zamknąć tę wzmiankę o wysoce utalentowanym i nadzwyczaj pod względem wyobraźni ruchliwéj, lotnéj i barwnéj bogatym poecie. — Przekład o ile jest wiernym, nie wiem; ale że jest starannym, to widać bez porównywania z tekstem. Język i styl Miriama w bardzo licznych przekładach z Vrchlickiego wyrobił się, nabrał giętkości i służy jako posłuszne narzędzie wyobraźni i myśli, nie w tym jednakże stopniu, ażeby wszelkim wymaganiom czyniło zadość. Niekiedy potrzeba rymowa zmusza go do używania wyrazów ukutych (np. przymiotnika *gwiezdny*), lub form niepoprawnych (np. *kleszcz* zamiast *kleszcze*, *grąży się* (str. 138) zamiast *pogrąża się* i t. p.). Jeżeli pisze wierszem miarowym, to na utrzymanie jednostajności rytmu baczy nie bardzo, jak prawie wszyscy, którzy tym wierszem u nas się posługują.

P. Ch.

Herbert Spencer. Jednostka wobec państwa. Warszawa. Nakładem księgarni A. Gruszeckiego, 1886. małe 8-o str. 202.

Drobne to dziełko modnego dziś u nas uczonego jest filipiką przeciwko współczesnemu dążeniu stronnictw demokratycznych do rozszerzenia działalności i atrybucyi rządów państwowych w celu opieki nad upośledzonemi warstwami społeczeństwa. Autor przypomina przedewszystkiém, że cechą dawniejszego liberalizmu była właśnie dążność wprost przeciwna, dążność do jak największego ograniczenia władzy państwowéj i rozszerzenia wolności osobistéj obywateli, a następnie tak kreśli genezę zmiany, jaka zaszła w poglądach większości na tę sprawę: „Jakim był cel reform, dokonanych przez liberalistów w czasach ubiegłych, w oczach ich twórców i ludu? — Powinny one były usunąć krzywdy ludu, lub jakiejś jego części. Taką była ich cecha wspólna, która najmocniéj utkwiła w umyśle ludzkim. Winny one były łagodzić krzywdy, doznawane bezpośrednio, lub pośrednio przez klasy niższe, zmniejszać przyczyny nędzy, lub łamać przeszkody, tamujące drogę do pomyślności. A ponieważ w umyśle większości ludzi usunięcie złego wyrównywa spełnieniu dobrego, przeto środki te poczęły być uważane za dobrodziejstwa dodatnie, a dobrobyt ogółu poczytywanym był za cel liberalizmu tak przez liberalnych mężów stanu, jak i przez wyborców liberalnych. Stąd powstał zamęt (?!). Ponieważ nabycie dobra dla ludu było cechą zewnętrzną, wybitną, wspólną reformom liberalnym czasów starożytnych (a dobro to polegało wówczas zasadniczo na zmniejszaniu przymusu), zdarzyło się przeto, że liberaliści upatrywali w dobrobycie ludu nie cel, który należało osiągnąć pośrednio przez zmniejszanie przymusu, lecz cel, który się winno osiągnąć bezpośrednio (przez przymus). W tym więc zamiarze używali oni sposobów, rdzennie przeciwnych tym, jakimi posługiwano się pierwotnie.“ Tak więc, według tego rozumowania, źródłami całéj téj zmiany poglądów na zakres i zadania władzy państwowéj, jaka się zwolna w ciągu ostatnich lat dziesiątków w umysłach demokratów wszystkich cywilizowanych krajów dokonała, był jedynie... błąd psychologiczny! Dühring w swéj *Historyi filozofii* nazywa Spencera „psychologizującym sztukmistrzem“ w naukach, jakie uprawia. Trzeba przyznać, że w tym razie przynajmniéj epitet ten słusznie mu się należy. Błąd, nie psychologiczny wprawdzie, ale logiczny, popełnił tutaj sam autor „Jednostki wobec państwa“, nie liberaliści. Bo czyż dla nich dobro ludu było tylko „wybitną cechą zewnętrzną“ dokonywanych reform, a rzeczywistym celem ich—„zmniejszanie przymusu,“ czy też to drugie środkiem dla osiągnięcia pierwszego jako ostatecznego celu? Je-

żeli zaś ograniczanie interwencyi państwa w sprawy prywatne obywateli było tylko środkiem, mającym na celu dobro ludu, jeżeli daléj środek ten okazał się w praktyce zawodnym i wywołał skutki wprost przeciwne założeniu (jak to miało miejsce rzeczywiście), to czyż konsekwencya nie nakazywała go porzucić i chwycić się drogi innéj— dążyć do celu bezpośrednio przy pomocy władzy państwowéj?

Zastanówmy się, dlaczego w gruncie rzeczy liberaliści domagali się ograniczenia interwencyi państwa w sprawy prywatne? Dziś możemy już na to pytanie odpowiedziéć dokładnie. Dzieje społeczeństw zachodnioeuropejskich z ostatniego stulecia jasno nas tego uczą.— Dlatego, że interwencya owa dążyła do ciemiężenia ludu na korzyść nielicznéj kasty uprzywilejowanéj. Celem więc liberalistów było dobro ludu. A w jakim celu dziś żądają oni mieszania się państwa do spraw prywatnych?—W celu opieki nad słabszemi ekonomicznie, ale najliczniejszemi warstwami społeczeństwa, a więc również w celu dobra ludu. Tym sposobem cel dążeń demokratów nie zmienił się wcale, pomimy zmiany drogi, prowadzącéj do niego, ale za to radykalnéj zmianie uległ cel interwencyi państwa. Spencer jednak nie chce tego przyznać i wbrew oczywistości twierdzi, że dawniéj tak samo, jak dziś, rozporządzenia rządu miały zawsze na widoku dobro ogółu, lecz tak samo dziś, jak dawniéj, sprowadzają skutki wprost przeciwne założeniu. Zobaczmy, jakie argumenty daje nam autor na dowód drugiéj części tego zdania.

Przedewszystkiém przytacza on kilkadziesiąt praw, wydanych przez parlament angielski po roku 1860, a krępujących w pewnych wypadkach wolność jednostkową osób rozmaitych kategoryi. Ponieważ jednak liberał nasz nie dowodzi szkodliwości tych praw, lecz tylko oburza się na nie, że one czynią ludzi niewolnikami, przeto czytelnik nie ma żadnéj zasady wierzyć mu na słowo, żeby takie ograniczenia wolności, jak zakaz posiłkowania się pracą kobiet i dzieci w rękodzielniach, gdzie się używa pewnych farb zdrowiu szkodliwych, zakaz używania w kopalniach chłopców, nieliczących lat dwunastu, lub sprzedawania napojów wyskokowych osobom nieletnim, wreszcie nakaz szczepienia ospy, obowiązkowego uczęszczania do szkół elementarnych i wiele innych tym podobnych przepisów, mających na celu zdrowie, oświatę, lub bezpieczeństwo osób nieletnich, albo nie mających dostatecznego wykształcenia, by własne dobro jasno rozumiały, czy dostatecznych środków, by je sobie same zapewniły, niepodobna, powtarzam, uwierzyć bez dowodów, żeby ograniczenia takie miały być bezpożyteczne, a tém bardziéj—szkodliwe. Daléj piorunuje autor przeciwko wszelkim instytucyom państwowym, mającym na celu wspieranie ubogich, ratowanie ich od głodowéj

śmierci, a nawet szerzenie oświaty i ułatwianie jéj zdobycia przy pomocy szkół bezpłatnych, bibliotek publicznych i stypendyów rządowych. Twierdzi on, iż wszelkie wydatki na tego rodzaju cele są grabieżą ludzi pracowitych i pożytecznych społeczeństwu na korzyść nicponiów, bo nie wierzy w to, żeby człowiek pilny, zdolny i uczciwy mógł nie dać sobie rady przy pomocy sił własnych; słabi zaś i upośledzeni przez naturę, zdaniem jego, na równi z łotrami powinni być „dla dobra gatunku“ skazani na wymarcie. Ponieważ chłodny czciciel doboru naturalnego przestrzega, że „sentymentalizm“ jest złym doradzcą w sądzeniu i rozstrzyganiu zagadnień społecznych, więc nie oburzajmy się naprzód na zdanie powyższe, lecz rozpatrzmy argumentacyą autora.

Ażeby jakikolwiek wyższy gatunek zwierzęcy, mówi on, mógł się utrzymać i rozwijać, potrzeba, by się przystosowywał do dwóch zasad wręcz sobie przeciwnych. Członkowie jego, mianowicie, winni być traktowani inaczéj w młodości, a inaczéj w wieku dojrzałym. Dzieci, zanim dojrzeją, ażeby się utrzymały przy życiu, muszą doznawać tém troskliwszéj opieki, im są słabsze, a więc im mniéj przynoszą pożytku sobie i innym. Cóż się jednakże dzieje, gdy dany osobnik dosięgnie wieku dojrzałości? Oto pozostawiony samemu sobie otrzymuje nagrody w stosunku do swych zasług, czyli w stosunku do zdolności zaopatrywania się w potrzeby życia i unikania, lub zwyciężania nieprzyjaciół. „Współzawodnicząc z członkami swego własnego gatunku w walce, toczonéj z członkami innych gatunków, osobnik niszczeje i umiera, lub téż korzysta z powodzenia i rozmnaża się, odpowiednio do tego, czy dobrze, lub źle jest uposażony. Widocznóm jest, iż porządek przeciwny, gdyby mógł być utrzymany, stałby się, z czasem zgubny dla gatunku. Gdyby dobrodziejstwa otrzymywane przez każdego osobnika były proporcyonalnemi do jego *niższości*, gdyby tém samém rozmnażaniu się osobników niższych sprzyjały pewne warunki, a krępowały rozmnażanie się osobników wyższych, wyniknęłoby stąd postępowe wyradzanie się i wkrótce gatunek zwyrodniony nie mógłby się utrzymać wobec gatunku, z którym walczy, i gatunku, z którym współzawodniczy.“ Porządek ten rzeczy ze świata zwierzęcego przenosi Spencer do świata ludzkiego i twierdzi, że społeczeństwo, będące ciągle, bądź w walce, bądź we współzawodnictwie z innemi społeczeństwami, popychało by się własnemi rękami do upadku i zguby, gdyby zapewniało korzyści swym jednostkom niższym, kosztem wyższych, a tym sposobem popierało rozmnażanie się pierwszych i tamowało rozwój drugich. Dotąd zgoda! Tylko, niestety, nie możemy się zgodzić na to, żeby roztaczanie przez państwo opieki nad warstwami ludności ekonomicznie upośle-

dzonemi, obrona ich przed nadużyciami przewagi kapitału, dostarczanie im tanich i zdrowych mieszkań, bezpłatnych szkół, czytelni, bibliotek itp. miało być właśnie popieraniem rozmnażania się jednostek niższych i hamowaniem rozwoju wyższych.

W luźnych grupach zwierzęcych panują wyłącznie prawa natury. Tam rzeczywiście odbywa się swobodnie dobór naturalny, korzystny dla rozwoju gatunku. Nie tak jednakże dzieje się w społeczeństwach ludzkich. Tu już działanie praw naturalnych zostaje często powstrzymane, lub zmodyfikowane przeciwdziałaniem praw i instytucyi, ustanowionych przez ludzi. Zastanówmy się, jakie jednostki w społeczeństwach cywilizowanych mają największe szanse do utrzymania się przy życiu i rozmnożenia? Z jednéj strony—zamożne, z drugiéj te, które wszystkie swoje zdolności poświęcają wyłącznie dla własnéj korzyści, dla polepszenia sobie samym bytu i zbogacenia się. Któż jednakże ośmieliłby się twierdzić, że wszyscy ludzie zamożni są zdolniejsi od pozbawionych majątku, lub że samolubi, nie wykraczający myślą, ani sercem po za ciasny obręb własnego bytu i własnego szczęścia są pożyteczniejsi i bardziéj pożądani dla społeczeństwa, niż jednostki, mające wznioślejsze cele i szlachetniejsze uczucia? Każdy człowiek, twierdzi Spencer, powinien być wynagradzany w stosunku do swych zasług, „do stopnia wyższości, czyniącéj jego istnienie drogiem dla niego (?) i dla innych?“ Ale czy w społeczeństwach naszych tak się dzieje? Czy, gdyby państwo ograniczyło swoję działalność, jak tego chce autor, do ochrony własności i bezpieczeństwa osób, oraz obrony kraju od nieprzyjaciół zewnętrznych, zapanowałyby takie „stosunki normalne pomiędzy obywatelami“? Czy wtedy robotnik, pracujący w pocie czoła od świtu do nocy, a bodaj nawet dyrektor, umiejętnie zarządzający jakąś wielką fabryką, lub bankiem, byłby wynagradzany za swe trudy i zasługi lepiéj, niż bogaty kapitalista-procentowicz za swą „wstrzemięźliwość,“ nakazującą mu wydawać tylko odsetki od odziedziczonego po przodkach kapitału? Czy wtedy genialny uczony, trawiący kilkadziesiąt lat życia dla stworzenia epokowego dzieła zarabiałby więcéj, niż sprytny reporter, umiejący się wszędzie wkręcić i wszystko podsłuchać, lub śpiewak o silnych piersiach i przyjemnym głosie? Jeżeli więc w naturalnym biegu rzeczy społecznych wysokość nagrody nie idzie w parze z wielkością zasługi, to przeciwdziałanie téj niesprawiedliwości w jéj najbardziéj rażących objawach ze strony władzy państwowéj jest zupełnie uprawnione.

Spencer jednak twierdzi, że przeciwdziałanie to nigdy nie prowadzi do celu, lecz przeciwnie najczęściéj przynosi szkodę tym, na czyją korzyść było obliczone. W dowodzeniu tego zdania opiera się

na tych samych argumentach, jakiemi walczyli wszyscy dawniejsi zwolennicy zasady *laissez faire, laissez aller.* Sprawa to oddawna już przedyskutowana, i dziwić się należy, że socyolog takiéj nauki, jak Spencer, posługuje się tak zwietrzałą bronią. Oryginalnym do pewnego stopnia argumentem, oryginalnym tylko pod względem formy, nie treści, jest twierdzenie autora, oparte na jego *Zasadach socyologii*, że społeczeństwo nie stanowi masy plastycznéj, któréjby prawodawcy mogli nadawać dowolnie wszelkie kształty żądane, lecz—*organizm*, podlegający pewnym określonym prawom rozwoju. Kwestyi, czy społeczeństwo jest organizmem, czy nie jest nim (stanowiącéj właśnie zaznaczoną przez nas oryginalność formalną poglądu Spencera) poruszać tutaj nie będziemy. Analogia ta, zdaniem naszém, żadnych pozytywnych i dokładnych wskazówek co do praw, rządzących rozwojem społeczeństwa, nie daje. Możemy się jednak zgodzić na to, że prawa takie wogóle istnieją. Ale czyż stąd wypływa wniosek, że wszelkie prawa, reformy i instytucye, wprowadzane na korzyść upośledzonych ekonomicznie warstw społeczeństwa kosztem klasy uprzywilejowanéj, są zawsze w niezgodzie z prawami naturalnego rozwoju społecznego? Rozum, któryby się na taki koziołek logiczny odważył, skręciłby kark z pewnością, choćby się nawet opancerzył „teoryą organizmu.“ Że prawodawcy popełniają nieraz błędy, że państwo miesza się często do spraw, które regulują się lepiéj bez ograniczeń i ująć się w karby prawne nie pozwalają, że krańcowi demagogowie zachodzą w swych żądaniach zadaleko—temu przeczyć nie myślimy. Ale *errare humanum est*—zdarza się czasem błądzić i głośnym socyologom, gdy przepaska „przesądów kastowych“ przesłania im oczy i nie dopuszcza do nich światła prawdy. Ludzkość, tak samo jak pojedynczy człowiek, nie idzie przez życie utartym gościńcem, więc często potyka się o przeszkody, zbacza na bezdroża, wybiera ścieżki błędne, cofa się i znów postępuje. Zadaniem nauki jest wyciągać wnioski z przebytego przez nią doświadczenia, prostować jéj kroki, ostrzegać ją o mylnych szlakach i w ten sposób przyśpieszać jéj pochód. Ale zbyt daleko sięgać wzrokiem, zbyt uogólniać swych rad i wyłączać całkowicie przypuszczenie błędu w swych zapatrywaniach nie można, bo jeszcze się dotąd taki geniusz nie pojawił, a więc prawdopodobnie i w przyszłości się nie narodzi, któryby wszystko przewidział, wszystko obliczył i wskazał ludzkości nieomylną drogę do ostatecznego celu jéj dążeń. Główny błąd Spencera polega właśnie na tém, iż tak samo, jak jego poprzednikom, ekonomistom szkoły wolnohandlowéj, wydaje mu się, że taką nieomylną drogę odkrył. *Vanitas vanitatis*!

Na zakończenie wypada mi jeszcze powiedzieć słów kilka o przekładzie. Jest on, niestety, niezadawalniający. Tłómacz nie był widocznie dostatecznie oswojony z naukami społecznemi i musiał zapewne skutkiem tego zmienić znaczenie pewnych zdań i terminów bo niektórych ustępów wprost zrozumiéć nie można. Styl wogóle pozostawia wiele do życzenia tak pod względem poprawności, jak jasności. Na poparcie tych zarzutów przytoczymy parę ustępów: „*Do normy dochodu* (?) z każdego *domu* nowego *potrzeba dodać* (?) *podatek* na utrzymanie bruków i ścieków, nakładany od długości frontu *domu*, a tém samém więcéj ciążycy na *domach* bardziéj wązkich (? węższych), niż na szerokich" (str. 97). „*Odpowiem* na to, że ta *wiedza* nowoczesna, *która*, jak *powiadają*, pomogła naszym prawodawcom przygotować się do dobrego wykonywania ich obowiązków, jest *wiedzą*, *któréj* najznaczniejsza część nie przynosi im widocznie żadnego pożytku, i że zasługują oni na naganę za to, że nie *wiedzą*, jaka *wiedza* byłaby dla nich użyteczną" (str. 109). Takie chropowatości możnaby wygładzić bodaj w korekcie. Dodajmy, że znaki przestankowania rozstawione są bardzo skąpo i niedbale.

W. Wścieklica.

= **N. 46 „Kraju"**, w trzydziestą rocznicę śmierci Mickiewicza wydany, samym faktem swego ukazania się bardzo był miłą dla wszystkich niespodzianką, a ożywieniem myśli o wielkim wieszczu narodu spełnił główne swoje zadanie. Upowodowanie tego wydawnictwa, wyrażone w artykule naczelnym, nie we wszystkich punktach przemawia do przekonania naszego: Mickiewicz nie potrzebuje ani słówka usprawiedliwienia jako poeta narodowy; ci, co go poznają i zrozumieją, wielbić go, lub szanować przynajmniéj będą; ci, co nie mogą, lub nie chcą poznać, zubożają mimo lub dobrowolnie zasoby swych uczuć i poglądów. Bezpłciowość narodowa poety nie należałaby wcale do rzędu jego zalet. Ale pomijając ten przygodny artykuł, winniśmy wdzięczność redakcyi za zgromadzenie tylu głosów o Mickiewiczu. Faktycznych szczegółów do życiorysu poety przysparzają one bardzo mało; właściwie ustalają tylko dokładnie parę drobnych dat chronologicznych; za to do oceny rozpowszechnienia pomysłów Adama u różnych narodów niejeden się tu znajdzie drobiazg zajmujący w artykułach Iwana Franko („Mic. w literaturze rusińskiéj"), Aleksandra Jelskiego („Mic. na Białorusi"), Budrysa („Mic. w literaturze litewskiéj"), Morfilla („Mic. w lit. angielskiéj") Légera („M. w lit. francuskiéj), Zippera („Mic. w lit. niemieckiéj"), Połońskiego („Mic. w lit. rosyjskiéj"). Co do oceny saméj twórczo-

ści naszego poety, to najwięcéj poglądów nowych a trafnych podał Włodzimierz Spasowicz („Kilka słów o bajronizmie Mickiewicza“), który wykazał dowodnie, iż wpływ Byrona na wieszcza naszego był bardzo mały, że nawet tam gdzie ślad tego wpływu jest wyraźniejszy, istnieją nader znaczne różnice pomiędzy poglądem Mickiewicza a Byrona. Mniejszą krytyczną wartość posiadają rozprawki: Brandesa o Panu Tadeuszu, Incognitusa o dramatycznych utworach Mickiewicza, oraz Bolesława Prusa o Farysie. Ta ostatnia wywołała sporo drwin z powodu zastosowania cyfr w ocenie dykcyi poetyckiéj: drwiny były niewłaściwe, bo jakkolwiek od owych cyfr niepodobna się spodziewać tego, czego od nich pragnął dowiedziéć się Prus, nie są one jednak do pogardzenia, jeżeli je spożytkujemy w *sposób porównawczy*, nie zaś oderwany, jak to zrobił autor.

= **Co dać dziecku na gwiazdkę?** *Przegląd literatury dla dzieci i młodzieży z ostatniego siedmiolecia przez Władysława Nowickiego.* (Warszawa, 1886, str. 29 i 2 karty nlb.). — Po ogólnym wstępie, w którym autor rozprawił się z oznaczeniem wartości książki jako środka wychowawczego, wspomniał o katalogach krytyczno informacyjnych w dziale książek dla dzieci, o sprawozdawcach z ruchu literackiego na polu dydaktyczno-beletrystycznym, o wydawnictwach zbiorowych bibliotek dla młodzieży, mamy tu w trzech ustępach podane treściwe oceny znacznéj liczby książek, jakie w ostatnich siedmiu latach dla dzieci z druku wyszły. W pierwszym ustępie mówi p. Nowicki o literaturze dla dzieci w pierwszym siedmioletnim okresie wychowawczym, a więc o zabawkach i grach pedagogicznych, o zeszytach obrazkowych i abecadłach kolorowych, wreszcie o beletrystyce dla dzieci do lat siedmiu. W ustępie drugim rozpatruje literaturę dla dzieci od lat 7 do 14, dzieląc ją znowuż na dwa działy: od lat 7 do 10 i od 10 do 14. Wreszcie w ustępie trzecim wskazuje utwory, dosyć nieliczne, dla młodzieży od lat 14. Broszurę p. Nowickiego powinniby posiadać wszyscy rodzice czy wogóle wychowawcy, którzy zamierzają zrobić wybór książek na gwiazdkę; co po większéj części odbywało się dotychczas zupełnie przypadkowo. Broszura ta jest odbitką z ostatniego (24-go) zeszytu „Przeglądu Pedagogicznego“, które-to pismo od czasu objęcia go w połowie r. b. przez nową redakcyą, z pedagogów „piszących“ złożoną, coraz lepiéj się rozwija i staje się organem żywotnym poglądów wychowawczych w kraju naszym; zasługuje więc na szersze poparcie.

= Dzieło *Piotra Chmielowskiego* p. n. **Adam Mickiewicz**, *zarys biograficzno-literacki* w dwu tomach wyszło świeżo z druku (Warszawa-Kraków, nakład Gebethnera i Wolffa, tom I-szy str. 466; tom II-gi str. 482) i zawiera wyczerpujący życiorys wieszcza, oraz poglądowe

rozbiory wszystkich jego utworów zarówno poetycznych jak prozaicznych. — Tegoż autora **Zarys literatury polskiéj z ostatnich lat dwudziestu** pojawił się w 2-ém znacznie powiększoném wydaniu (str. XVI, 348) w Warszawie (nakład A. Gruszeckiego) i doprowadza opowiadanie o ruchu literackim spółczesnym aż do ostatniego, 1885 r.

= **Na posiedzeniu wydziału historycznego** Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu dr. Wł. Łebiński uzasadniał swój wniosek, który brzmi: „Zważywszy, że nie tylko w nazwach ludowych topograficznych, odnoszących się do *miejscowości zamieszkałych*, ale i w nazwach miejscowości *niezamieszkałych*, a zatém w nazwach pól, łąk, stawów, bagien, jezior, strug, lasów, uroczysk itd. itd. przechowuje się dużo, jeszcze naukowo nietkniętego materyału, który coraz bardziéj ginie przez zapomnienie, z powodu większego uruchomienia ludności i przez wpływ kultury,—wnoszę, żeby wydział historyczno-literacki w sposób, jaki uzna za właściwy, zajął się zebraniem *nazw miejscowości niezamieszkałych* w krainach zaboru pruskiego.“ —Czego wniosek ten żąda, wywodził referent, dość wyraźnie w nim powiedziano. Otóż spisania nazw miejscowych, któremi prawie na terytoryum każdéj wsi i majętności odznaczone są różne miejscowości, położenia, objawy przyrodzenia. Nie o zebranie tych nazw chodzi, które z przeszłości przekazane są w druku lub na piśmie, bo o tych wiedzą badacze, gdzie ich szukać, ale o nazwy żyjące tylko w tradycyi, w żywéj mowie ludu na obszarach, należących do miejsc zamieszkałych. Te giną i zacierają się; najwyższy czas je ratować.— Dla czego warto podjąć się téj pracy? Towarzystwo jak nasze powinno szukać sposobów, żeby wzbudzać interes do siebie w kołach najszerszych, a naodwrót w tychże kołach budzić interes naukowy. Praca zbiorowa ma być środkiem wyrabiania takiéj wspólności na naukowéj podstawie, za pośrednictwem pracy członków. To zewnętrzny będzie bodziec—do pracy. Wewnętrzny cel naukowy jest ten, żeby zgromadzić obfity materyał naukowy, który pozwoli wysnuć z siebie pewniki, rozświecające najzawilsze kwestye naukowe. Referent wspomina, jak ważne wnioski wyprowadził Wojciechowski z szeregowania i rozgatunkowania nazw miejscowości *zamieszkałych*. I nazwy miejsc *niezamieszkałych* przedstawiają materyał nie mniéj wymowny dla umiejętnego badacza. Jak potrzebnym jest ten materyał, starał się referent wykazać na przykładzie o nazwie „Dunaj.“ Ale jak zbiór tych nazw uskutecznić? O pątniczym kiju chodzić od wsi do wsi byłoby najłatwiéj, ale jest najtrudniéj, bo któż pójdzie? Ref. pochlebia sobie, że sprawa tu poruszona, może wywoła bardzo pożądane usiłowania *jednostek*, ale swoją drogą trzeba próbować zbiorową pracą zgromadzać co się da. Wszystkiego nie zbierzemy, oby

tylko jak najwięcéj. A ponieważ do zbierania nazw tych nie potrzeba *nauki*, tylko dobréj woli, koło współpracowników może się bardzo rozszerzyć. Referent liczy wielce na *młodzież akademicką*, którą trzeba zainteresować, żeby wakacyi do studyów takich używała. Pomogą nie tylko właściciele dóbr i duchowni, ale i rządcy, leśniczowie, włódarze i kmiecie, czytający pisma. Dla tego referent wnosi o wybór komisyi, któraby wygotowała i rozpowszechniała od czasu do czasu odpowiednie odezwy i stale się zajęła poruszaniem i organizowaniem téj sprawy. Referent kończy téż życzeniem, żeby nie tylko u nas ale i w innych dzielnicach żywo się zajęto tą sprawą. — Wydział przyjął wniosek dr. Łebińskiego w całéj rozciągłości. W dyskusyi p. pułkownik Zakrzewski zwracał uwagę na nazwę Lednicy, która raz służy jezioru, to znów np. ogrodowi w Gnieźnie. Daléj zwracał uwagę na ten dziwny objaw, że dla strug i rzeczek bardzo rozpowszechnioną jest nazwa Sama, Samica. Pan dr. Koehler zaznacza, że w Kościańskiém zna zasiedziałą rodzinę kmieciów, którzy się nazywają Dunajami. — Do komisyi wybrani: pp. dr. Koehler, dr. Erzepki i dr. Łebiński. — Redakcya „Ateneum“ zwraca uwagę swych czytelników na potrzebę zbierania nazw miejscowych i w innych prowincyach kraju naszego. W Królestwie Polskiém pewną lubo drobną tylko część tych nazw znaleść można w Wykazach hipotecznych dóbr ziemskich, w Dziale I-szym. Spisanie tych nomenklatur, o ile nie weszły do „Tabelli miast i wsi Kr. Pol.“, mogłoby stanowić pierwszy zawiązek zbioru, któryby następnie uzupełniano wiadomościami, nadsyłanemi z różnych okolic przez osoby chętne do wzięcia udziału w podobnéj pracy. Ogniskiem najwłaściwszém do gromadzenia takich wiadomości byłaby, jak się nam zdaje, redakcya „Słownika geograficznego.“

= **Szląskie „Towarzystwo przyjaciół dziejów i starożytności szląskich“** rozesłało członkom swoim na r. b. dwa spore poszyty prac historycznych, a mianowicie przez *dr. Krebsa* w imieniu Towarzystwa wydany VI tom (*) zbioru 1) *„Acta publica“*, zawierający: *a*) korespondencye szląskich książąt i stanów z lat 1626 i 1627; *b*) akta sejmikowe książąt szląskich, także z lat 1626 i 1627; *c*) uzupełnienie korespondencyi książąt i stanów szląskich z lat 1618—1625, w V tomie powyższego zbioru zawartych i *d*) dodatek z szczegółami, tyczącemi się ciężarów wojennych, jakie Szląsk ponosić musiał od roku 1626—1627 i 2) *„Zeitschrift des Vereins für Geschichte und Alterthum Schlesiens“* XIX tom. Jest-to czasopismo i organ Towarzystwa, tylko publikacyom historycznym i archeologicznym służące i rok-rocznie

(*) 350 stron w formie foliantowym.

dla członków tegoż Towarzystwa wychodzące. Najnowszy ten rocznik zawiera: *a*) „Zajścia militarne w hrabstwie Kłodzkiém, w czasie pierwszéj wojny szląskiéj zaszłe“, p. H. v. Wiese; *b*) „Kopalnie złota pod Zuckmantlem i Freiwaldowem“, p. Karola Petera z Cieszyna: *c*) „Szląsk pod panowaniem króla Ferdynanda 1527—1564“, p. Grünhagena; *d*) „Wrocławianie proszą Ferdynanda 1548 r. aby nie wymagał od nich zastósowania się do tak zwanego „interim“, p. dr. Fran. Wachtera; *e*) „Jerzy Sauermann, pierwszy protoplasta-szlachcic hrabiów Sauerma-Jełtszów, p. dr. Gust. Baucha; *f*) „Życie i pisma Heermanna z Koeben“, przyczynek do histor. literat. szl. p. H. Schuberta; *g*) „Opole w czasie oswobodzenia“ (1), część II, p. prof. dr. Wahnera; *h*) „Dzieje szląskiego szkolnictwa w 16 stuleciu“, p. dr. ks. Soffnera, dziekana w Otłaczynie; *i*) „Król Ferdynand I w Srodzie“ (2), p. dr. Pfotenhauera; *j*) „Rozporządzenia gabinetowe Fryderyka II“, p. R. Schücka; *k*) „Rzut oka na czas dobrowolnéj ugody pomiędzy Janem, królem czeskim, a Janem księciem ścinawskim“, p. dr. Włodzimirza Mikłowicza w Wiedniu; *l*) „O polepszeniu wyższego szkolnictwa katolickiego przez Fryderyka Wielkiego, za wpływem i współdziałaniem żegańskiego Opata F. J. v. Felbigera“, przez Eduarda Reimanna; *m*) „Niebezpieczeństwo najazdu tureckiego 1541 roku a Szlązacy“, przez H. Rossbacha; *n*) „Przyczynek do źródłowego *itinerarium* księcia Henryka IV“ (3), przez H. Jaeckla; *o*) „Bolesław IV (4) i Bolesław II (5) 1277“, przez dr. Włodzimirza Mikłowicza w Wiedniu; *p*) „Nowe szczegóły o kanoniku Kasprze Elyanie“ (6) przez Karola Dziatzko; *q*) Rozmaitości archeologiczne: a) dwa dokumenta szląskie z czasów króla Wacława, przez Grünhagena; b) zielonogórski proces o czary w 17 wieku, przez dr. Wernicke w Bolesławiu; c) herb miasteczka Leszna (7), przez dr. Wernicke; *u*) „Uwagi, uzupełnienia i spostrzeżenia, tyczące się nowszych, dla dziejów Szląska ważnych druków. — W końcu obszernego tego poszytu (442 str. formatu wielkiéj ćwiartki) dowiadujemy się, że członkowie Towarzystwa odbyli w ciągu r. z. jedenaście posiedzeń z odczytami. Członków liczy Towarzystwo 456. Do grona *członków korespondujących* zalicza Towarzystwo z uczonych polskich pp. *Przyborowskiego*, bibliotekarza i prof. uniwersytetu warszawskiego i *Żegotę-Paulego*, kustosza biblioteki uniwersyteckiéj w Krakowie. W lecie r. z. przedsięwzięło zwykłą doroczną ekskursyą naukową liczne grono członków do Grodziska (Gröditz, powiat złotogórsko-hajnowski) i zwie-

---

(1) W latach 1813—1815 — (2) W Środzie szląskiéj, Neumarkt. — (3) i (4) Plasta wrocławskiego. — (5) Plasta lignickiego. — (6) Pierwszym drukarzu wrocławskim. (7) Szląskiego.

dziło tameczną górę zamkową z ruiną; niegdyś miejsce częstych festynów i gonitw Piastów lignickich. — W wspomnianym wyżéj VI-ym tomie zbioru *„Acta Publica“* znajdujemy *w uzupełnieniu korespondencyi z lat 1618—1625* długi szereg *listów, komunikatów, sprawozdań i rozporządzeń*, tyczących się przechodów *„Kozaków polskich“*, jak autorowie rzeczonych skryptów nietylko *„Lisowczyków“*, ale, jak się zdaje, wszystkie w Polsce wtenczas dla cesarza niemieckiego werbowane najemne pułki nazywają. Jest-to bardzo obfity, lubo monotonny przyczynek (1) do materyału, który wraz z dwoma sporemi tomami znajdującemi się w drezdeńskiém archiwum państwowém (głównie z odnośnemi sprawozdaniami książąt szląskich), znacznie pomnoży literaturę Lisowczyków się tyczącą; szkoda tylko, że z brawurą wojenną zastępu tego nie idzie zgodnie reputacya żołnierska, jaką mu zjednało zachowanie się jego po za walką. *S. J. z Op.*

---

(1) W V-tym tomie zbioru „Acta Publica“, także przez Towarzystwo przyjaciół dziejów i starożytności szląskich (1880) wydanym jest o „Kozakach polskich“, to jest o Lisowczykach mowa.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Nowy Rok i jego rola.—Rachunki społeczne.—Bulgarya wyjątkiem.—Uściski naszéj niedoli.—Nekrologia.—Wobec mogiły Jana Papłońskiego.—Odmienny prąd w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu.—Rocznik Towarzystwa Osad Rolnych.—Odczyty.—Z dziedziny republiki literackiéj.

A więc za kilka dni już rok 1885 stanie się przeszłością. Nadchodzi jedna z tych chwil, które na kartach dziejów ludzkich stoją niby kreski, znaczące miarę w wierszach poetów łacińskich u filologa z klasy czwartéj. Najczęściéj kreska taka przypada w środku słowa, wytwarza fatalną konkurencyą przecinkom i średnikom, szkodzi logice, ale z pod jéj tyranii wyrwać się niepodobna, — reguła tego wymaga. W prywatném życiu powszedniego śmiertelnika dzień Nowego Roku jest jedynie terminem kłopotów: nietylko kwartał się kończy, nietylko trzeba się wykosztować na prezenty i bilety z powinszowaniami, ale późniéj przez całe dwa tygodnie regularnie trapią pomyłki w datach na listach, a nawet na papierach urzędowych. Dla człowieka, co w hierarchii społecznéj jest czemś więcéj niż koń w deptaku, co nie myśli o jutrze jedynie, lecz przezorny wzrok w daleką przyszłość zapuszcza, co z czasów minionych naukę wyciąga dla tego, co będzie, dzień pierwszego stycznia jest chwilą życia ważną i uroczystą, ważniejszą i uroczystszą, niż *hora canonica* dla dbającego o swą okrągłość szlachcica. Obowiązkowo trzeba kilka godzin spędzić nad księgą porysowaną w czerwone i niebieskie kratki; dodawać, odejmować i mnożyć więcéj, niż to robi nauczyciel arytmetyki przez cały rok i nareszcie zamknąć rachunki z sakramentalném westchnieniem.

Towarzystwa akcyjne na dzień ten powinny wypłacić dywidendy; przedsiębiorstwa wszelkie i państwa kończą stare i rozpoczynają nowe budżety. Tak poważny przykład podziałał i na kronikarzy chwili bieżącéj, na publicystów. Co rok dodają i odejmują

oni przejawy życia społecznego, aby orzec, czy mijający cykl dwunastu miesięcy pozostawia po sobie ludzkości *plus* lub *minus*. Trzeba być bardzo wielkim optymistą, aby módz kiedykolwiek w podobnym społecznym obrachunku dopatrzéć się rezultatu dodatniego; trzeba nie znać zupełnie biegu spraw ludzkich, aby rocznym orzeczeniom nadawać jakąkolwiek bądź wagę. Tylko wielkie klęski, epidemie, głody i wojna, nie pozostawiają wątpliwości co do znaczenia strasznych swych skutków, doniosłe zdobycze wiedzy i talentu wyjątkowo jedynie, jak tegoroczna praca Pasteura nad szczepieniem wścieklizny, pozyskują jednogłośne uznanie. Rzucając okiem w końcu grudnia na minione miesiące, zwykle przychodzi do głowy: nauka w tym roku nie zdobyła się na żadną tak wielką teoryą jak darwinizm, żadna zagadka społeczna rozwiązaną nie została, sztuka nie stworzyła nowéj bazyliki ś-tego Piotra, ani Wenus z Milo. Podobne twierdzenia miejsca miéć nie powinny. Wielkie dzieła potrzebują odległości, aby się mogły okazać z całym majestacie. Jeżeli w roku 1885 wyszło z głowy lub z pod pióra, a nawet z druku jakieś dzieło godne stanąć na równi z teoryami Koperników i Laplace'ów, to jeszcze wiele grudni minie, zanim drobniejsze umysły współczesnych zdołają je zrozumiéć, a zdolniejsi i gorętsi szermierze prawdy wywalczą im powszechne uznanie. Być może, że w tym mijającym roku wynaleziono gdzie, w Australii, lub Afryce roślinę, albo może we Francyi, lub Anglii zrodził się pomysł, który powiększy dziesięciokrotnie siłę wytwórczości społecznéj i wiele istot ludzkich wyrwie z objęć nędzy. Może gdzieś w jakim nieznanym dotąd zakątku Zachodu zawiązano jakie stowarzyszenie, które przez wiele jeszcze lat pozostanie nieznaném światu, a które tém nie mniéj jest latoroślą przyszłego odrodzenia społecznego. Może kiedyś na kartach dziejów świata rok 1885 zajaśnieje blaskiem, ćmiącym najsławniejsze daty, my tymczasem widziéć możemy dokoła siebie powszednią tylko szarzyznę, narzekać na upadek wszystkiego, tęsknić za przeszłością, liczyć na przyszłość.

A więc roztropność powinna powstrzymać rączych statystów od zbyt pochopnego sądu, tém nie mniéj jednak niepodobna nierzucić okiem na stan faktyczny, w jakim nadchodząca nowa miara czasu świata zastaje. Odliczywszy bardzo nawet wiele na łudzący wpływ bezpośrednich wrażeń, jeżeli weźmiemy pod uwagę jedynie głośne wypadki, to niepodobna nie zachmurzyć się smutnie i nie wyznać, że mijający rok pozostawia następcy gorszą spuściznę, niż ją otrzymał od swego poprzednika.

Wszystkie zakątki Europy oczekują groźnych wstrząśnień. Śmierć króla Alfonsa znowu wywołała nad Hiszpanią straszne widmo wojny

domowéj, która od tak już dawna szarpie wnętrze, niszczy owoce pracy i rozpala bratobójcze żądze w nieszczęśliwym kraju. Nowe wybory skazały prawodawcze prace reprezentacyi narodu francuskiego na smutną jałowość przez całe lat cztery, a może staną się powodem nowych zamachów, nowych barykad, ucisku i zemsty. W Niemczech jakiś zasklepiony między Renem i Odrą patryota może widzieć w brutalnych uderzeniach kanclerskiego kułaka pracę dla przyszłéj wielkości ojczyzny; kogo jednak nieco chociaż ogrzewają uczucia humanitarne, kto przyszłość swego narodu w marzeniach łączy z tém, co jasno świeci po nad ludzkością, ten chyba nie może nie oglądać się trwożnie dokoła, widząc, że prawo, władza za najwyższy swój przywiléj uważa możność robienia bezprawi. Od Bałkanów, z nad brzegów Bosforu nadciągają znowu echa chrapliwych trąb i bębnów i wkładają we wszystkie usta pytanie: czy iskra ta nie rzuci pożogi na cały świat cywilizowany. Jedna tylko Bulgarya może dziś już złotemi literami wdzięczności i dumy zapisać cyfry kończącego się roku na bramach Sofii. Chociaż tryumf jéj nie może być obojętnym dla innych narodów, w naszych sercach powinien wzbudzić otuchę. Przed ośmioma laty widzieliśmy ten naród zdziczały w cieniu grozy i ucisku tureckiego; jutrzenkę nowego życia witał milczeniem niedowierzającego niewolnika; jedynym przejawem wewnętrznych namiętności był mord. Ośm lat blasku słonecznego wolności wystarczyło, aby go nauczyć kochać, aby go zrobić zdolnym do szlachetnych porywów i uniesień, aby z podstępnego zabójcy uczynić mężnego żołnierza, umiejącego walczyć i umierać w otwartém polu.

Wracając nad Wislę, do naszych domowych kłopotów, przedewszystkiém musimy zaznaczyć, że rok 1885 w niczém nie zmienił tego stanu kraju całego, w jakim żegnaliśmy r. 1884. Nie zaszło nic takiego, coby nas zdziwić mogło, lub czego niepodobna byłoby przewidziéć. Oburzaliśmy się na to i na owo, naprz. na rugi z Niemiec, było to jednak robione więcéj dla świata, niż dla ulżenia ściśniętej piersi, gdyż twarda szkoła bytu przyzwyczaiła nas do wszystkiego. Nic nie może nas przerazić jako widok niespodziewanéj klęski lub nowego niebezpieczeństwa, bo wszystkiém już oddawna grożono nam z Berlina bośmy wszystko już widzieli i odczuli. Jeżeli jednak ilościowo nic nie przybyło do składkowych części naszéj niedoli, to jakościowo wszystkie one rozrosły się: i przesilenie ekonomiczne i zastój umysłowy i... wszystko. Bieda, która ściska nas silniéj i gorecéj niż namiętna kochanka oblubieńca, z każdym rokiem nabiera silniejszych mięśni. Cóż robić, w takich wypadkach trzeba

się pocieszać chociaż szczęściem bliźnich, i dla tego, łamani kołem nędzy, łączmy się uczuciem ze zwycięską Bulgaryą.

Przechodząc do szczegółów we wspomnieniach konającego roku, przedewszystkiém nasuwa się smutny fakt utraty tych kilku pracowników, na których pogrzebie łzy żalu i uznania błysnęły nie tylko w szczupłém kole rodziny. W Poznaniu zmarł Władysław Niegolewski, patryarcha wśród przywódców tamecznego politycznego życia, którego wpływ w swoim czasie sięgał po zagranice Wielkopolski. Warszawa chowała Sulimierskiego, Odyńca i nareszcie w ostatnim miesiącu Jana Papłońskiego. Do religijnych obrządków w kościele Augusta Comte'a należy ocenianie społecznéj wartości zmarłych, w celu moralnego oddziaływania na żyjących. Myśliciel ten zastrzegł przytém, ażeby to uskuteczniono dopiero w 7-m lat po śmierci, kiedy żywe niechęci i uprzedzenia przygasną. Łacińskie przysłowie *de mortuis aut nihil, aut bene* ma także na widoku powstrzymanie od przedwczesnego sądu.

W pośród przejawów życia w roku ubiegłym widzimy przedewszystkiém ożywienie w staraniach około podniesienia przemysłu. Mieliśmy zjazd górników i nieustające krzątanie się Towarzystwa popierania Przemysłu i Handlu. W przeszłéj kronice zauważyliśmy, że Towarzystwo zbyt często może odwołuje się do pomocy sił wyższych, z całą więc przyjemnością i uznaniem pośpieszamy dziś zaznaczyć, że na posiedzeniu IV téj sekcyi w dniu 10 grudnia wniosek p. Kirszrota-Prawnickiego sprowadził obrady na inne zupełnie tory i wywołał decyzyą w duchu wprost przeciwnym, niż przecholowany i nieliczący się z warunkami protekcyonizm. Chodziło o zakładanie spółek wytwórczych, które, jak wiadomo, w Niemczech niegdyś pod kierunkiem założyciela swego Schultzego z Delitzsch, a obecnie jego następcy dr. Schenka rozwinęły się i osiągnęły wielkie a pomyślne rezultaty. W Warszawie od lat 10-ciu istnieją podobne spółki i dzielą się na dwie kategorye, jedne mają na celu dostarczanie surowych materyałów członkom, drugie zaś zbyt produktów. Powstały one dzięki staraniom księcia Lubomirskiego, który wciąż nieszczędzi im swéj opieki. Pomimo to spółki chylą się ku upadkowi. P. Juszczyk sądzi, że przyczyną tego nie są wady organiczne instytucyi, lecz obojętność interesowanych. Sekcya wyznaczyła do zbadania dokładnego sprawy komisyą, złożoną z pp. Makowieckiego, Prawnickiego i Juszczyka. Z orzeczeniem o zaletach i o możliwym wpływie u nas spółek należy się wstrzymać aż do ukończenia prac komisyi; obecnie pozwolimy sobie zrobić kilka ogólnych uwag. Głównym celem takich spółek jest zwiększenie sił produkcyjnych ludzi, posiadających małe kapitały. Rodząca się kwestya proletaryatu wy-

wołała pomysł korporacyi biedaków. Zakłady Schultzego postawiono jako antidotum przeciwko socyalizmowi. W gruncie jednak rzeczy, może to być w najlepszym razie tylko bardzo słaby i czasowy półśrodek dla zmniejszenia nędzy.

Towarzystwo osad rolnych i przytułków rzemieślniczych ogłosiło w zeszłym miesiącu rocznik sprawozdawczy. Dowiadujemy się z niego, że od chwili otwarcia zakładu w Studzieńcu znajdowało się 351 wychowańców, opuściło go zaś 216. Z téj liczby zmarło 17-tu, wydalono 10, oddano rodzicom 42, umieszczono u stolarzy 26, u kołodziejów 14, u kowali 4, u krawców 4, u szewców 7, u piekarzy 6, u cieśli 1, u tokarzy 3, u ogrodników 11, u pszczolarzy 2, przy gospodarstwie rolném 64, w seminaryum nauczycielskiém 1. W obecnéj chwili z pomiędzy wyzwolonych wychowańców zakładu 49 zostało czeladnikami, 6-ciu prowadzi warsztaty na własną rękę, 6-ciu jest żonatych i posiada gospodarkę. Jest to rezultat bardzo pocieszający. Gdybyśmy z takim widocznym skutkiem mogli wychowywać te dzieci biedaków, które się nigdy z ławą kryminalną nie widziały! Majątek Towarzystwa w końcu 1884 roku wynosił 52,029 rs. 99 kop.; dochody ogólne, składki, opłaty, odczyty — 16,259 kop. 80; dochody specyalne (z gospodarstwa rolnego, ogrodowego, z lasu, warsztatów i t. d.) — 16,844 rs. 12½ kop. Wydatki wszystkie doszły do sumy 29,480 kop. 77½. Do tego wszystkiego dodać należy jeszcze smutny szczegół, że zaległości w składkach wynoszą 31,839 rs. i wciąż wzrastają.

Mówiąc o sprawach Towarzystwa osad rolnych, niepodobna nie wspomnieć o odczytach, mianych w Warszawie w ciągu ostatnich dwu miesięcy na korzyść onego. Same odczyty odbyły się w sposób bardzo zwyczajny; na katedrze nie zajaśniało żadne zakordonowe słońce, ani gwiazda, przemawiali sami miejscowi, a po większéj części znani z dawnych lat prelegenci (panie Morzkowska, Dobrska, pp. Kamiński, Święcicki, Gawalewicz, Jaksa Bykowski, Dobrski); tematy obrane i wypowiedziane poglądy nie wzbudziły ani entuzyazmu, ani namiętnych wystąpień i zaprzeczeń, jak to się niegdyś zdarzało. Najważniejszą stroną odczytów był sam ich fakt. Za dawnych lat odczyty te miewały miejsce stale i peryodycznie, później w ostatnich czasach nastąpiła niejaka przerwa, powitaliśmy więc zapowiedź tegoroczną z żywą radością. Prócz tego niepodobna tu niezwrócić uwagi na jedną jeszcze okoliczność. W początkach ustalenia się zwyczaju odczytów pomysł ten najgoręcéj był popierany przez nowo-występujących pracowników pióra (Świętochowski, Chmielowski, Ochorowicz), obecnie zaś nikt z młodszego pokolenia nie staje nigdy na katedrze. Jakkolwiek w sferze czysto literackich tą-

lentów przyrost świeżych sił jest prawie żaden, to jednak na polu naukowém wybija się kilka nowych nazwisk; czemu więc nie widzieliśmy ich na katedrze. Może to wina inicyatorów, że nie szukali, może wina samych autorów młodych, że się nie odezwali, w każdym razie dobrze by było, aby na przyszły rok i jedni i drudzy pomyśleli o zmianie. Na liście odczytów w stowarzyszeniu subjektów spotykamy nazwiska nieznanych jeszcze z katedry ludzi, mogli więc wystąpić i tu.

Na terytoryum republiki literackiéj bardzo jest łatwo dokonać rocznych obrachunków. Ubytek był tylko jeden: *Tygodnik Powszechny* został zakupiony, jak się ktoś kostycznie wyraził, przez *Tygodnik Ilustrowany* na zarznięcie i przestanie wychodzić. Przybył téż jeden tylko organ opinii publicznéj — *Chwila*. Pismo nasze mówiło już o tym nowym okazie polityki, ograniczamy się więc tu na wzmiance jedynie. Musimy natomiast parę słów poświęcić innemu pismu, mianowicie *Wędrowcowi*. Wprawdzie liczy ono już lat dwadzieścia trzy od urodzenia, a w rękach obecnych posiadaczy zaczyna rok trzeci, wyróżniło się jednak przed pierwszym stycznia z pośród pokrewnych mu tygodników tém, że w prospekcie mówi o zasadach, nie wyliczając ani ilości stronic, ani wysokości płacy od wiersza. *Wędrowiec* za „nieomylną wskazówkę“ wartości pisma uważa podwojenie się liczby prenumeratorów. Żyjemy w czasach, kiedy wszelkie niemal sprawy rozstrzygają się przez powszechne głosowanie; zdarza się jednak, że gdy obywatele nie są dostatecznie rozwinięci, to uznanie ich kupić można za.... ładne premium naprzykład; nienależy więc podobnéj wskazówki uważać za *nieomylną*. Rozglądając się wśród niekoniecznie zadawalniających okazów naszego postępowego dziennikarstwa, wzrok swój często musimy zatrzymywać na *Wędrowcu*, spodziewając się, że ziści nareszcie kiedyś oczekiwania. Dla tego piórem naszém kieruje jedynie życzliwość i poczucie pewnego pokrewieństwa zasad. Pragnęlibyśmy, aby *Wędrowiec* nas tak zrozumiał i głos nasz uwzględnił. Pismo każde, po za wartością artystyczną ilustracyi, cenimy o tyle, o ile ono konsekwentnie i ze zrozumieniem reprezentuje i rozwija jakąś myśl. Zrozumienia zaś programu musimy wymagać od prospektowego wystąpienia, gdzie redakcya zabiera głos najbardziéj zasadniczo i jednolicie... tymczasem w Wędrowcu znajdujemy taką gmatwaninę, którą chyba by kapłan z Delos rozwikłać potrafił. Przedewszystkiém musimy zaprzeczyć przechwałce, jakoby Wędrowiec „zwolna, lecz stale i nieustanie wprowadzał swój program w życie.“ Myśmy w organie pana Gruszeckiego widzieli właśnie przez cały czas jego redakcyi rodzaj kalejdoskopu, który zmieniał deseń i barwy co numer. Czasami trzeba było

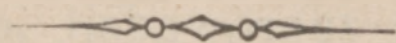
podziwiać gotowość wydawcy do ofiar i dbałość o dobro pisma, czasami znowu wszystko szło tak, jak gdyby w nieobecności całéj redakcyi, kierownictwo pisma pozostawiano ślepemu przypadkowi. Obok istotnie cennych artykułów i prac (Witkiewicz, Prus), zdarzały się liche przeróbki i kompilacye, aż przykro było czytać. Piórem, które kreśliło prospekt Wędrowca, kierować także musiał przypadek, bo znadujemy tu dziwne nader frazesy, których małą próbkę przytaczamy. Pismo w programie swym postawiło sobie jako zasadę działalności publicznéj, za cel:

„Zaznaczanie rozwoju swobodnego cech plemiennych każdéj, choćby najmniejszéj grupy etnograficznéj w stosunkach międzynarodowych“ (niech to kto zrozumie!)

„Badanie spraw wewnętrznych społeczeństwa na podstawie (?) moralnych i materyalnych interesów mas.“

Chętnie przypuszczamy, że piszący powyższe słowa miał pewne myśli i chciał się niemi z czytelnikiem podzielić. Ile z tego podziału na schedę czytelnikowi przypadnie—przesączać nie będziemy; wszakże i w odgadywanie szarad lub logogryfów wprawić się można.

Ludwik Straszewicz.



NEKROLOGIA.

† **Jan Papłoński** urodził się 21 listopada 1819 roku w Widzach (w gub. wileńskiéj). Nauki początkowe pobierał w mieście rodzinném; w r. 1832 przeniósł się do gimnazyum gubernialnego w Wilnie, a stąd do uniwersytetu w Moskwie na wydział filologiczno-historyczny. Otrzymawszy tu stopień kandydata, jako stypendysta przeznaczony został r. 1840 na nauczyciela języka rosyjskiego w Warszawie, przytém włożono nań obowiązek pomagania Lindemu przy układaniu słownika porównawczego języków słowiańskich. W obronie Lindego, któremu zarzucono korzystanie bezimienne z pracy obcéj, napisał Papłoński pierwszy swój artykuł drukowany w „Bibliotece Warszawskiéj z r. 1843 (tom II-i). W r. 1853 za radą lekarzy porzucił zawód nauczycielski. Przez dwa lata następne był cenzorem i tłómaczem w Radzie lekarskiéj; potem przez lat sześć sprawował przy Muchanowie, kuratorze okręgu naukowego warszawskiego, obowiązki urzędnika do szczególnych poruczeń. W r. 1859 mianowany został profesorem literatury rosyjskiéj w b. Akademii duchownéj i wy-

kładał ten przedmiot do r. 1867; od roku zaś 1861—64 był wizytatorem szkół w Królestwie Polskiém, jako też członkiem Rady Wychowania. W r. 1864 równocześnie prawie został dyrektorem Instytutu Głuchoniemych i profesorem Szkoły Głównéj na katedrze gramatyki porównawczéj. Po przekształceniu Szkoły Głównéj na uniwersytet, pozostał jeszcze Papłoński dwa lata na katedrze do wysłużenia emerytury trzydziestoletniéj. W przeciągu tego czasu zabierał się do poważniejszych prac nad dziejami słowiańskiemi; ale oprócz artykułów sprawozdawczych i krytycznych, niewiele w tym kierunku utworów ogłosił drukiem. Wydał przekład kroniki Helmolda, mapę Słowiańszczyzny i objaśnienia do niéj. Istotna jego zasługa polega na działalności jego jako dyrektora Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych, któréj od roku mianowicie 1869 oddał się całkowicie. Tu powiększył o siedem liczbę warsztatów, rozszerzył program kształcenia ociemniałych, zwłaszcza w części muzycznéj, zajął się czynnie wydawnictwem podręczników naukowych (dotychczas 14); założył drukarnią, rozpoczął i prowadził „Pamiętnik Instytutu“ (dotąd tomów 15), gdzie mieścił sprawozdania z kilku wycieczek swoich po Europie celem dokładnego zapoznania się z urządzeniem zakładów głównie dla ociemniałych; a nadto wybudował drugie piętro w korpusie Instytutu, założył ogródek botaniczny, urządził muzeum pedagogiczne: w 1883 zaprowadził, oddziały równoznaczne, wystarał się o zatwierdzenie 2 towarzystw: ociemniałych i głuchoniemych, w 1884 wyjednał podwyższenie etatów nauczycielskich, w tymże roku uzyskał od rządu folwark Uwieliny, w którym miał założyć szkołę gospodarczą dla głuchoniemych włościan, przytułek dla głuchoniemych starców, takiż przytułek dla ociemniałych i zakład dla idyotów. Oprócz tego był Papłoński jednym z założycieli Osad Rolnych, na dochód których miewał trzykrotnie odczyty, będąc zresztą bardzo czynnym członkiem ich zarządu. Umarł na paraliż serca 28 listopada 1885 r. w Warszawie.

† **Artur Bartels** urodzony r. 1820 na Polesiu przez długi czas znany był tylko w kółku znajomych jako dowcipny i jowialny twórca piosenek i satyr. Dopiero w oddziale VI „Albumu wileńskiego,“ wydawanego przez Wilczyńskiego, ukazały się r. 1858 karykatury z tekstem p. n. „Łapigrosze“, „Pan Eugieniusz“, „Pan Atanazy Skorupa, człowiek postępowy.“ W roku następnym wydał 1-ą seryą Dramatów i Komedyi, zawierającą trzyaktowy dramat „Serce brata“ i komedyę jednoaktową „Niewiniątko.“ Po r. 1863 przeniósł się do Galicyi i oprócz współudziału w czasopismach zaznaczył działalność literacką ogłoszeniem następnych utworów: „Zbiór piosnek z towarzyszeniem fortepianu“ (zawiera 15 kawałków); „Drugi zbiorek pio-

snek z towarzyszeniem fortepianu“; „Goście, obrazek z życia wiejskiego w I akcie“ (Kraków 1875); „Tydzień poleski, ustęp z życia myśliwskiego na Litwie“ (Lwów, 1878). Umarł w Krakowie 12 grudnia 1885 roku.

† **Emilia Ehrenbergowa z Pancerów**, podobnie jak jéj siostra Felicya, była przed laty bardzo czynną w sprawie oświecania klas pracujących. W r. 1862 przetłómaczyła dziełko Maryi Edgeworth p. n. „Wychowanie domowe czyli czytanie dla dzieci“ (Warszawa, C. Lewicki, 2 tomy). Umarła w Krakowie w grudniu 1885 r.

† **Mikołaj Wisłocki** od lat młodzieńczych odznaczał się zamiłowaniem do poszukiwań starożytniczych tak w obcych jak szczególniéj we własnym kraju. Zebrał znaczną galeryą portretów historycznych, sztychów, sygnetów herbowych. Urządził w dobrach swoich Pogorzeli wielką kopalnię i fabrykę torfu, pierwszą tego rodzaju u nas. Założone przezeń szpitale i szkółki chlubnie świadczyły o rozumném pojęciu obowiązków obywatelskich. Jeden z pierwszych uwolnił poddanych od pańszczyzny. Pisywał drobne artykuły do „Przeglądu“ i „Pamiętnika archeologicznego.“ Część zbiorów swoich ofiarował bibliotece jagiellońskiéj. Zmarł w końcu grudnia 1885 r.

Od Redakcyi.

Upraszamy p. Romanią Kamieńską o przysłanie swego adresu do redakcyi „Ateneum.“



Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI
nadesłane do redakcyi „Ateneum“
w ciągu m. Grudnia 1885 r.

---

1. **Ocenienie satyr Horacego** ze stanowiska pedagogicznego, o ile one mogą być przedmiotem nauki gimnazyalnéj, napisał *T. Garlicki.* W Brzeżanach, 1885, 8 ka. str. 27.
2. **Ueber die Bevoelkerung. Von Alfred Nossig** (odbitka z „Kosmosu,“ pisma wychodzącego z Sztutgarcie, tom XVI).
3. **Złota przędza poetów i prozaików polskich.** Wypisy. Tom III. zesz. 10 (str. 721 do 800). Warsz. nakł. Wł. Maleszewskiego i T. Paprockiego: 1885, 8-ka.
4. *Prof. Kraft-Elbing.* **Nasz wiek nerwowy** (Nasze zdrowe i chore nerwy). Przekład z upoważnienia autora. Warsz. nakł. Teod. Paprockiego i S-ki. 1886, 8-o str. 125 i II.
5. **Szkice popularne najnowszych postępów przyrodoznawstwa** napisał *Antoni Skórkowski* z Medowatej. Warsz. nakł. T. Paprockiego i S-ki. 1886, 8-o. str. 242.
6. *Alfred Daniell* **Zasady fizyki.** Podręcznik z 257 drzeworytami w tekscie. Przełożył z upoważnienia autora, podług najnowszego wydania angielskiego J. J. *Boguski.* Zeszyt II (od str. 161 do 320). Warsz. nakł. T. Paprockiego i S-ki.
7. *Ernest Sulimczyk Swieżawski.* **Rozmowy o dawnych dziejach.** Warsz. nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1886, 8-o.
8. **Zàkladové konkretné logiky.** (Třídění a soustava věd). Napsal *T. G. Masaryk* professor filosofie při universite pražske. V Praze, 1885, 8-o str. XI 200.
9. **Sprawozdanie c. k. Rady szkolnej krajowej** o stanie szkół średnich galicyjskich, w latach szkolnych 1875—1883. Część II. We Lwowie. 1885. 4-o, str. 274 i XIX.
10. **Wykaz dostojników duchownych i świeckich** tudzież urzędników z czasów Władysława Warneńczyka (1434—1444). Opracowany przez *Saturnina Kwiatkowskiego.* Kraków, nakł. Akademii umiej. 1885, 4-o, str. 58.
11. **Z Warszawy do równika.** Wspomnienia z podróży po Ameryce południowej, odbytej w latach 1882—1883, przez *Józefa Siemiradzkiego.* Z illustracjami *J. Ryszkiewicza* i *J. Owidzkiego,* podług własnoręcznych szkiców autora. Warsz. 1886, 8-o str. 226, z mapą.
12. **Zestawienie bibliograficzno-porównawcze utworów Adama Mickiewicza,** drukowanych w czternastu zbiorowych wydaniach pism jego, z uwzględnieniem wydanych po raz pierwszy osobno lub w czasopismach. Ułożył *Maurycy Stankiewicz.* Kraków, 1885, str. 7 i jedna tablica.
13. **Kalendarzyk na rok 1886.** Magazyn paryzkiej galanteryi. *W. Golińska,* 16-ka, str. 16.
14. **Gunilla.** Poemat z czasów średniowiecznych napisała *Jadwiga Z.* Warsz. nakł. A. Lesmana, 1886, 8-o, str. 40.
15. **Historya filozofii od Talesa do Comte'a** przez *Jerzego Henryka Lewes'a.* Wolny przekład z 5-go angielskiego wydania Adolfa Dygasińskiego. Tom I, zesz. 4 (od str. 289 do 384). Warsz. u Ant. Lesmana i Petersburg u Henr. Glińskiego, 1885, 8-o.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

wychodzić będzie w roku 1886 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Redakcya zawiadamia szanownych czytelników, że i w roku bieżącym starać się będzie o jak najstaranniejsze spełnienie programu, przedstawionego w prospekcie na rok 1882. Rozbierać ważniejsze zagadnienia, jakie społeczeństwu naszemu rozwój stosunków stawia, rozpowszechniać zdobycze naukowe w świecie cywilizowanym dokonane, śledzić bacznie objawy umiejętne i literackie wśród narodu naszego, zdając o nich sprawę krytyczną, podawać dla umysłu przedmioty do rozwagi i fantazyi karm zdrową; oto główne cele, które osiągnąć zamierzyła sobie redakcya.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie (tylko w Warszawie) **Rs. 3.**

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio

DO REDAKCYI ATENEUM. Włodzimierska, 16.

Дозволено Цензурою, Варшава 21 Декабря 1885.